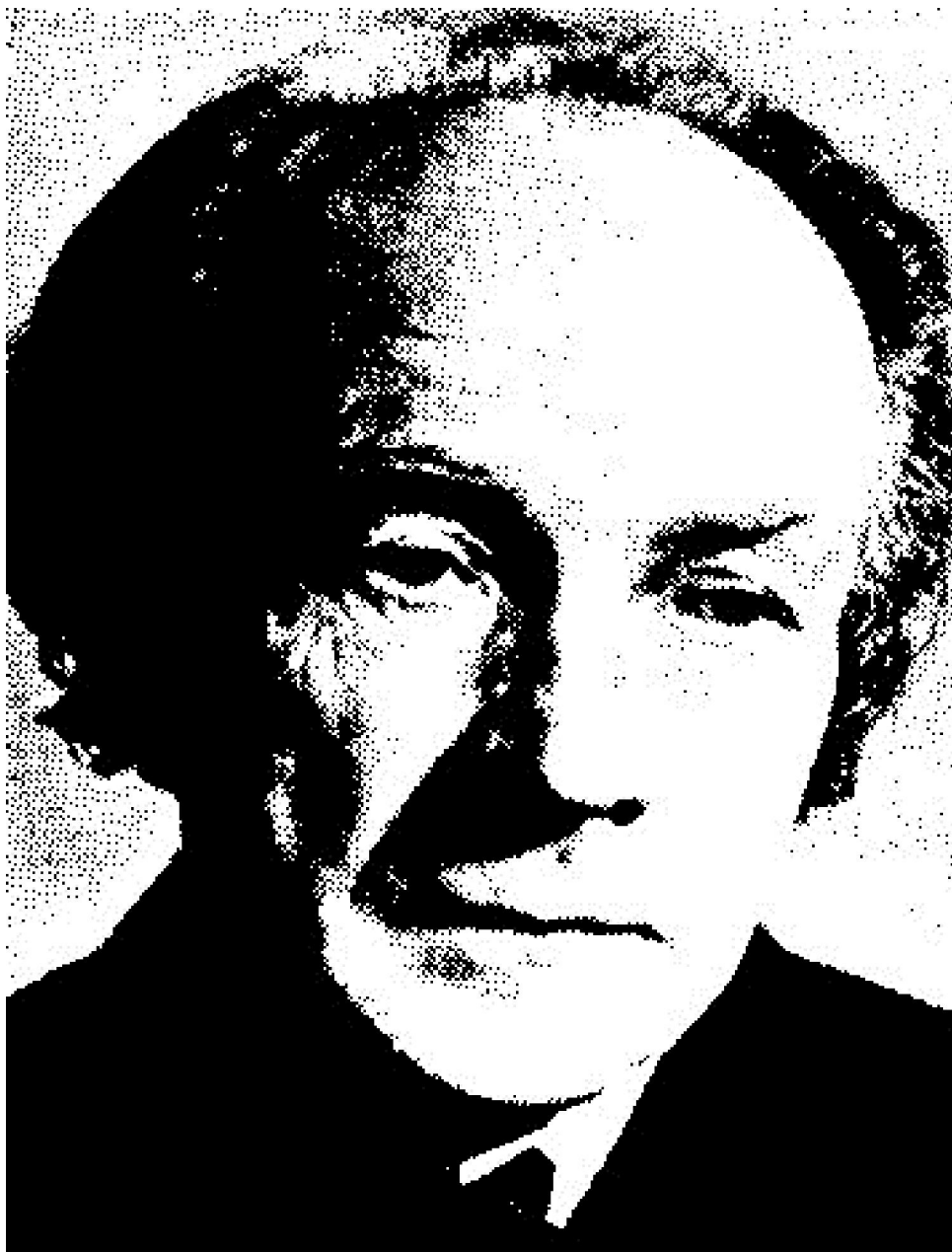




**Ernst Wiechert**  
**PANI MAJOROWA**

**Powieść**



Michał Fahrenholz wrócił w końcu do domu z wielkiej wojny. Należał do „zaginionych” i teraz wydaje się, iż wraca z królestwa śmierci. Jego bracia polegli. Stary ojciec widzi w Michale zmarłego syna, który przybył jedynie na krótki czas, aby pocieszyć ojca. Tylko stary Jonas rozpoznaje powracającego. Michał zostaje łowczym u pani majorowej, właścicielki rozległego lasu i dużego majątku ziemskiego, w którego sąsiedztwie znajduje się ojcowska zagroda. Sprawując pieczę nad lasem i dziką zwierzyną

Michał ma wyzwolić się ze swej samotności i odnaleźć drogę do domu. Pani majorowa prowadzi go swym wiedzującym i kochającym, ale zarazem rozumiejącym i przebaczącym sercem.

Swoją miłość do Michała przewycięża nadając jej znamiona miłości matki. Dzięki temu udaje się jej powracającego sprowadzić z krainy zmarłych do nowej rzeczywistości, której sens wyznacza praca na ojcowiznie, na rodzinnym polu położonym wśród mazurskich lasów - naznaczonej losem przestrzeni, która przyjmuje zaginionego i wypędzonego, aby mógł się odnaleźć samym w sobie.

## ***Rozdział 1***

Jadąca na karym koniu pani majorowa zatrzymała się przed niskim zagajnikiem sosnowym i przypatrywała się, jak człowiek nadchodzi przez moczary. Nie przyjechała na granicę swoich pól po to, aby się przypatrywać, ale dlatego, że miała zwyczaj czynić tak co wieczór. Od wielu, wielu lat. Po każdym długim, hałaśliwym i bardzo samotnym dniu przyjeżdżała tu - na granicę. Bawiła się nieco tym słowem. Podobało się jej jego brzmienie i znaczenie, choć nie chodziło w tym wypadku ani o granicę kraju, ani też o granicę jakichś dzikich i zakazanych pragnień. Ktoś jednak, na kim ciążyą takie zajęcia, troski i obowiązki, jakie spoczywały na pani majorowej, powinien móc pobawić się takim wieloznacznym słowem, pod wieczór, gdy wozy wróciły z pól, gdy nie było już urzędnika podatkowego, gdy żaden koń nie padł, a od syna nie nadszedł skrypt dłużny.

Moczary rozciągały się na zachód i czymś pięknym było wpatrywanie się przez krótką chwilę w straszliwy pożar nieba, w który opadały wieczorne chmury, a przed którym szczupłe brzozy stały w trzcinach i sitowiu w drętwiejącej czerni. Czasem można było zauważyć lot czapli, kołujący nad tym niby morzem płomieni, albo też przypominający flet głos kulika spadał i dotykał jej serca gorzkosłodkim uderzeniem. A potem czymś dobrym stawała się jazda z powrotem, w stronę ciemnych wierzchołków parkowych drzew na horyzoncie, gdy w skierowanych już gdzie indziej oczach pełno jeszcze dzikiej zorzy wieczornej, a w uszach nadal dźwięczą skargi wielkich, obcych, nigdy nie widzianych ptaków.

Dziś jednak przez moczary szedł człowiek. Zmusiła więc konia do cofnięcia się między sosenki po to, aby człowiek nie zauważył jej przedwcześnie. Przez dwadzieścia lat nie widziała, aby ktoś nadchodził od tej strony i ludzie też mówili, że tędy nikt nie jest w stanie przejść, chyba że szuka śmierci. A tę można w takim wypadku szybko znaleźć.

Mężczyzna nie wyglądał jednak na kogoś, kto szuka śmierci.

Obchodził liczne płonie wodne i jasnozielone kępy traw, uskakując od czasu do czasu, gdy go wzrok zawiódł, ale też wracał zawsze do wcześniej obranego kierunku, do linii, która

zdawała się wychodzić ze słońca i kończyć przy pani majorowej. A ponieważ odnosiło się wrażenie, że ta wysoka, smukła i czarna postać wydostaje się z wieczornej zorzy, groźnie samotna w bagiennym pustkowiu z trudem

wydobywa się z płomieni zachodu, nie można się dziwić, że dłonie

pani majorowej niespokojnie spoczęły na kuli u siodła, a na myśl jej przyszło, że przytrzyma je nimi koniec mostu, po którym obcy człowiek przybywa z płonącego brzegu.

- Głupi - powiedziała głośno i gniewnie. Ściągnęła brwi, aby lepiej śledzić jego drogę i lepiej przyjrzeć się jego postaci.

Nie było jednak w tym człowieku zbyt wiele dziwności, poza tym, że szedł przez moczary, choć mógł je ominąć z lewej lub z prawej

strony równymi i spokojnymi drogami polnymi. Może tylko dziwny

był powoli rozpoznawalny kolor jego ubrania - plamiście wyblakła zieleń przechodząca w brąz. A także krój, przypominający jakiś uniform tudzież pas i owijacze, które sprawiały, że wyglądał na zaginionego, obcego żołnierza.

Wagabunda zatem - pomyślała pani majorowa, lecz odetchnęła, gdy ostatnie pasmo czerwono błyszczącej wody leżało już poza nim. Stało

się wówczas to, czego się nie spodziewała: mężczyzna zatrzymał się,

odwrócił i po długim znieruchomieniu podniósł nagle ramiona w górę. Biorąc pod uwagę wyraźną ostrożność, z jaką szedł, ten jego

gest był zagadkowy i niepojęty na straszliwym tle. Nie był to gest jednoznaczny. Mógł go uczynić człowiek pragnący wzlecieć, modlić

się lub też brać w ramiona cały świat, W zarysowanym na czer-

wonym niebie geście było coś nie wykończonego, jakaś niemal bez-

radna bezcelowość, toteż załamał się on w końcu i opadł. A gdy

mężczyzna ponownie zwrócił twarz na wschód, odnosiło się wrażenie, że wstydzi się swego postępu, gdyż teraz prostą już drogą

szedł szybko w stronę pani majorowej.

Była tym najpierw zaskoczona, niemal przestraszona, gdyż nie

zdarzało się w tych okolicach, aby ktoś przeszedłszy pole, wrzosowisko lub moczary wyciągał nagle ramiona w stronę zorzy wieczornej. Może tak było w krajach czcicieli ognia, może w Persji, ale nie tu. Tutaj można było zobaczyć ciężki krok człowieka, który

wraca podpierając się kijem wyciętym przez siebie, lekkomyślny krok

włóczęgi lub taneczny krok niewinnego dziecka. Jej przestraszenie

minęło jednak, a pozostało tylko wzrastające, czujne i gotowe do

udzielenia pomocy skupienie, jakie pojawia się w obliczu niebezpieczeństwa lub choroby.

Mężczyzna biegł niemal w jej ramiona. Może oślepiło go długie, uroczyste wpatrywanie się w wieczorną zorzę albo może też, gdy minęło

zagrożenie, naszła go zapomniana troska o pożywienie, nocleg, schronienie, szedł bowiem pochyliwszy głowę, a jego oczu nie cieszyła stałość lasu, który wznosił się teraz przed nim. Z bliska potwierdziło się przypuszczenie pani majorowej, że miał na sobie coś

w rodzaju zużytego uniformu. Odnosiła wrażenie, że przebył wiele słonecznych i deszczowych dni, wiele mglistych i zroszonych poranków, wiele nocy pod gołym niebem i w krzakach. Było w tym ubra-

niu coś jeszcze, na co jakoś nie mogła wpaść, ale co jednak istniało - coś wielkiego, obszernego, niemal groźnego. Właściwie to powinna odjechać. Tak, może nawet niedobrze było tu czekać.

Ksiądz pastor w każdą niedzielę mówił o tym, że ludzie utracili Pana

Boga

Ależ, mój drogi, więc go poszukaj - pomyślała pośpiesznie - po to przecież tu jesteście... A może ten człowiek, gdy uniósł ramiona, zobaczył Pana Boga...

Ujrzawszy twarz mężczyzny całkiem z bliska nie była jednak już pewna, czy rzeczywiście zobaczył Pana Boga. Chyba że był to Bóg

ponury i smutny, wargi mężczyzny były bowiem zaciśnięte i gorzkie, a brwi rozdzielała zmarszczka zmęczenia, której nie opłacało się usuwać. Lecz w tej pociągłej, a w swym zamyśleniu nader odpychającej

twarzy, czymś najdziwniejszym była cera - szara, sucha i spalona, przypominająca barwą drewno wydobyte z morskiego piasku, które w dotyku rąk wydaje się zimne i martwe.

Nie chcąc jednak, aby mężczyzna zbliżył się zbyt do jej konia, pani majorowa nabiera tchu i mówi cichym, głębokim głosem:

- To było dość nierozsądne, mój drogi, to przechodzenie przez moczary.

Mężczyzna płoszy się - rzecz zrozumiała. Ale czyni to w dziwny sposób. Jak zwierzę. Już na pierwszy dźwięk odskakuje natychmiast w bok, za młodą brzoźkę, wkładając prawą rękę do kieszeni i potem

dopiero pojmuje, że przed nim jest koń, na którym siedzi kobieta.

Musiano dobrze na niego polować - myśli pani majorowa - skoro tak szybko reaguje.

Wszystko to ma w sobie coś niesamowitego: moczary i ogień w zaświatach, a przed nią nieznaną wędrowiec, którego tak bardzo przed chwilą przestraszyła. Pani majorowa nie odczuwa jednak lęku.

Przez dwadzieścia lat samotności oduczyła się bać. Dziwi się tylko, iż mężczyzna pojąwszy, że nie ma powodu do przestachu ani się nie uśmiecha, ani nie jest zły. Na jego twarzy maluje się tylko nieuf-

ność, zimna wyniosłość dorosłego człowieka w stosunku do głupiego, dziecinnego figla, a jego szare oczy rozglądają się już za dalszą drogą obok kobiety na koniu, tam, gdzie go znów może otoczyć cisza i  
zupełna samotność.

Z panią majorową nie można jednak w ten sposób postępować. Nie tylko bowiem stoi na swojej ziemi, ale jest poza tym kobietą, która oczekuje odpowiedzi na postawione przez siebie pytanie, kobietą, która zwraca się przez "ty" do każdego, kto w jakikolwiek sposób należy do jej świata. Widziała wojnę, inwazję rosyjską, grabież, strajki i bunty. Sprowadziła z Francji nie malowaną, drewnianą

trumnę, aby złożyć ją w ziemi w parkowym zakątku, trumnę ze zwłokami majora, który miał siwe włosy już wtedy, gdy ona ze swoją wychowawczynią przerabiała rozmówki francuskie, który potem w

przedziwny, ale też i przygnębiający sposób został jej mężem.

- To było bardzo nierozsądne, prawda? - pyta przeto i zmusza konia do wyjścia z sosenek.

Rani w ten sposób dumę mężczyzny, który musi odejść stąd skarcony. Poza tym w momencie, gdy odskakiwał, rozwinął mu się na prawej nodze zaczerniony bagienną wodą owijacz. Nie będzie to dobrze wyglądać, jeżeli powlecze się za nim jak brudny wąż.

Odchodzenie z wlokącym się owijaczem nigdy nie przynosi chluby.

- Z tego miejsca być może tak to właśnie wyglądało, ale z mojego punktu widzenia było jednak inaczej - mówi niezbyt uprzejmie, jed-

nocześnie zaś robi z brudnego płótna dobrze trzymającą się opaskę.

- Tak, tak - mówi pani majorowa. - A poza tym nie należy mokrej szmaty tak mocno zawiązywać, gdyż będzie potem uwierać...

Mężczyzna podnosi nareszcie wzrok i na jego wąskich wargach pojawia się nieco

kpiący uśmiech, gdy mówi:

- Ano, pani majorowa po staremu lepiej się na wszystkim zna, nawet na tym, jak posługiwać się owijaczami...

Pani majorowa zrazu milczy jak kamień. Nawet pejcz, którym odstraszała muchy, nieruchomo leży na końskim karku. Potem przy-  
myka powieki tak, jak to zazwyczaj czyni, gdy w pałacowej bramie wygląda pojazdów. Gdy i to nie pomaga jej pamięci, schodzi z konia i staje tuż przed obcym człowiekiem. Oboje są tego samego wzrostu

i swobodnie mogą sobie spojrzeć w oczy. Dla każdego człowieka o czystym sumieniu czymś pięknym jest spojrzenie w spokojne, nieco

surowe oblicze pani majorowej, w którym wszystko jest na swoim miejscu. Także i obcy człowiek nie czuje obawy, gdy uważnie wpa-  
truje się w rysy jej twarzy. Być może jest gorzej urodzony, ale przecież wiele w świecie widział - śmierć i miłość, samotność i ból, i

wyzywał się już strachu przed ludzką twarzą. Może więc patrzeć w nią jak na krajobraz, który bezbrinnie poddaje się oczom podróżnika

- na chmury, jeziora, wstęgę drogi - i od którego można się odwró-  
cić, jeśli się komuś nie podoba, albo pozostać przy nim, gdy to przynosi sercu ulgę. Spojrzenie pani majorowej nie jest tak samo spokojne, nie tylko dla-  
tego, że stoi przed nią ktoś, kto ją zna i w niemal obraźliwy sposób daje to do zrozumienia, podczas gdy ona nie może go sobie przypo-  
mnąć. Również dlatego, że gdy stoją tak oko w oko, ta obca twarz ma w sobie coś, co wprawia w bolesne zakłopotanie, jakąś skamielinę cierpienia, po której uśmiech, pogarda i drwina zsuwają się jak cień rzucany przez chmurę na złoża lawy. Nie jest to jednak czułośćkowość czy też rezygnacja w cierpieniu, ale wstrząsająca nagość bólu wyrosłego na kamiennej glebie. To człowiek wypuszczony z więzie-  
nia, może rozbitek, może wracający z bitewnych pól. A może też wszystko razem.

I nagle pani majorowa zapomina, że przecież chciała sobie przypo-  
mnąć. Tyle już czasu minęło, kiedy widywała takie twarze. Było to wówczas, gdy w okolicy zaczęto mówić, że znajduje zapomnienie w naturze, w jej surowym, być może złym ale jednak skończonym

dziele. A ponieważ ma czterdzieści lat i siwe nitki we włosach, a także syna, który w tym wypadku nie jest bez winy, unosi więc dłoń bezradnym gestem i mówi bardzo cicho:



- Nie, to na pewno nie było głupie...

Ta nieoczekiwana dobroć głosu, ta odpowiedź mają cudowne oddziaływanie. Podobne są do ciepłego chuchania na zamrzniętą

szybę okienną. Mężczyzna długo się uśmiecha, teraz już bez kpiny i pogardy, a pani majorowa może patrzeć w niego jakiś czas, jak przez

otwarte wrota, nie bojąc się już niczego, choć zorza wieczorna gaśnie, a na moczarach budzą się głosy, których nikt nie zna, nawet jeśli przeżył w tych okolicach dwadzieścia lat. Nie odczuje już nigdy strachu, nawet jeśli się okazało, że ten człowiek jest wypuszczony z więzienia.

A jest tak w rzeczywistości. Przybywa z niewoli, z więzienia i z włości, które zawiodły go aż na skraj wielkiej pustyni, gdzie drzemią piramidy, sfinksy i liczne groby królów. Nie uważa tego za coś ważnego, tym bardziej za materiał do jakiejś powieści i o większość spraw musi się go spytać, gdy idą razem przez ciemniejące

pola. Tak, był ranny i dostał się do niewoli, w Lesie Argońskim. Dwa razy uciekał, a za ostatnim razem ciężko poranił strażnika. Ile? Dziesięć lat więzienia. Stosunkowo łagodnie według ich prawa wojennego. A ostatnich pięć lat deportacja i budowa dróg na skraju pustyni. Przelicza i brak jej jeszcze dwóch lat. Tak, dwa lata są potrzebne dla przybycia stamtąd, jeśli się nie odczuwa tęsknoty. A on nie tęsknił...

- Wypalony - mówi.

Listy? Nie. Po co listy? Poeci pisują listy, a on nie jest poetą. Chciał tylko popatrzeć z oddali i dlatego wybrał drogę przez moczary, a nie przez pola.

- Dwa życia - mówi. - Jedno darowane, drugie napiętnowane. A z napiętnowanego nie ma powrotu. Zmieniło człowieka, uczyniło złym, dzikim. Dzicy ludzie nie chodzą za pługiem.

Pani majorowa wyczuwa w zmroku, że obcy znów się zmienia. Sądzi tak po rytmie stawianych przez niego kroków, po niespokojnej płoch-

liwości oczu i po napiętym nasłuchiwanu. Powodem tego jest zapewne nadchodząca ze wszystkich stron noc. To dobrze, że posiadał nowy instynkt lub odzyskał utracony, jak dziczące zwierzę domowe, które wraca do swych przodków - nieufne, czujne, uważne.

O nic go już nie pyta. Czuje, że z jej rzeczywistością łączy go tylko

nitka i że wystarczyć może nieprzemyślane słowo, aby jednym susem umknął w ciemność, w wielką samotność, z której przybywa i której chętnie by pozostał. Jest dość bezsilna, niemal bezradna i w swej bezradności popełnia niegrzeczność, za którą w dzieciństwie tylekroć ją karano: nuci sobie, cicho, bez słów, tak że z trudem można uchwycić linię melodyczną. A to, co nuci, jest dziecięcą piosenką.

Przez chwilę odnosi się wrażenie, że mężczyzna chce się zatrzymać, urażony nietaktownym śpiewaniem po zdaniu przez niego krótkiej relacji z życia. Zostaje jednak u jej boku, a nawet wydaje się, że stąpa lżej, aby nie stracić ani jednego tonu. Było to bardzo dawno temu,

gdy słyszał śpiewającą kobietę, przy nim, niemal tylko dla niego, w chwili, gdy gwiazdy zaczynają się pojawiać, a krzaki leżą w polu jak ciemne, łagodne zwierzęta.

Gdy skończyła, nie pyta, co to było, do jakich słów. Jest to już jednak odmienne od poprzedniego milczenie - jednakowo wspólne milczenie. A gdy dochodzą do grzbietu wzniesienia, skąd widać park i podobne do ciemnej warowni zabudowania, w których przyjaźnie

błyszczą pojedyncze światła, zatrzymują się jednocześnie i patrzą tam, w dół.

- Jesteśmy już na miejscu - mówi pani majorowa, a w jej głosie jest coś, co zapowiada ciepło czekającego na nich domowego ogniska.

- Aha - odpowiada obcy.

Przez chwilę patrzą w milczeniu na to, co jawi się im jako wyspa życia. Po polu wieje lekki wiatr. Pachnie pierwsza koniczyna, a jej zapach miesza się z wonią końskiej skóry, która rozgrzała się pod wołokiem i popręgiem.

- Zapraszam pana w gościnę, dzisiaj - mówi pani majorowa,

dodając słowo "dzisiaj" jak przeproszenie. - Ten dzień na pewno nie był dla pana lekki, a byłoby mi przykro, gdybym zobaczyła, jak

odchodzi pan w ciemność. My wszyscy jesteśmy panu na pewno wiele winni...

Idzie potem przodem, obawiając się, czy on podąży za nią. Mężczyźni nie przychodzą do głowy jakieś formułki podziękowania, a ona

jest zadowolona z tego uchybienia. Po chwili jednak, jakby nie usłyszał jej zaproszenia, mówi:

- Często pani śpiewa?

- Czy często? O nie... gdy odczuwam potrzebę, dla samej siebie, wtedy chętnie. Nie mogłam, gdy byłam dzieckiem. Ale człowiek,

który przebywa wiele w samotności, chętnie słucha jakiegoś głosu, prawda?

- Nie - dość ostro mówi mężczyzna.

Potem wchodzi we wrota.

Pod pierwszą lipą wielkiej alei stoi człowiek, który też wygląda jak drzewo, tyle tylko, że bez gałęzi i liści.

- To Jonasz - mówi pani majorowa - zakazałam mu czekać na mnie, ale on mnie nie słucha. Zawsze myśli, że może mi się coś przydarzyć.

- Późno już, Jonaszu, mimo to jednak przyprowadziłam gościa.

Wysoki milczek chwyta za cugle. Najpierw przypatruje się pani majorowej, potem patrzy na konia, czy się im nic nie stało. Wreszcie rzuca wzrok na obcego.

- Dziecko krzyczy o sowej godzinie - mówi - a pani majorowa powinna wcześniej wracać.

- Nie rób mi wymówek, Jonaszu - odpowiada i klepie konia na pożegnanie po karku, w miejscu, gdzie leży już ciężka dłoń parobka.

Idąc dalej przed siebie mówi cicho:

- Zdziwaczał. Kozacy, gdy przyszli, zabrali go, a jego młodszy brat pobiegł polami, aż do moczarów i tam utonął. Słyszeli jego krzyk chyba przez godzinę.

Jonasz klęknął przed nimi, prosząc o ratunek. Wyśmiali go jednak.

Odtąd słyszy jego krzyk...

- Czy pani tu była, gdy to się stało? - Tak. I ja, i Jonasz. Nie wiedział pan o tym?

- Nie, o tym nie - odpowiada lakonicznie.

Pachnie świeżym listowiem. Obcy spogląda w górę, gdzie wiatr porusza ciężkimi koronami. Pani majorowej przychodzi na myśl, że on na pewno dobrze zna ten szum, gdyż wszystkim bezdomnym zwiastuje noc i raz jeszcze odczuwa obawę, że może go zwabić w

chwili, gdy są już blisko domowej ciszy. Ale między pniami pojawia się pierwsze oświetlone okno i słyszą, jak w domu zaczynają szczekać psy.

- Wcześniej wstaję - mówi obcy przy białych, kamiennych schodach.

- Może dałoby się to tak urządzić, abym nikogo nie musiał budzić przed odejściem...

- Nie trzeba myśleć o pszenicy, dopóki trawa nie jest ścięta, mawiał mój ojciec - stwierdza z uśmiechem pani majorowa. - I na to znaj-

dzie się sposób. Mieszka tu sporo dziwnych ludzi.

W hallu jakaś dziewczyna zapala światło, dyga i wlepia w obcego szeroko otwarte oczy.

- Ocknijże się, Leno - mówi pobłaźliwie pani majorowa - to nasz gość. Zaprowadź go do zielonego pokoju i zapukaj po dziesięciu

minutach, czy możesz już sprowadzić na dół. Kolację zjemy razem.

Lena przystaje na pierwszym schodku i odwraca się.

Głuchoniemy - myśli sobie, a jej ciekawość rośnie. Obcy stoi jeszcze przy drzwiach, którymi wszedł i wpatruje się w mrok dwukondygnacyjnego hallu, tam gdzie zawisły wypchane orły, gdzie przymocowane są poroża jeleni oraz ciemne, z białym obrzeżeniem, łopaty łosi. Jego twarz już nie jest ponura, ale oślepiona i zarazem nieco wzmieszana, jak u pojmanego wilka, który się rozgląda i nie widzi lasu.

- Proszę - mówi dziewczyna i jeszcze raz dyga.

Mężczyzna jakby się przestraszył, mówi coś w obcym języku, potem idzie posłusznie po schodach za dziewczyną, a Lena czuje na karku

jakiś chłód, jakby za nią był wilkołak, który tam na górze napadnie na nią i przegryzie jej gardło. Pomimo strachu cieszy się z tego, że w kuchni będzie miała wiele do opowiadania i że pani majorowa

miewa dziwnych gości - bez kapelusza i w zabłoconych butach, o cerze takiej, jaką mają dzicy ludzie w cyrku.

Wróciwszy do kuchni jest jeszcze blada na twarzy, ale przed ponownym wejściem na schody wkłada szybko na szyję sznur czerwonych koralików.

- Indianin - mówi. - Na pewno Indianin! Stanął tam w zielonym pokoju i przypatrywał się, jak mu z butów wycieka na dywan czarna woda. Potem otworzył okno i patrzył, czy można wyskoczyć...

- Ale z ciebie jeszcze ciele, Leno - mówi spokojnie i zdecydowanie mademoiselle i opiera podwójny podbródek o warząchew. - A jeśli

pani majorowa przyjmuje Indian, to są to na pewno wodzowie i nazywają się Biały Orzeł lub Rączy Jeleń, zrozumiałaś? A poznaje się ich po tym, że od razu przynoszą ci w podarunku czerwony naszyjnik.

Wielki śmiech w kuchni trwa aż do wejścia Jonasza, który już oporządził konia. Jonasz ma izbę w domu ordynariuszy, ale może co

wieczór siedzieć w kuchni i strugać drewniane łyżki lub mątwie, może też cicho grać na ustnej harmonijce lub, opierając ciężko głowę na dłoniach, wpatrywać się milcząco w ogień. Wolno mu przebywać w kuchni od czasu, gdy wrócił po uprowadzeniu przez kozaków -

chory, rozbity, skołowany i ranny piką w lewe ramię. Wiele miesięcy siadywali przy ogniu sami - pani majorowa i on. Na dworze był tylko ryk bepańskiego bydła i głucho dudnienie dalekich dział, a między jednym a drugim głos dziecka, które tonęło w moczarach. Do Jonasza jednak docierał tylko ten głos. Odtąd siaduje tu co wieczór,

od prawie dwudziestu lat. Czasem wchodzi pani majorowa, przystaje przed ogniem i kładzie rękę na jego pochylonych ramionach.

„Tak to jest, Jonaszu - mówi - my dwoje, prawda?”

Jest wierną towarzyszką i nie zapomina tak szybko, jak mężczyźni.

Na przykład jak pastor, któremu uratował krowy, a który mu tylko kiwa głową, niby jakiemu wyrobnikowi.

Dziewczęta wpadają na niego, chwytając za klapy surduta.

- Jak to jest, Jonaszu, czy to prawda, że to Indianin? Przecież go widziałeś, gdy przyszedł.

Jonasz rozgląda się niespokojnie. Nie znosi tyłu ludzi wokół siebie.

Ostrożnie rozkłada ramiona i odsuwa dziewczęta na bok. Potem siada pod oknem, gołą ręką nakłada węgielek na tytoń w fajce i przypatruje się dymowi.

- Jonaszu! - wołają chórem, zagniewane.

- Tak - mówi wracając do siebie i patrzy na niańkę młodego pana, która w tym domu przebywa od dwudziestu lat. - Tak, to Michał,

syn gospodarza spod lasu.

Robi się tak cicho, że słyszą kroki obcego człowieka na górze, niespokojne, szybkie kroki od ściany do ściany, tam i z powrotem.

Potem Lena wybucha jasnym śmiechem, inne też się śmieją, z wyjątkiem niańki.

- Michał Fahrenheit wypisany jest na naszym pomniku - mówi z wyrzutem mademoiselle.

Widziano go we Francji, jak leżał zabity... Nie rób sobie żartów ze

zmarłych, Jonaszu.

Jonasz z trudem podnosi oczy, w których kryje się wiele ponurych spraw i patrzy na nią.

- Nie powiedziałem, że jest żywy - odpowiada poważnie. - Powiedziałem tylko, że jest to Michał, syn gospodarza spod lasu. Razem pasaliśmy owce, gdy byliśmy dziećmi.

Znowu kroki od ściany od ściany i cichy szum ognia za drzwiczkami pieca, syczenie, mokrych polan bukowych. A potem ostry i przenikliwy dzwonek pani majorowej oraz stłumiony krzyk Leny:

- Nie pójdę! Nie mogę! Nie mogę go stamtąd sprowadzić, z ciemności...

Dochodzi do tego, że niańka musi wstać i ująć ją za ramiona, a mademoiselle zaczyna się złościć. Potem obie idą - stara kobieta w ciemnej chustce na siwych włosach i Lena z rękoma skrzyżowanymi na piersiach, tuż pod sznurem czerwonych koralików, który powinien być podarunkiem czerwonych wódzów.

Obcy, gdy usiadł naprzeciwko pani majorowej za białym obrusem, nie wyglądał na zmarłego, ale raczej na zbląkanego, który trafił do niesamowitej oberży, ale który nie chce też okazać swego zmieszania i stara się z tego powodu zachowywać chłodno i z dystansem.

Jadł mało i szybko, cały czas milcząc. Pani majorowa też nic nie mówiła, jeśli nie liczyć paru słów uprzejmej zachęty. Nie mogła natomiast powstrzymać się od przypatrywania się mu, jego ciemnym, w jakiś sposób szlachetnym dłoniom, na których wypisane były lata

cierpienia. Przypatrywała się też pochylonemu czołu, na którym spoczywał nieczuły blask lampy. Sięgała myślą w głębiny przeszłości, do czasu dzieciństwa, do momentu, w którym wyszła za męża, przypominała sobie jedną twarz za drugą, żywych i umarłych, przyjaciół i wrogów. To czoło jednak pozostawało w ukryciu, a podnoszące się od czasu do czasu szare oczy nie naprowadzały na żadne wspomnienia - ani dobre, ani złe.

Panią majorową powoli ogarniał smutek; nie dlatego, że nie mogła rozpoznać tej twarzy, ale z powodu tego, że oto ktoś przechodzi jej

drogę, jasną i dzielną, nie zatrzymując się, zasklepiony w goryczy.

Człowiek, który niczego nie chciał wiedzieć o ludziach, chociaż całymi latami był przykuty do innych. Podczas gdy oni tutaj, tworząc

zwarty i zgodny krąg złożony z człowieka i ziemi, z pana i parobka,

ze słońca i deszczu, rozpoczynali nowy rok działania, on nagle

stawał z boku, podobny do drzewa z podciętymi korzeniami, mając duszę zatrutą

gorzkimi obrazami. Człowiek z tych stron, który wycierpiał ponad miarę, który siedząc nad talerzem myślał już o drodze, którą wyjdzie z ojczyzny, żywiąc w sercu gniew do solidnych i pewnie stojących na nogach, z powodu których poniewierano nim przez dwadzieścia lat.

Podnosząc wzrok z milczącego czoła naprzeciwko na obitą ciemnym materiałem ścianę nad szerokimi drzwiami, pani majorowa mogła zobaczyć w złotych ramach młodą i dumną twarz syna, którego, przestraszona i bez miłości, poczęła dwadzieścia lat temu. Rósł w czasach rozpustnych, mając w młodych oczach rozchwianie i rozkład, i nie znajdując powrotu do karność i porządku, do twardej pracy i cichego wyrzeczenia. Miejski człowiek, który śmiał się z jej codziennych spraw i przed którym musiała chronić służące, gdy wracał do niej z gramofonem w kufierku i z albumem zawierającym fotografie, na których widok jasne czoło oblewało się purpurą.

Westchnęła, jeszcze raz podsunęła obcemu koszyczek z chlebem i poprosiła, aby dla rozgrzania się posiedział z nią chwilę w sąsiednim pokoju przy kominku. Prosiła także o wybaczenie, że zapali fajeczkę.

Nabrała tego zwyczaju od czasu, kiedy to razem z Jonaszem siaduje przy ogniu. Nie było wtedy czegoś innego i tak to już zostało. Kto bywa często sam, łatwo trochę dziwaczeje.

Mężczyzna podał jej ogień i patrzył na nią bez zdziwienia. Prawdopodobnie widział też coś więcej - nie tylko kobiety palące fajeczki i posiadające do tego chusteczki z wyhaftowanymi koronami.

Zapytał w końcu, czy jest tu pomnik poległych. I objął rękami kolana, ze wzrokiem utkwionym w ogień. Gdzie można go znaleźć? A po odpowiedzi pani majorowej wyjaśnił, że jego manią jest odszukiwanie nagrobków i odczytywanie nazwisk. W większości wypadków wypisane są daty urodzenia i śmierci, a także, gdzie polegli. Lubi się przed takim pomnikiem i wyszukiwać znane sobie miejscowości. Rosyjskie nazwy są smutne i potoczyste, francuskie natomiast brzmią twardo i nieprzyjemnie. Gdy je wymówi, odczuwa ulgę - już po wszystkim. Czasem znajduje nazwisko nieżyjącego towarzysza i tak wędruje sobie, przed szeregiem zmarłych, z kraju do kraju, ponieważ z żyjącymi trudniej dojść do ładu niż ze zmarłymi.

Pani majorowa przypatruje się mu i coraz ciężiej jest jej na sercu.

- Żyłam więc i działałam z roku na rok - mówi - a ludzie mówią o mnie, że jestem dzielną i silną kobietą. Jeśli bowiem kobieta żyje sama, dbając o ład wśród ludzi i na polu, już to samo wydaje się im czymś wielkim. Wiem jednak, że jest to mało, ponieważ ludzie chcą przecież pracować, pola chcą przy nosić plony, a potrzebują tylko trochę trudu, miłości i sprawiedliwości. Jeden dobry i sprawiedliwy dzień pociąga za sobą inne, gdyż ten, co zorał,

naturalnie również zasieje. Cóż w tym wielkiego? Teraz jednak, gdy zobaczyłam pana...

Jak mam panu pomóc? Każde zwierzę wraca wieczorem do domu, a gdy go nie ma, szukamy go całą noc. Pan jednak odchodzi, wymija ojczyznę, pan cierpiał i nie chce naszego zadośćuczynienia. Ci natomiast, którzy nic nie cierpieli, zostają w spokoju i patrzą tylko za panem...

- Pani majorowa także cierpiała - mówi obcy.

Pora byłaby już spytać, skąd o tym wie i kim jest, ale właśnie zegar wybija godzinę, on zaś niespokojnie nasłuchując odwraca głowę i pani majorowa musi zrezygnować. Tak wyglądają drapieżne ptaki na suchym wierzchołku sosny, gdy pod nimi, na ziemi, poruszyła się gałązka.

- Jest tam u nich takie przysłowie - mówi po chwili obcy człowiek

- "Po otwarciu bram zamykają się drzwi". To dla tych, co zawsze mówili o wolności.

Po francusku to się rymuje.

- Ależ to nieprawda - mówi ona w przypiływie gorczy i zaciska pięść na oparciu fotela. - To filozofia niewolników, a nie ludzi żyjących na wolności.

Obcy uśmiecha się teraz dobrotliwie, a uśmiechając się, patrzy na nią.

- Czy pani majorowa jest wolnym człowiekiem? - pyta. Potem nie czekając na odpowiedź wstaje i żegna się.

Odprowadza go aż do hallu i przypatruje się, jak wchodzi po schodach. Odnosi się wrażenie, że ciągnie za sobą, leżący na schodach, swój wielokrotnie załamany cień.

Pani majorowa śpi tej nocy niespokojnie. Księżyc przesuwają się koło jej okien i kładzie na dywan dwie białe płachty. Poruszają się one bezgłośnie, jedna tuż obok drugiej, wspinają się na jej łóżko, wchodzą na ścianę, zmniejszają się i giną. Dostają się jednak w sny pani majorowej, wiszą w nich ponad wciąż odradzającymi się, nie mającymi końca, powikłanymi i złymi sprawami.

W pewnej chwili wydaje się jej, że słyszy, jak szyby w oknie brzęczą.

Nie może się jednak zbudzić, chociaż stara się, lekko przy tym postępując. Potem ktoś klepie kosę, gdzieś daleko w polu. Żelazo jasno dźwięczy pod uderzeniem młotka. W wielkiej ciszy nocnej zjawia się ten odgłos, jakby wydobywający się gdzieś daleko, w samym centrum świata.

Ciekawe - myśli pani majorowa we śnie. - Bydło nie jest jeszcze wypędzone na pastwisko, a już klepią kosy, jakby chcieli kosić...

Udaje się jej uwolnić od tego snu, ponieważ ów dźwięk należy do jej życia, codziennego trudu, uwagi i dbałości o ład. Siada na łóżku, serce w niej jeszcze łomocze,



zmęczone budzeniem się nadśluchuje.

Krew spływa do serca, pierwsze szpaki gwizdzą już w parku, ale za wszystkimi odgłosami jasno i wyraźnie jawi się czysty dźwięk żelaza, które brzęczy pod uderzeniami młotka.

Wstaje i rozsuwa firanki. Jest już na tyle jasno, że przez prześwity w parku można zobaczyć pola, a za wielkim łańcem żyta ukwiecony pagórek z pomnikiem poległych. Wybór tego pagórka przez pastora świadczył o tym, że cieszyła się jego względami, albowiem parkowe prześwity i przerzedzenia tak biegną, że może widzieć ze swej sypialni wielki, czworokanciasty kamień, na którego górnej krawędzi, osobno, umieszczone zostało nazwisko majora jako najważniejszego i najdostojniejszego z poległych.

„W ten sposób, pani majorowo, zawsze będzie z panią - powiedział pastor. - Trzy kroki w stronę okna, a już mamy niezapomniany widok.”

Spojrzała na niego z ukosa, jak to miała czasem w zwyczaju, w nieprzyjemnie przenikliwy i badawczy sposób, a potem powiedziała „dziękuję”. Pastor poczuł się zakłopotany, nawet dotknięty i poskarżył się żonie, ale bez skutku, gdyż uważała ona panią majorową za wyniosłą damę, a swojego męża za pańskiego sługusa bez charakteru.

Pani majorowa słyszy więc, że dźwięk żelaza dochodzi od strony tego wzgórką i choć światło dnia znajduje się jeszcze za lasami, może już rozpoznać, że to jakiś człowiek robi coś przy pomniku. Biegnie do swego gabinetu nie wkładając nic na nogi i wraca z lornetką, nadal nieco skołowana majakami sennymi, nadal jeszcze nie gniewna, lecz tylko pełna niespokojnej ciekawości.

Spojrzawszy jednak przez szkła wydaje lekki okrzyk. Człowiek przed a pomnikiem ma na sobie brunatną odzież, której obrzeżenia mienia się w soczewce wieloma barwami. Klęczy przed szarym kamieniem, a jego prawe ramię podnosi się i opada. Po każdym takim ruchu dochodzi do pani majorowej jasny dźwięk żelaza, opóźniony w stosunku do ruchu, ponieważ dzieli ich odległość prawie kilometra. Jest coś niesamowitego w tym, że dźwięki pozostają jeszcze chwilę w powietrzu, podczas gdy człowiek pozwala rękom odpocząć. Wygląda na to, że to kamień sam z siebie wydaje dźwięki.

Pani majorowa nie zastanawia się, lecz wie już, co robi ten człowiek.

To taki natychmiastowy refleks wiedzy. Nigdy tego nie widziała, nigdy o tym nie pomyślała, że ktoś może dłutem usunąć nazwisko z nagrobka, więcej - że ktoś może usunąć swoje własne nazwisko z takiego miejsca. Żyjący, który usuwa zmarłego? Albo może to raczej zmarły, który rozbija swoje życie? Pani majorowa drży w chłodzie poranka, a w szklanym kole drżą kamień i człowiek, który wbija dłuto w kamień.

Następna jej myśl: czy go ktoś może obserwować? Spogląda szybko na zegar, lecz jest tak wcześnie, że nawet Jonasz nie mógł jeszcze wstać. Zarzuca na siebie płaszcz i pośpiesznie, bez szelestu wbiega po schodach na czworokątną wieżę, z której można zobaczyć nawet moczary. Na schodach jest jeszcze ciemno, a w lustrach wiszących w korytarzu dołącza się do niej własna twarz, blada i bardzo zmieniona.

Gdy podniosła i delikatnie odsunęła na bok zapadłe drzwi, umożliwiające wyjście na mały taras, człowiek skończył już swoją robotę. Pani majorowa klęka za balustradą i opiera lornetkę na zimnym kamieniu. Mężczyzna wstaje i powoli odchodzi. Nie cofa się, by obejrzeć swe dzieło, nie odwraca się też z pewnej odległości, ale spokojnie schodzi ze wzgórką, jakby tani czytał sobie jakąś książkę albo też czekał na wschód słońca. Idzie wąską ścieżką, która wiedzie na skraj lasu między zielonymi zasiewami i mokrymi od rosy łąkami.

Leży tam zagroda gospodarza spod lasu, a za zagrodą zaczyna się droga, która wchodzi w lasy, prowadząc do obcych wsi i miast, coraz bardziej w nieznane. Kto wkroczy na tę drogę, nie chce już wrócić.

Złożył wizytę i nie ma tu już nic więcej do szukania.

Obcy przechodzi jednak drogę w poprzek, zmierzając do niewielkiego sadu na południowym zboczu. Stoi tam pod dziką gruszą ławka. Siada sobie na niej i patrzy na dom... Słońce wstaje ponad skrajem pola po jego prawej ręce, a wierzchołek gruszy i czerwień kalenicy nabierają żywych barw w porównaniu z szarą ziemią. Nad polami unoszą się skowronki, we wsi pieją koguty i nowy dzień zaczyna się pod coraz intensywniejszym i coraz jaśniej połyskującym błękitem nieba.

Pani majorowa schodzi wówczas z wieży powoli i bardzo zamyślona.

Wie już, kim jest obcy człowiek. Łatwiejsze są teraz wspomnienia.

Pewnego razu zatrzymała konia przed Michałem i Jonaszem na owczym pastwisku i powiedziała im, że kręcąc wierzbowe fujarki, trzeba je kłaść na kolanach, a nie na kamieniu.

Wspomnienia jednak nie przynoszą jej ulgi. Gospodarz spod lasu stracił wszystkich trzech synów. Jego włosy posiwiały i nie staną się ponownie czarne po powrocie jednego ze zmarłych. Ale może będzie ciepło, gdy zmarły rozejrzy się po izbie i polach, spyta o grób matki, a potem nie będzie już miał o co pytać, nawet o drogę. Ponieważ wszystkie drogi są dla niego jednakowo proste, wiodące z szarego podwórka wieczorem, gdy kuliki zaczynają krzyczeć.

A teraz pani majorowa naprawdę płacze. Siedzi na krawędzi łóżka, trzyma ręce między kolanami, lecz twarz ma całkiem spokojną.

Możliwe, że płacze z powodu obcego człowieka, a może z powodu tego, co teraz

stanie się z ojcem. Możliwe również, że płacze z powodu swego syna, który, gdy wysiada z powozu, ma na dłoniach rękawiczki koloru lila. Lecz najbardziej prawdopodobne jest to, że płacze z powodu ludzi. Dlatego, że są jako te ptaki, przelatujące nad ogrodem, wysoko w promieniach zachodu, którym można się przyglądać i przysłuchiwać, ale których nie można zatrzymać, nawet wówczas, gdy się podniesie ręce. I dlatego, że nic nie pomoże urządzenie sobie życia, wypełnionego pracą i zadowoleniem, skoro człowiek jest w stanie podnieść się nagle z tego życia jak ptak - ponad ogrodem, bez pożegnania i pozdrowienia.

Czymś dziwnym jest widok płaczącej pani majorowej. Płaczącej jak człowiek, który się tego oduczyl. W całkowitej ciszy, jak drzewo, z którego kory kapią krople. Pani majorowa musiała jeździć na koniu i obliczać, musiała zatrzymywać się przy zaprzęgach i wyrzucić z w dworu kmańbrnego parobka. Na płacz nie miała czasu, nie mogła sobie nań pozwolić. Gdy setki oczu spoczywają na człowieku, należy zacisnąć usta, ale nie płakać. Nawet wówczas, gdy do ziemi spuszczana jest drewniana trumna z Francji, a ludzie czekają na płacz.

Nawet wówczas, gdy jakaś zapłakana pokojówka klęczy przed fotelem pani majorowej, a młody człowiek w rękawiczkach koloru lila wzrusza ramionami i zaczyna gwizdać jakiś szlagier. Na wojnie także się nie płacze, a czterdziestoletnia kobieta, która musi zatroszczyć się o pięć tysięcy morgów ziemi i lasu, o ludzi i zwierzęta, co żyją natej ziemi, znajduje się właśnie na wojnie.

Lecz oto daje się słyszeć jasny i donośny głos dworskiego dzwonu i pani majorowa wstaje. Gniewnie potrząsa głową, bo nie chce być jeszcze stara. Tylko stare kobiety siedzą i płaczą na krawędzi łóżka, gdy zaczyna się nowy dzień. A kiedy Lena przynosi śniadanie, nie mając już sznura koralu na szyi, pani majorowa siedzi spokojnie przy stole, patrzy na nią surowym wzrokiem i przypomina jej, że wstążka przy fartuchu mogłaby znowu zapoznać się z igłą. Trzeba poza tym posprzątać w pokoju gościnnym, ponieważ Michał Fahrenholz poszedł przywitać się z ojcem.

Lena zaś idąc do kuchni myśli, że pani majorowa jest niesamowitą kobietą, znacznie mądrzejsza od pana pastora, a prawie tak samo mądra jak Pan Bóg.

Michał tymczasem siedzi na ławce pod gruszą i pali papierosa.

Zawsze jest dobrze popalić sobie - zarówno w więzieniu, jak i na wolności, na skraju pustyni, jak i na skraju moczarów. Dobrze jest przypatrywać się niebieskim obłoczkom chwytanym przez lekki wiatr, zmienianym i unoszonym, tworom pozbawionym ciężaru, ulotnym i wolnym. Szczególnie dobrze jest zapalić sobie teraz, o tej porze. Po złym śnie i po bezmyślnej pracy tam, na wzgórzu, obecnie krótkotrwały powrót.

„Tak, to ja jestem. Nie zmarły, lecz żywy... I znów odchodzę, nie mogę tu pozostać.

Nie chcę gospodarstwa, dachu i porządku, gdyż tam są ludzie, a ja nie chcę ludzi. Chcę być sam, zupełnie sam.”

A ojciec pokiwa głową, cicho i niemal pokornie, jak niegdyś. I zacznie zdrapywać ziemię z butów, jakby był bardzo zajęty.

„Tak, Michale, a więc to tak... Zjesz chyba jednak ze mną kromkę chleba, prawda?”

Potem pójdzie sobie w lasy, w których stoją ciche drzewa, w których jest zielony mech, polany porośnięte młodą trawą i gdzie jest wielka cisza, milczenie bez końca.

Pani majorowa? Ach, mój Boże, przecież nie jest jej synem. Ani kochankiem, ani synem. To tylko takie wdowie kaprysy - chce pomóc, pogłaskać. Mina, gdy zaświeci słońce. Michał nie ma dobrych wspomnień o majorach, w ogóle nie ma dobrych wspomnień. Do diabła z nimi!

Dach już całkiem poczerwieniał, a w stajni dzwonią łańcuchy. Dla starego człowieka nadeszła pora wstawania. Będzie jednak zmęczony. Mieć żonę i trzech synów to dużo - również dla chłopca. Nic nie pomoże, że jeden z nich przybył w odwiedzinach i siedzi na starej ławce. Wizyty nigdy zbyt wiele nie pomagają, a tylko izby są bardziej

puste, gdy gościa już nie ma. Jeśli jednak kogoś uznano za zmarłego, musi się pokazać, by nie dostawać wieńców, które mu się nie należą.

I napisu na kamieniu, który mu się nie należy. Nawet śmierci nie powinno się oszukiwać.

Jonasz? Tak... Ależ wyrósł... Wyrósł i stał się jakiś dziwny. Dobry był z niego kolega - przy owcach i w kręceniu fujarek. Nie powinien

być koniuchem. Powinien na moczarach kopać torf. Może znalazłby tam kiedyś swego brata o pociemniałej skórze, spokojnego, leżącego w butwiejących roślinach. Przestałby wówczas słyszeć jego krzyk o sowiej godzinie. Krzyczą tylko ci, którzy nie mają spokoju, ale z

cmentarza nikt już nie krzyczy...

Na wiśni jak dawniej jest gniazdo szpaków. Czy to te same? Nie wie, jak długo mogą żyć szpaki. Może sto lat? Zawsze są tak samo błyszczące i czarne, nie siwieją. Jedno, jedyne pasemko na lewej skroni pani majorowej, od strony serca... Dziwnie wygląda. Podobne

miał mały kapral na pustyni, ten z pejczem. Znaleziono go z dziurą w skroni, pod tym siwym pasemkiem. Nie był to jednak kaliber jego

rewolweru służbowego... Tak, nawet kaprale nie są nieśmiertelni.

Spogląda na swoje ciemne ręce. Otwiera i zamyka dłonie. Wiele

złego przyłgnęło do takich rąk: ziemia, pot, krew. To wyłącznie dobre rzeczy, dobre w pewnej chwili, ale nie zawsze dobre we wspomnieniach. Łamały chleb pani majorowej, a ona się im przypatrywała. Nie zawsze jest dobrze dla kobiety, gdy przypatruje się rękom mężczyzny,

który był na wojnie. Rękawiczki noszą tylko oficerowie sztabu, od majora począwszy. Inni oficerowie szybko je zdejmują - są niewygodne do pewnych celów...

W domu coś się poruszyło. Jakieś znużone kroki. Pewnie służąca. A może macocha... Ciężka to chwila dla starego człowieka, gdy syn wstaje z grobu. Opalony, zdrowy i nie w całunie... Po co przybył?

Tak, po co? Czy go coś wołało, jak braciszek Jonasza, który nie chce już stać, ale pragnie spocząć jak należy? A może jest tu tylko dlatego, że nie chce być zarazem żywy i umarły? Czyż nie wystarczy to, co trzeba znieść już za życia?

Nie wie.

Drzwi otwierają się i przez chwilę odnosi wrażenie, że po to jest tutaj, aby zobaczyć, jak otwierają się, szare drzwi i jak w ciemnej

przestrzeni ojciec patrzy w stronę słońca. Wysoki, zgarbiony, siwy człowiek, który złożył dłonie, gdy spojrzał na ławkę. Nie zachwiał się i nie krzyknął. Stał na progu i złożył dłonie. Widocznie było już u niego wiele takich twarzy i wie, że bezcelowy jest jakiś inny gest

poza złożeniem dłoni. Ponieważ wszystko ponownie przeminie, wszystko to, co rysuje się w złudnym powietrzu: twarz, postać, barwa i kształt.

A jeśli nawet zjawa wstanie z ławki i po trawie podejdzie do niego, jeśli nawet chód będzie ten sam, nieco nieregularny i kulejący, jakby

szykował się do skoku, zapewne w innych przypadkach odwiedzin

tak samo było. A wynika być może z tego, że w cichej piersi wszystko się przechowa, głęboko, że lata były samotne i długie, że wiele dni było mglistych, a wiele nocy bezsennych, spędzonych w pustej izbie,

którą cztery razy pod rząd zapieczętowała śmierć.

Potem jednak, gdy usłyszysz głos, będzie musiał uwierzyć, że on tu jest,

że wrócił z niewoli, aby złożyć krótkotrwałą wizytę. Nic dziwnego, że stary człowiek teraz drży. Nawet drzewa mogą drżeć i domy, a także ziemia, gdy ją człowiek rozrywa podczas bitwy. Michał jest poruszony widząc, jak ojciec drży. Ojciec nie jest drzewem.

Ojciec

jest czymś szczególnym, innym od reszty ludzi. Gdy kapral zapłakał, wtedy było wszystko w porządku: miał pejcz... Przysypmy ziemią jego łzy! Jeśliby miała zapłakać pani majorowa... Jej łzy obeschną. Panią majorową niejedna rzecz może pocieszyć, nie tylko chusteczka z wyhaftowaną koroną. Ale gdy płacze ojciec, wtedy nie jest dobrze.

Czujesz się tak, jakby ci nogi spętano łańcuchem. A nogi muszą być wolne. Już od dawna są otarte do krwi.

- Michale - mówi ojciec i końcami palców gładzi brązowy surdut.

- Michał nie żyje, widziano go, jak leżał z otwartymi oczami. Jego imię jest na kamieniu... Cóż mam uczynić, abys odnalazł spokój? Spaloną skórę Michała przechodzi mrowie. Otóż to, świat przewraca się do góry nogami i dla zmarłych wstęp jest wzbroniony. Może nie należało usuwać napisu z kamienia na wzgórku? Nie trzeba rozbijać lub przestawiać kamieni zarówno granicznych, jak i nagrobnych.

- Leżałem jak martwy - mówi cicho - ale potem znaleziono mnie.

Ojciec kiwa głową.

- Inni też przychodzili - mówi. - Często przychodzą i siadają w dużej izbie na przypiecku. Tak samo mówią, jak ty. Ale potem szybko wychodzą i nie przez drzwi. Tak blisko... Nie, tak blisko jednak żaden

z nich nie podszedł. Byłeś najmłodszy, byłeś dobrym dzieckiem...

Znów podnosi dłoń i głaszcze brązowy materiał ruchem ostrożnym jak lot motyla.

Michała przechodzą ciarki, choć obaj są w świetle słońca. Długo patrzy ojcu prosto w oczy. Są życzliwe i spoglądają na niego bez

obawy - dwoje przyjaznych, bliskich oczu ludzkich. Ale w tle, w otaczającym go szarym kręgu, coś się zmienia, pojawia się coś w rodzaju odrętwienia - to silniejszego, to znów słabszego. Jak w

pomieszczeniu, do którego wiedzie wiele drzwi. Zamykają się lub otwierają, co sprawia, że oświetlenie staje się niespokojne.

Michał zna takie oczy. Gdy na pustyni zachodzi słońce, chętnie wpatrują się one w płomień na wydmach i trzeba wtedy mieć się na baczności, trzeba zachować wobec nich spokój i ostrożność, w przeciwnym bowiem wypadku może dojść do alarmu lub do strzelaniny

albo i sądu polowego.

Opiera się o szary pień i myśli, że powinno mu być lekko na sercu.

Gdyby kiwnął teraz głową staremu człowiekowi i poszedł sobie stąd, przez sad i przez furtkę w płocie z bukowych desek, potem do drogi

i drogą w las, wówczas stary człowiek zostałby tu, popatrzył za nim

i nawet nie uniósłby w górę ramion. Ponieważ oni wszyscy stąd

odeszli, także ci inni. Posiedzieli trochę, porozmawiali i posłuchali, a gdy zobaczyli, że wszystko jest w porządku, wracali natychmiast do

swojej krainy. Więc stary człowiek składa dłonie i odwraca się twarzą do ściany lub otwiera Biblię, albo idzie do koni. Tak, powinno mu być lekko na sercu. Serce jest jednak ciężkie jak kamień. Także dla

serca są sprawy nieoczekiwane i niepojęte, do których musi przywyknąć. A poza tym trudno jest wiedzieć, jak zachowuje się zmarły.

To coś trudniejszego od siedzenia przy białym stole pani majorowej.

Może byłoby dobrze, gdyby nadjechała teraz na swym karym koniu

i przemówiła jasnym, niskim głosem.

Zamiast niej przychodzi służąca, zgarbione stworzenie w ciemnej

chustce na siwych włosach.

- Przybył Michał - mówi ojciec. - Daj nam coś do zjedzenia,

Małgorzato.

Służąca jest przerażona, przygląda się obcemu, robi lekki ruch ręką i wraca do domu.

Umie zapewne odróżniać gości znad i spod ziemi.

Posiłek jest taki, jak przed dwudziestu laty - cichy, przyjazny, powolny. Służąca przychodzi i odchodzi, zaczyna być niespokojna,

nie wie bowiem, kim jest obcy i czy nie zechce wyzyskać cichego obłądu starca.

Michałowi chleb nie chce przejść przez gardło. Własna stypa nie jest dla żyjącego człowieka czymś lekkim.

Tylko chłop jest spokojny, w cichy a pogodny sposób. Jego świat

wypełnił się obecnie, zaokrąglił, ponieważ Michał nigdy jeszcze

dotychczas nie przyszedł. Może sprawiło to jakieś złe słowo w

przeszłości, jakiś zarzut, jakaś nieprzemyślana przygana. Teraz jed-

nak odchodzi to w niepamięć i podlega przebaczeniu. Również

Michał łamie teraz jego chleb... Ma ciemne dłonie, inne niż jego bracia. I jest dziwnie

ubrany... Chętnie jednak słucha o tym, jakie były żniwa, o tym, co przybyło w oborze i w

stajni. Już jako dziecko był

małomówny. Dobrze odwiedziły, z samego rana, zanim zabrał się do orki.

Od czasu do czasu stary człowiek myśli, że zmarły powinien już odejść. Nikt jeszcze nie był u niego tak długo. Michał jednak idzie razem z nim do sadu, do stajni, wreszcie na pole. Siada na polnej miedzy trzymając w ustach fajkę, a rękoma obejmując kolana, pod czas gdy ojciec odkłada skiby - jedną po drugiej, głęboko, prosto i długo.

Słońce idzie w górę, cienie stają się krótsze, konie grzeją się, a woń ich skóry miesza się z wonią ziemi. Za lasem biją kościelne dzwony, prawdopodobnie na pogrzeb. Dźwięk ich jest ciemny, poważny, ale nie ma w nim niczego złego i niczego smutnego. Chłop spogląda przez ramię w stronę syna, lecz dzwony go nie przepędzają. Siedzi sobie i patrzy na kraj - zmęczony żołnierz, który zrobił swoje.

I chłop zawraca konie, osadza pług starannie a głęboko w błogosławioną ziemię, na której siedzi zmarły.

I tak aż do późnego popołudnia. Cienie znów stają się dłuższe i nadchodzi czas, kiedy należy wstać, aby znów powędrować. Las stoi

cichy i ciepły. Na jego pnie pod igliwem i młodym listowiem padają promienie słońca. Odzywa się dzięcioł, a nad czubkami drzew stoją białe, okrągłe chmury.

- Tak, u pani majorowej jest też Jonasz - mówi ojciec po skończeniu bruzdy - i jest mu tam dobrze.

Zanim odwróci pług, pokiwa głową.

Michał podciąga pod siebie prawe nogę i odwraca się. Nim nowa bruzda zostanie skończona, on już od dawna będzie w lesie. Wtedy wytwór wyobraźni zginie, rozejdzie się w błękitnym powietrzu, a tam, na drugim końcu pola, ojciec postoi sobie chwilę, pokiwa głową i zacznie następną bruzdę. Długie odwiedziły, ale chyba zmarli nie mają aż tyle czasu, aby móc jeszcze wieczorem, gdy słońce opada za moczary, posiedzieć sobie na ławce.

Ponieważ jednak ojciec ogląda się i patrzy przez ramię, więc Michał nadal siedzi. Już za późno i trzeba czekać na kolejną bruzdę, która będzie wiodła od niego.

Ojciec wraca teraz między kiwającymi się końskimi łbami. Powoli i pewnie powiększa się, w miarę jak narasta szmer lemiesza.



- Tak, jego braciszka jeszcze nie znaleziono - mówi ojciec. - Często słyszymy, Jonasz i ja, jak pod wieczór woła i woła...

Znów pług zostaje odwrócony, rżysko szumi, a wrony, które nadleciały, idą nową bruzdą. Michał ponownie odwraca się w stronę lasu i opiera się prawą ręką o ciepłą trawę, lecz ojciec w połowie pola znów się ogląda, patrzy za siebie. Syn jednak nabija sobie jeszcze raz fajkę i widać, że nie śpieszy mu się z odejściem, że ma jeszcze czas,

być może do wieczora, że będzie błogosławił pole aż do ostatniej bruzdy.

Tak zastaje ich pani majorowa, która powoli jedzie polem. Co godzina wchodziła na wieżę i za każdym razem obraz się nie zmie-

niał. Obraz spokojny, ale jednak niezwykły, tak dla człowieka, który przestaje ze zmarłymi, jak i dla tego, który wstał ze zmarłych, a mimo to nie chce żyć pod dachem. Obraz to niezwykły i nieco niesamowity

przez swą ciszę, a jej serce łomocze, gdy schodzi z konia i podchodzi do chłopca, aby powiedzieć mu dobre słowo o jego szczęściu.

Zanim jednak jest w stanie je wymówić, chłop chyłkiem podnosi rękę i wskazuje na syna, który siedzi na drugim końcu pola.

- Michał przyszedł - uśmiecha się lekko i mówi szeptem, jakby stał przy nim. - Dostał urlop, dłuższy niż inni, bo jest tu już od samego rana. Ale proszę się nie obawiać, pani majorowo, zmarli są dobrzy...

Pani majorowa początkowo nie rozumie, lecz gdy zaczyna pojmować, blednie. Jej świat również odwraca się do góry nogami. Czymś naturalnym jest to, że jej zdrowy rozsądek stara się przed tym bronić.

Przyzwyczała się, że góra i dół są na swoich miejscach i chce, aby zmarli na równi z żywymi otrzymali to, co się im należy.

- Fahrenheit - mówi poważnie - przed żywymi nie należy zamykać drzwi... On żyje, Fahrenheit!

Chłop jednak uśmiecha się, a nawet ostrożnie gładzi jej dłoń.

- Pani majorowa chce mi pomóc - odpowiada. - Dziękuję pani majorowej. Ale ja już przetrzymałem. To ładnie, że Michał przyszedł.

Jest bardzo spokojny. Zawsze był spokojny, już jako dziecko. I dlatego właśnie pozostaje dłużej niż inni... Nie, pani majorowa nie musi mi pomagać...

Wszystko jest bliskie i rzeczywiste: chłop ze swą niemal rozproszoną i uroczystą

twarzą, konie ze zwieszonymi łbami, czekające

wrony, słońce na pługu i brzdach, a tam w głębi spokojna i nieruchoma postać człowieka, który siedzi i który wrócił w strony

rodzinne. Obraz to całkowicie ziemski, bez duchów i niesamowitości,

a pani majorowa nawet przytakuje chłopu, jak się wydaje przeko-

nana i niemal zakłopotana. Gdy jednak jej koń posuwa się po rżysku w stronę człowieka, przed którym nie zostaną otwarte drzwi, znowu

zbiera się jej na płacz. Nie jest w stanie być gniewna tak, jak to było rano, ponieważ świat bardzo się zmienił od wczorajszego wieczoru.

Kto zdoła przekrzyknąć starego człowieka, że śmierć ma już dosyć?

Uśmiechający się w towarzystwie zmarłych stary człowiek przerazi się, gdyby się okazało, że jest w błędzie. Będzie krzyczeć z przerażenia, jeśliby zmarły nim nie był. Jego z trudem ocalony świat wisi na włosku. Kto się odważy przerwać ten włos?

A syn? Co zrobi syn? Co zrobił przez te godziny, które minęły od

wschodu słońca? Czy bronił się tak, jak bronią się ludzie pozornie

zmarli? A może tylko uśmiechał się kpiąco i ponuro, jak to jest w jego stylu?

„Ach, pani majorowo - powie. - Jak to jest właściwie z tą filozofią wziętych do niewoli? «Po otwarciu bram zamykają się drzwi». Czy

pani majorowa nie widzi przypadkiem, że filozofia wziętych do nie-

woli wcale nie jest taka głupia? To filozofia dalekowzrocza, wręcz

prorocza. Komuś zachciało się wrócić, by tak sobie, po drodze, powiedzieć «dzień dobry». No i proszę, drzwi się zamknęły. Nie ma

mowy o jakimś «dzień dobry», jest tylko «bądź pozdrowiony z tamtej strony grobu».

Czy pani majorowa umie na to coś poradzić? Przecież wie pani, jak należy kręcić wierzbowe fujarki, aby nie popękały. Pani

wiele wie i to na ogół lepiej niż inni ludzie. I oto zjawia się ktoś, kogo nie chcą wypuścić z grobu. Może pani majorowa zechce uchylić nieco kamienia?...”

Och, ramiona pani majorowej są bardzo zmęczone, gdy człowiek,

który wrócił do domu, wstaje i kłania się jej. Nie jest w stanie podnieść tego kamienia i w tej chwili musi zadać sobie sporo trudu, aby

wyczytać z milczącej twarzy, w jaki sposób przyjęty został powrót i odepchnięcie zmarłego. Lecz z tej twarzy niczego nie można wyczytać. Niczego, poza zimnym spokojem człowieka, który wiele widział,

który mało chce, niczego nie oczekuje, a to, co ma nadejść, darzy

tylko znużoną ciekawością. Może interesuje go, jakie ubranie ma na sobie pani majorowa, może to, czy w nocy siwe pasemka włosów stały się szersze albo też czy oczy, którymi mu się przygląda, są piwne czy niebieskie.

Pani majorowa nie jest przyzwyczajona do tego, aby po jej twarzy wodzić wzrokiem jak po beżpańskim polu, więc zarzuca cugle na ramię i wskazuje w stronę lasu:

- Chodźmy - mówi - chcę panu coś pokazać.

Nie odwracają się, gdyż nie chcą wiedzieć, w jaki sposób chłop patrzy za nimi. Nie mówią też nic do siebie dopóty, dopóki nie znajdą się na drodze odchodzącej od traktu w głąb lasu. Z chwilą jednak, gdy otoczą ich pachnące świeżą żywicą ciche pnie, na których migoce gra światła, gdy wiatr poruszać będzie wierzchołkami drzew, tam w górze, wówczas odniesie się wrażenie, że kroki mężczyzny nabierają pewności, stają się bardziej swobodne, jakby rozpoznawał on po dniu błędzenia i daremnej męki właściwą drogę

i jakby miał zamiar jeszcze przed nocą nadrobić nieco to, co zostało zaniedbane. Rozpoznawszy tę odmianę pani majorowa zapytuje, wcześniej niż to miała zamiar uczynić, czy było to przez niego tak właśnie pomyślane wieczorem na moczarach i rano, gdy usunął samego siebie spośród zmarłych.

Popatrz no - przechodzi mu przez myśl - cóż to za niebezpieczna kobieta...

Znów może się uśmiechnąć i we właściwy sobie kpiący sposób odpowiedzieć, że istotnie w dalszym ciągu jest tak, iż pani majorowa

wszystko wie, on zaś istotnie inaczej sobie to obmyślił. Stwierdzenie to odnosi się zapewne również do niej.

- Tak - mówi ona - a idźcie teraz o to, aby z tego, co się inaczej stało, zrobić inny krok niż ten, który się zamierzało. Owce mogą się tłoczyć przed wrotami, którymi przywykły wychodzić, a które się zamknęły niespodzianie, natomiast człowiek powinien jednak poszukać sobie innych wrót.

Mężczyzna wówczas zapytuje uprzejmie, czy porównanie to odnosiło się do niego.

Pani majorowa jednak potrząsa tylko głową i patrzy przed siebie, na zieloną drogę, na której leżą jeszcze zwiędłe liście z ostatniej jesieni.

- Nikt nie może tak powrócić - mówi cicho - nawet z piekła. I nie może w ten sposób przyglądać się ojcu przez cały dzień, aby go serce nie zabołało. Nikt tak nie może...

- Czy pani majorowa wie coś na temat mojego serca? - pyta rozgniewany. - Chciałbym pani majorowej coś powiedzieć. Gdyby on liczył, że zostanę, wówczas łatwiej byłoby mi odejść już po godzinie.

On jednak czekał na to, że odejdę tak, jak inni odeszli. A w takim wypadku ciężko jest odejść. Czy pani to rozumie?

- Lekko jest więc - mówi po chwili pani majorowa - wyrządzić zło, ciężko natomiast wyświadczać dobro.

- Tak. Czyż nie wie pani o tym? Pani majorowa będzie musiała zapewne bardzo posunąć się w latach, zanim nauczy się tego.

A ponoć niektórzy przez całe życie nie mogą się tego nauczyć.

- Stary człowiek, na przykład - odpowiada krótko - albo Jonasz...

Tak, na tym świecie zawsze było smutno głupim, ponieważ tylu mądrych stoi sobie z boku i przypatruje się...

Droga jest coraz cichsza. Ptaki odzywają się już w głębi lasu, a wiązki słonecznych promieni leżą prawie poziomo w ciemnych gałęziach.

Pani majorowa chce jeszcze coś wiedzieć. Tam na polu, gdy pług, to najcichsze narzędzie świata, którego pewnie przez te wszystkie lata nie widział, przesuwa! się tam i z powrotem, czy w tamtej chwili nie odczuwał pragnienia wyjęcia go ze starych rąk po to, aby ująć go

swoimi młodymi, aby wyczuć w nich coś w rodzaju błogosławieństwa, po krwi, pocie i nienawiści? Czy nie byłoby to

pobłogosławieniem pokolenia wstępującego w ślady tego, które odeszło?

Pani majorowa chyba się zbyt pośpieszyła, chyba nie pomyślała, że w oczach takiego człowieka wszystkie te rzeczy: pole, pług i

bruzda muszą wyglądać inaczej niż w jej oczach. Zapomniała zapewne, że i jej dziwne wydały się obsiane pola i łąki, gdy przybyła z Francji z drewnianą trumną. Gdy przybyła z ziemi spalonej, zatru-

tej i spustoszonej, z nie dającego się do niczego porównać przerażenia, jakie odczuwał wówczas każdy, kto zwykł był ziemię nazywać matką. Kto miał zwyczaj rozgarniać ją gołymi rękami, aby pod jej powierzchnią znaleźć chłód, korzenie i nasiona, a dowia-

dywał się, że można znaleźć krew, żelazo i zmarłych, i nic innego

prócz nich. Zapomniała zapewne, że stała wówczas przy pierwszym zaprzęgu i z przerażeniem patrzyła na ziemię wydobywaną z ciemnej głębi. I że dużo czasu trzeba było, zanim przestała przypisywać ziemi winy przez nią nie popełnione.

Na pewno zbyt szybko się pośpieszyła, gdyż mężczyzna gniewnie wykopuje nogą szyszki jodłowe na pobocze drogi i zaczyna coś mruczeć, co nie brzmi jak błogosławieństwo.

- Nie idzie w tym wypadku o pokolenie, które nadchodzi i o to, które należy zastąpić - mówi wreszcie - ale o pokolenie przeklęte.

Kto wrócił w swoim czasie, ten mógł przeskoczyć cztery lata tak, jak przeskakuje się rów i rozpocząć dzień w tym miejscu, w którym skończył się on przed czterema laty. Po to przecież był nieobecny,

aby uratować swój pług. Kto jednak wraca po dwudziestu latach, ten nie odnajduje rowu do przeskoczenia, lecz morze. Wraca nie z wojny, ale z piekła, będącego dziełem ludzi. Ie jest, jeśli się godzinami męczy zwierzę, lecz gdy się męczy ludzi nie godzinami, lecz latami,

przez całe życie i to nie pojedyncze życie, wówczas nie jest to coś złego, lecz coś przeklętego i diabelskiego, tak, diabelskiego do tego stopnia, że żaden Bóg nie może się temu przyglądać, chyba że jest

głupcem lub panem wszystkich diabłów. A kto to widział, ten nie może iść krok w krok, gdyż to właśnie musiał tam czynić. Ten nie

może wziąć w rękę żadnego narzędzia, gdyż tam był do tego zmuszany również. I nie może zrosić potem swojej pracy, gdyż musiał to

tam czynić. Ten nie może już żyć jak inni, w ładzie, porządku i zgodzie nie z prawem, ale musi móc krzyżeć, gdy go najdzie taka chęć, gdzieś samotnie na rozległej przestrzeni, aby się dzieci nie

przestraszyły. I musi móc biec, gdy go najdzie taka chęć, gdzie oczy poniosą. A od czasu do czasu, tak, od czasu do czasu musi pić, jeśli chce zapomnieć o pewnych rzeczach, jakie zaistniały niegdyś między

jednym człowiekiem a drugim. Niektóre bowiem obrazy giną tylko dla oczu, które zgasły albo też dla oczu człowieka pijanego. Pani majorowa natomiast powinna podziękować swemu Panu Bogu, że w

swym porządnym i czystym życiu nie spotkała takich obrazów.

Mężczyzna wyrzuca to z siebie dziki i gniewny, a odkąd wyruszył

na wojnę, chyba nigdy tak długo nie przemawiał, jest bowiem wyczerpany i niemal zawstydzony, jakby ocknął się ze snu, w którym głośno wypowiadał obrzydliwe słowa. Pośpiesznie rozgląda się, jakby musiał natychmiast uciekać z tej narzuconej wspólnoty we dwoje, która sprawiła, że dokonał spowiedzi, niepotrzebnej, całkiem zbędnej spowiedzi.

Pani majorowa kładzie jednak teraz swoją dłoń na jego ramieniu i zmusza go do zatrzymania się. Wyraźnie powtarza wypowiedziane przez niego wcześniej słowa:

- Czy żołnierz imieniem Michał wie coś o moim życiu?

A ponieważ żołnierz Michał niczego nie wie o życiu pani majorowej, z wyjątkiem tego, co widzi przed sobą ponurymi oczyma - wierzchowca, majątek złożony z wielu tysięcy morgów, dający poczucie pewności dom z parobkami i służbą oraz spokojną, surową i bardzo zamyśloną twarz - przeto nie wie, co odpowiedzieć na to pytanie.

Idą więc obok siebie milcząc i tylko gdy koń potrząsa łbem, aby odpędzić muchy, cicho brzęczą kółka uzdy.

Potem Michał chce dowiedzieć się czegoś o życiu pani majorowej i pyta, skąd się wzięły na jej lewej skroni pasemka siwych włosów.

Nie okazując zdziwienia pani majorowa odpowiada, że biorą się z tego, ponieważ nie wie się wszystkiego lepiej i ponieważ są ludzie, którzy wylatują jak ptaki ponad sad, i którym można się tylko przyglądać z opustoszałego progu.

Potem milczą aż do chwili, gdy dochodzą do zbudowanego z pni domu.

## ***Rozdział 2***

Dom leży na brzegu ciemnego, leśnego jeziora z trzcina i wysokimi sosnami po bokach. Na drugim jego końcu jest podmokła łąka, z której odlatują bezgłośnie dwa żurawie. Z innej zaś strony

schodzą do niego młode zagajniki, za którymi znów stoi wysoki las o ciemnym i ostrym profilu. Droga kończy się przy szarym płocie, nad którym spotykają się wierzbówki kosmate nie mające jeszcze kwiatów. Wydaje się, że wiele innych rzeczy ma tu swój kres - na przykład świat i wywoływany w nim przez ludzi hałas. Stoją tu bowiem tylko wysokie, stare i całkowicie spokojne drzewa. Oboje więc - pani majorowa i żołnierz - patrzą przez chwilę na ich

wierzchołki.

Kto czuje się na polu jak u siebie lub jest w nieustannym ruchu na drogach, w otwartej przestrzeni, ten chętnie przystanie nieruchomo i będzie odczuwał wielkość życia tkwiącego w takich wysokich

drzewach, będzie czuł, jak wstępuje ono od korzeni do korony, jak wypełnia swoją przestrzeń, jak czeka, rośnie i cicho realizuje zadanie tworzenia.

Potem pani majorowa zerka z boku na twarz Michała, a przywiązawszy luźno cugle do szarego płotu, odryglowuje furtkę i mówi:

- Żyłam tu, gdy przyjechałam z Francji z trumną. Proszę teraz tu zamieszkać, ponieważ jestem jeszcze za młoda, aby mieć siwe włosy, prawda?

Siedzą na ławce pod drewnianym parapetem okna, a ponieważ

Michał jeszcze nie odpowiedział, dodaje, że potrzebuje łowczego i

to od dawna, gdyż jej leśniczy zna się tylko na swoich młodych

drzewkach i zamiast strzelby mógłby równie dobrze nosić na ramieniu parasol. Nie

tylko ona potrzebuje łowczego, potrzebuje go też las, aby zaistniała w nim władza i sprawiedliwość. Dom jest urządzony, choć ubogo. Jutro zaś rano przyśle wszystko, czego jesz-

cze brak, również strzelby. Chce mu też przyznać, jak to się należy, pensję, a. zgadza się nawet na jednodniowy termin wypowiedzenia z jego strony. Poza tym - dodaje - łowczy jest chyba najbardziej wolnym człowiekiem na ziemi. Gdy zaś wieczorem z ludzkich pól mysołów będzie wracał do lasu, stary człowiek popatrzy za nim i pomyśli, że nawet zmarli nie są sami...

Nie wie, czy Michał ją słyszy, ponieważ cały czas patrzy na cytrynka,

który kołysze się na wysokiej wieszce trawy u jego stóp. Skrzydła ma

na wpół otwarte i tak prześwietlone zachodzącym słońcem, że widać

delikatny splot żyłek. Na tle intensywnego brązu i zieleni ziemi unoszące się i

opadające czerwonawe złoto tych skrzydeł sprawia wrażenie czegoś czarodziejskiego, do tego stopnia, że również pani majorowa milknie i skupia wzrok na tej zjawie, dopóki lekkim skokiem nie poderwie się i nie zniknie między pniami.

- Wszystko to - mówi teraz Michał nie patrząc za motylem - pani majorowa wymyśliła dziś w nocy?

- Nie dziś w nocy - odpowiada pani majorowa - ale dziś rano, gdy ktoś swoje nazwisko usunął z kamienia zmarłych.

Nagle wybucha płaczem, nie udawanym, jakby powstrzymywała i

zbierała łzy wówczas, gdy mówiła do niego. Płacze cicho i podchodzi do konia, odczepia cugle z płotu.

Michał stoi już przy niej i podkłada dłoń, aby mogła na niej oprzeć lewą nogę. Waha się, zanim kładzie ją na ogorzalej dłoni, jest zaszkodzona tym i zmieszana.

- Pani majorowa jest kobietą, którą trzeba podziwiać - mówi Michał, gdy ona siedzi już w siodle - i zapomina zapewne o tym, że żołnierz Michał jest tylko chłopskim synem, poza tym zesłańcem, a także

włóczęgą. Zastanowię się jednak...

Pozostaje przy płocie i patrzy, jak pani majorowa wraca zieloną drogą. Coraz gęstsze są drzewa poza nią, coraz bardziej odległy

tętent konia, aż wreszcie mężczyzna zostaje całkiem sam pod starymi drzewami.

Zawsze był sam w ostatnich dwu latach, również gdy przebywał w starych, wielkich lasach. Musiało to być jednak coś innego, ponieważ rozgląda się kiwając głową, a gdy zaszuwa rygiel od wewnątrz, czyni to ostrożnie, jakby się ktoś temu przysłuchiwał.

W ten sposób Michał został łowczym, a o jego powrocie zaczęto wiele mówić w całej okolicy. Pastor na ambonie długą chwilę mówił o tym cudownym zrzędzeniu boskim i o starym człowieku, który został przygięty do ziemi, a teraz wyprostuje się w synowskiej miłości i widocznej łasce nieba. Mówił też o życzliwych wrotach, jakie ojczyzna otworzyła przed wracającym, aby odnalazł łatwo stare drogi. Starego człowieka nie ma jednak w kościele, nie ma go już od wielu, wielu lat, a pani majorowa, w której stronę zwracają się wszystkie spojrzenia, patrzy przed siebie prosto i nieruchomo, patrzy na b swojego domu, umieszczony na ścianie kościoła, a mający ukośną belkę na zielonym polu.

Mówi się o tym także w chłopskich zagrodach, w karczmach i czworakach, gdy po raz ostatni zabrzmie dworski dzwon. Mówi się tam

jednak inaczej niż na ambonie - ostrożniej i ciszej, nie z taką pewnością i nie tak wspaniale, jak to czyni ksiądz pastor. Rozmowy te bowiem poruszają się na chwiejnym gruncie, ponieważ uzależnione są od wypowiedzi trzech osób. A wśród nich jedna

osoba utrzymuje kontakt ze zmarłymi, druga jest dziwna i słyszy

krzyki na moczarach, trzecia zaś, zdaniem mademoiselle, jest

zwykłym cielęciem. Podobnie jest też z tym, co mówią. Gospodarz



Fahrenheit uśmiecha się i pokazuje miejsce, gdzie siedział zmarły, „dobry zmarły”. Jonasz nie wie, czy wrócił zmarły, czy też żywy. Lena natomiast widziała tylko Indianina, który nie spał w łóżku, okno zaś było rankiem otwarte, jakby przez nie wyleciał ptak.

Panią majorową mogą nieco gniewać pytania, które uważa za głupie i zbyteczne, więc może spytać na przykład starego dniówkarza, czy

został wykarmiony owczym mlekiem. Poza tym musi prowadzić korespondencję, jeździć powozem na przykład do wójta, prezesa, żandarma, sędziego. W tych pierwszych tygodniach była też parę

razy w lesie razem z ludźmi, którzy siedzieli przy niej poważni i uroczyści, a wracali z lasu tak samo zamyśleni, jak pani majorowa.

Czy łowczy Fahrenheit powinien stawić się u wójta, przynosząc z sobą dokumenty? A potem u prezesa, u landrata, w sądzie? Tylko po to, aby zostać sprawdzony, zaksięgowany, ostemplowany i przywrócony do życia? Łowczy zgarnia papiery w jeden kłęb, rzuca

posłańcowi pod nogi, zarzuca na ramię strzelbę i, nic nie mówiąc, idzie w las. Oduczył się już tych rzeczy i nie jest skłonny do uczenia się ich na nowo. Potrzebna jest do tego silna i spokojna dłoń pani majorowej, aby uporządkować, poukładać i zabezpieczyć. Czyż łowczy chce, aby pani majorowa dalej siwiała? Nie, tego to on na

prawdopodobnie nie chce, gdyż można go zastać na ławce przed domem zbudowanym z bierwion, w chwili, gdy nadjeżdża powóz z uroczystymi ludźmi. Odzywa się także i odpowiada, patrząc jednak na panią

majorową, a to, co mówi, sprawia zadowolenie uroczystym panom, gdy mogą znów wyjechać na otwarte pole, gdzie śpiewają skowronki.

Nie ulega wreszcie wątpliwości, że żołnierz Michał może żyć.

Poświadczone jest to wieloma niebieskimi stemplami, otrzymuje w aktach swój znak i zostaje włożone do szafy, dołączone do wielu innych akt, z których, gdy się je poruszy, unosi się szary pył. A potem, przy drodze, w miejscu, gdzie odchodzi od niej do domu

Michała zielona ścieżka, umieszczono tablicę z napisem: „Zakaz wjazdu”. W ten sposób łowczy został poniekąd sam.

Codziennie w południe, po cichu, przyjeżdża na rowerze Lena.

Kładzie na ławce przed zamkniętymi drzwiami zasłonięty koszyk, rozgląda się trwożliwie i odjeżdża. Gdy przez szereg dni nic się nie dzieje, gdy włosów jej nie przeszywa żadna strzała, gdy nie słyszy

okrzyku na ścieżce wojennej i nikt nie rzuca tomahawkiem, zostaje i siedząc na ławce bawi się koralami na piersi, rozgląda się. Ponad nią szumią wysokie drzewa, nad trzciną przelatuje czapla, dzięcioł

stuka za zagajnikiem. Jest cicho, ciepło i całkiem bezpiecznie. Lena czuje jednak na plecach zimny a zarazem przyjemny dreszcz, zamyka więc oczy i wstrzymuje oddech, aby móc lepiej nasłuchiwać.

Ponieważ jednak w dalszym ciągu nic się nie zdarza, musi w końcu wstać i trochę rozczarowana odjechać.

- Uważam, że jest porywaczem kobiet - mówi wieczorem w kuchni

- i pewnego dnia rzuci się na mnie z tyłu i porwie mnie, a wy będziecie musieli mnie szukać.

Słyszając to mademoiselle opiera podbródek na warząchwii, długo przygląda się jej i mówi w zamyśleniu:

- Wystarczy, Leno, że pójdziemy na najbliższy targ na cielęta, gdyż na pewno będzie chciał na nim sprzedać ciebie. Ponieważ jednak nie ma odpowiedniego zaświadczenia własności, odbierzemy mu cię.

Nie, łowczy Michał - tak się zdaje - nie ma ochoty być porywaczem kobiet. Wczesnym rankiem budzi się na posłaniu, patrzy przez otwarte okno, czy słońce świeci i ponownie zamyka oczy. Mija jeszcze dobra chwila, zanim odnajdzie swoje nowe miejsce. W oknach

nie ma krat, a za drzwiami nie rozlega się pobudka. Słychać tylko lekki szum nad dachem i głosy ptaków ze wszystkich stron, natomiast ani jednego ludzkiego kroku przy domu, ani jednego.

Wtedy wstaje i schodzi do jeziora. Woda jest ciemna i chłodna, a on nie wie, co kryje się w głębi. Piękne są jednak łodygi trzcin, które

kołysząc się tworzą jedno wielkie, łagodnie falujące pole. Piękne jest także odbicie ciemnych świerków w wodzie, rozgarniane ramionami, rozpadające się, niszczone, potem jednak znów powstające -

spokojne i bez jednej skazy. Piękne jest także ponowne wchodzenie pod górę po ciepłej trawie i suchym igliwiu świerkowym, między tak bardzo poważnymi i milczącymi, wysokimi pniami. Pięknie jest wypatrywać w górze pierwszego orła, zataczającego wysokie kręgi nad ciemną wodą, w której znieruchomiały ciężkie ryby.

Czy jest to czymś pięknym dla Michała? Nie formułuje tego w swoich myślach, może

nawet nie zna obecnie tego pojęcia. Ale i tak jest już

dobrze, że zapadają w niego spokojne i nie uszkodzone obrazy lasu, że chłonie je swoimi wszystkimi zmysłami. Nie ma wówczas miejsca dla innych obrazów, tych, które były. Przestrzeń, jaką dysponuje,

wypełniają aktualne światła, barwy, ciepło, a jedyną rzeczą, jakiej potrzebuje w taki poranek, jest móc wyprostować nogi i po prostu być.

Zresztą dość wcześnie przychodzi coś innego. Na przykład, gdy pali fajkę, po wypiciu kawy. Gdy patrzy na niebieskie chmury, które pojawiają się i zaczynają wędrować. Wówczas nie ma w nim niczego stałego, takiego jak pnie, wierzchołki i orzeł, ale jest coś rozproszonego, bezkształtnego, coś, co się zmienia. Coś, jakby ogień na pustyni i krąg wypłowiących twarzy, i dym unoszący się spomiędzy warg.

Albo jak zarośla na wzgórku, pod którymi leży człowiek i patrzy w gwiazdy. Lub jak kominek w obcym pokoju, w którym siedzi kobieta i bierze zapalną z jego dłoni. Wówczas jego wewnętrzna przestrzeń nie jest wypełniona teraźniejszością, lecz jest w niej wiele miejsca dla takich właśnie obrazów. Tak wiele, że mieści się pół ziemi wraz z krajobrazami, twarzami, słowami, dźwiękami. Ziemia, która minęła, nie ta, która należy do przyszłości. Albowiem dla przyszłości nie ma jeszcze miejsca w tej wielkiej przestrzeni.

Jednakże już tylko to, co minęło, wystarcza, aby umysł Michała ogarnęła ciemność. Słońce nadal świeci, lecz jego światło do tego stopnia sprawia mu przykrość, że zaciska powieki, czoło się pokrywa zmarszczkami, których przedtem nie było, a są wśród nich też nie wróżące nic dobrego. Nadal jeszcze szumią drzewa, ale jego słuch stał się bardziej wyczulony, gdyż wydaje mu się, że odnajduje w szumie dźwięki, które budzą przerażenie. Ten tak przyjazny, swojski

dom, zbudowany z belek i desek, nie jest zapewne dość wielki i dość przestronny, ponieważ Michał bierze strzelbę lub trójłufkę i

wychodzi. Jego wzrok nie kieruje się teraz w stronę wierzchołków i orłów, jak w zaraniu, lecz na drogę lub bezdroża. A bywa też nierzadko, że Michał potyka się o korzeń lub wpada na drzewo.

Z lekka klnąc przytomnieje, rozgląda się, znajduje właściwą drogę, spostrzega drzewa, trawę, kwiaty, które lekko porusza wiatr, w

twarzy jego widać odprężenie, staje się otwarta i ożywiona, dopóki nie nadciągnie

nowa chmura.

Tak, może nie skłamał, gdy mówił pani majorowej o morzu i ma rację twierdząc, że nieprzewyciężalne przychodzi zawsze z jednej strony, nie kończącymi się falami, przed którymi należy strzec nogi. A tej drugiej strony, tej wolnej, też człowiek nie chce, ponieważ każdy

pragnie wolności z obu stron. Cóż to bowiem za wolność, jeśli nie jest otwarta na wszystkie kierunki?

Las jest duży i nawet zataczając wielki krąg można nie wyjść na jego brzeg. Poza tym na zachodzie przylega szeroko do moczarów. Jest tam dobre miejsce, w płaskim rowie granicznym, pod obwisłymi brzożami. Za plecami ma się bowiem ciszę, a przed sobą milczenie.

Piękny jest krzyk jastrzębia, smutne opadanie dźwięków - gdzieś z tyłu; piękny jest krzyk kulików, wysoki i niewidoczny nad połyskującą powierzchnią - gdzieś z przodu. Samotne i dzikie ptaki unikające ludzi, nie znający spokoju piloci z nieznanego gniazda.

Piękna jest także trawa, gdy wysokimi wiechami kołysze się na wietrze; piękne jest brunatnawe, wilgotne i podzielone na różne części mokradło, a także ostatnie drzewa na skraju moczarów, rozsypane i całkowicie samotne na tle nieba.

Strzelanie? Tak, strzela się także. Dobrze jest położyć dłoń na chłodnej szyjce kolby i zmusić cel, aby znalazł się na linii śmierci.

Ale już odgłos strzału jest zbyt głośny, gdyż wywołuje wielokrotne echo z milczenia. Nie dostarcza też radości widok zabitego zwierzęcia. Jest w tym widoku coś matowego, załamane, bezsensownego.

Mimo to dobrze jest nieść strzelbę z pięcioma nabojami w komorze, ze szlachetną, smukłą, pomatowiałą lufą i z zamkiem, który zatrząskuje się za nabojem zimno i groźnie. Po tylu latach schylania się

dobrze jest teraz nieść coś, przed czym pochyla się wszystko, co żyje.

Dobrze, ale po co?

Jaki jest bowiem cel tych dni i nocy? Nie jest nim jedzenie, dach i sen. Stały się jego udziałem, choć ich nie pragnął. Stary człowiek?

Jemu jest to obojętne, czy zmarły imieniem Michał wędruje po lesie, czy po pustyni. Zjawił się, posiedział na jego polu i zniknął. Może jeszcze wróci, ale nie jest ważne, skąd przyjdzie. Zmarli przychodzą

z miłości samotnego człowieka, a miłość jest wszędzie.

Zdarza się, rzadko wprawdzie, że Michał dochodzi aż do skraju lasu i ukryty za niskimi gałęziami świerków patrzy stąd na pole, na którym pracuje stary człowiek. Jego pojawienie się nie sprawia jakiejś szczególnej troski. Zawsze chodził przygarbiony, krokiem powolnym i ciężkim. Tak samo się prostował, tak samo kładł dłonie na narzędziu i tak samo przez chwilę patrzył cicho w dal. Nie ma w tym człowieku rozpacz, rozbicia, wleczenia za sobą niewidocznych ciężarów. Chłop, jakich wielu, który obudził życie i pogrzał życie, który służy ziemi i który wie, że ziemia kiedyś będzie mu służyła.

Michał może więc wrócić do lasu i znów pogрузić się w swojej skrytości. Bez trosk i strapień. Nic się nie zmienia. I nic by nie uległo

zmianie, jeśli by stary człowiek go zobaczył.

„Michał znowu był tu. Stał pod lasem i przypatrywał mi się... Dobre z niego dziecko, ciche, o czystym sercu”.

Jaki więc jest cel? Siwe pasemko włosów na skroni pani majorowej?

Należałoby najpierw zobaczyć, czy stałoby się szersze, gdyby odszedł. Czy chce zobaczyć? Nie. Woli zejść do jeziora i popatrzeć, czy na ciemnym palu w trzcinach siedzi rybołów. A potem woli wrócić na ławkę przed domem, oczyścić i naoliwić lufę strzelby, zjeść trochę chleba, zapalić fajkę i popatrzeć, jak drzewa idą spać. Woli czekać, czy od południowej strony rozlegnie się tętent konia i czy ona posiedzi sobie z pół godziny na ławce, rozgrzana jazdą, trzymając dłonie na pejczu, bardzo wyprostowana, bardzo życzliwa i zawsze z ukrytą troską w jasnych oczach.

Czy naprawdę czeka? Tak, czeka. Oczy spoglądają w stronę ciemnych wierzchołków tam w górze i towarzyszą powolnemu ruchowi

pierwszych gwiazd, napięty słuch skierowany jest jednak w prawo, w stronę szarego parkanu. Gdy słyhać trzask gałązki, serce zaczyna bić żywiej. Prawdą jest więc, że czeka, choć wargi rzucają przekleństwo.

No tak, pani majorowej nie ma. Zapalmy więc jeszcze raz fajkę i wypijmy szklanekę tego, co przysłała we flaszcze. Pani majorowa jest

mądrą kobietą - o wszystkim pomyśli. Wie, że są ludzie, którzy potrzebują takiej szklaneczki, zwłaszcza gdy między drzewami pojawiają się, odchodzą i wracają zjawy. Gdy nie przychodzi pani majorowa, wówczas przychodzą zjawy. Na tym polega sprawiedliwe wyrównanie. A po drugiej szklaneczce nie trzeba już wypatrywać, można spokojnie patrzeć między drzewa, nie trzeba się bać. Wiemy o tym

bardzo dobrze, że kaprale nie są nieśmiertelni, nawet jeśli mają pasemka siwych włosów na lewej skroni. Wiemy też, że zmarli

wraca ją nie tylko do starego człowieka, który teraz czyta Biblię.

Sami jesteśmy takimi wracającymi i spokojnie machamy ręką, gdy zjawiają się nam podobni. Wypijmy trzecią szklaneczkę, wypełnioną żarem, za czyjeś zdrowie. Na przykład za zdrowie starego człowieka, przy którego łóżku siedzi czterech zmarłych! Albo za zdrowie pani majorowej, której łożo jest samotne i zimne! Albo za zdrowie

żołnierza Michała, który został łowczym, ponieważ nie może już być chłopem! Albo za zdrowie... Co, nie ma już w butelce ani kropelki, aby wypić za czyjeś zdrowie? Wal butelką o ścianę! O piękną, szarą ścianę z sosnowych pni, oddzielającą od żywych i zmarłych. Wszędzie wokół kawałki szkła, jak na murze cmentarnym... Prześpijmy się

za tymi kawałkami! Światło księżycy na łóżku jest złe i milczące. My jednak zawijamy się w nasze koce jak na pustyni, naciągamy je na

głowę i zasypiamy. Co to kogo obchodzi, że nasze członki drżą, a oczy płoną. Nas to też nic nie obchodzi. Nie obchodzi to życia i

śmierci, Boga i diabła. Jutro zaś rano weźmiemy plecak i pójdziemy sobie daleko stąd. Nikt, nikt...

Nad ranem jednak na las spada ciepły, rześisty deszcz. W zmęczeniu Michała jest trochę smutku, trochę gniewu. Krople szumią na dachu,

ściekają z niego na ziemię. Z ciepłej ziemi podnosi się delikatna mgła i stoi niby lekka ściana przed otwartym oknem. Kładzie się więc ramiona pod głowę, zamyka oczy i nasłuchuje. Piękny, ciężki odgłos.

Szumiało tak nad okopem. Nad zardzewiałymi zasiekami z drutu.

Nad barakami obozowymi. Nad piaskiem pływających wydm. I nad długimi, samotnymi drogami między pustynią a moczarami. Piękny

odgłos. Dobrze jest wędrować pod tym szumem, kiedy nie widać drzew, zwierzęta się pochowały, a ludzie siedzą za swymi drzwiami.

W drodze są tylko wędrowcy, ludzie pozbawieni ojczyzny, idący od bramy do bramy. Wychodzą z mokrych lasów, patrząc, jak rośnie trawa i zboże, widzą dymy nad głuchymi wsiami, wypełnione wodą ślady stóp i znów giną w milczących zaroślach. Potrącają gałązki, z których spadają krople, czują pod stopami rozciągnięty mech, są panami deszczu i świata, udają się na spoczynek pod jodłowym dachem, oczy ich grzeje gasnący ogień, pełni są myśli, tęsknot, senności.

Tak, a do parkanu o tej samej porze nadjedzie pani majorowa, zsiądzie z konia i przy wiąże cugle do szarych sztachet. Twarz zmoczona deszczem, lecz jasna i radosna, ponieważ zboże rośnie, a łowczy w taką pogodę jest na pewno w domu. Rozpalił pewnie ogień na kominku, mały ogień z gałązek świerkowych. Siedzi sobie przed nim obejmując rękami kolana i, nie zamykając oczu, rozmyśla o tych ogniskach, które należą już do przeszłości. Posiedzi sobie trochę u niego, wypalą fajki, a deszcz będzie stukał w dach. Piękny, ciężki

odgłos. Dobrze jest przy nim milczenie i dobry będzie powrót do domu - polami rosnącego zboża, z których wstają opary.

Tak, zapuka do zamkniętych drzwi..."Ależ mocno śpi, nic nie słyszy".

Sama sobie otworzy drzwi i niczego nie zastanie - ani ognia, ani łowczego, ani ciepła. Znajdzie się w martwej przestrzeni, z której

odszedł zmarły. Na stole zauważy trzy czysto naoliwione i naszykowane strzelby. Obok nich amunicja i to, co otrzymał. Bez listu, bez skrawka papieru, bez słowa. I tak wiadomo, co się stało. Jeśli nie powiedzą jej tego rzeczy, to powie milczenie, kominek, powietrze,

szare światło.

Stanie więc pani majorowa na progu, z ręką na klamce i będzie patrzeć na martwe rzeczy. Poszedł zatem, na zawsze. I to też skończyło się niepowodzeniem. Ptak, który wzbił się nad ogród i którego nie można było zatrzymać. Nic nie wyszło z umorzenia win, zadośćuczynienia, pomocy, leczenia, przyprowadzenia z powrotem.

Nic z tego. Drewniana trumna, syn, łowczy. Każdy pochłonięty został przez to, co mu było przeznaczone. Przez ziemię, przez nikczemność, przez zaginięcie bez śladu. Nic się więc nie udaje z ludźmi. Zostają tylko zwierzęta i ziemia; to, co trwa na tym świecie. A zatem powrót, do domu, w deszcz. W deszcz, który pada na drogi i lasy, i gdzieś tam wypełnia ślady jego stóp, wyrównuje i niszczy je... O, ty głupcze

- mówi głośno Michał i wstaje. Na podłodze przy kominku woda utworzyła okrągłą, ciemną plamę. Patrzy w górę i widzi tam również

ciemną plamę, a w szparze zbiera się nowa kropla.

Tak dalej być nie może - myśli. Trzeba z tym zrobić porządek.

Mogłoby się zdarzyć, że pani majorowa przybędzie po ciemku, stanie na progu, usłyszy, że coś stuka, a jednak w domu nie ma nikogo.

Niedobre jest takie spadanie kropeł w pustym domu. Ma w sobie coś symbolicznego i może zatrwożyć...

Zrobi więc z tym porządek. Ale najpierw pójdzie do wody. Będzie na pewno czarna, pokryta tysiącami szarych kropli, podobnych do pęczyków na metalu. Zanurzy się głęboko, aż do starych ryb na

zielonkawym dnie, do miejsca, w którym świat ponad nim jest tylko głuchym poszumem. Oczy wówczas przestaną boleć, przestanie czuć w ustach gorzycz, a nad lasem rozpocznie się jasny dzień.

Tak też i jest. Gdy jednak Michał wynurza się z wody, na przeciwległym brzegu jedzie jakiś wóz i zatrzymuje się przy sągach brzoźowego drewna. Zaslaniają je pnie drzew, a w poszarzałym od deszczu powietrzu wszystko wydaje się dalekie i niegroźne. Michałowi nie podoba się jednak, że tam jedzie jakiś wóz i że ktoś obcy zabiera się do układania na nim szczap. Nie brało się tego pod uwagę, że obce wozy przyjadą nad jezioro. Jeśli pani majorowa chce sprzedawać

drzewo, to ma przecież dosyć lasu gdzie indziej.

Michał ubiera się powoli za krzakiem jałowca, ale jego twarz jest zła i dzień nie zaczyna się dobrze. Tamtemu człowiekowi mogłoby wpaść do głowy pójść do jego domu po zapalniczkę do zapalenia fajki.

Czy wie, kto tam mieszka? Tu nie pożyczają się zapalniczek. Tu może się co najwyżej pojawić w oknie lufa strzelby, a zamek jej zamknie się złowrogo za nabojem.

Tamten jednak nie pali fajki. Potrzebuje obu rąk do załadowania ciężkich kłoców. To nie jest łatwa robota. A ułożono tam z półtora sążnia. Zaraz jednak odjedzie. Michał siedzi na pieńku przy świerku i przypatruje się człowiekowi. Widzi, jak jego ręce obejmują, jak ramiona wyrzucają drewno na wóz. Spokojna i czysta robota.

Robota, która zostanie w przyszłości wynagrodzona, kiedy w zimowy wieczór człowiek siądzie przy piecu i będzie przyglądał się ogniewi.

Padają - pomyśli - gdy was przywiozłem. Teraz jednak już jesteście suche i palicie się. Dobry był rok, wszystko miało swoje miejsce - deszcz i ogień.

Tak sobie pomyśli, podobnie jak wszyscy, którzy widzą celowość roboty. A tylko tych nachodzą ciemne myśli, którzy nie widzą celu, ponieważ nie pracują. Jak na przykład on, łowczy Michał. Bo strzelanie to nie praca.



Nie jest nią też naoliwianie strzelby. I nurkowanie aż do dna wody po wypiciu i roztrzaskaniu butelki. Nie, ten człowiek nie powinien był przyjeżdżać po to, aby załadować brzezinę. Niedobrze jest przyglądać się człowiekowi, który pracuje w milczeniu.

Niedobrze jest siedzieć przy tym na pieńku drzewa i palić fajkę, która nie smakuje.

Ale człowiek już skończył. Zbiera jeszcze wióry leżące pod sążniem i obchodzi wóz, aby sprawdzić, czy dobrze jest załadowany. Potem

stoi chwilę, jakby zagubiony w myślach i schodzi do jeziora. Tak, nie ma wątpliwości, że to ten sam stary człowiek, który rozmawia ze zmarłymi. Któż inny mógłby pojechać w deszcz do lasu po szczapy?

Czyż i myśmy nie czynili tak samo, gdy byliśmy młodzi i żywi?

Razem z braćmi i z Jonaszem? Kto wie, może i w tym samym miejscu? Bracia jednak nie jeżdżą już do lasu. Dostali należne im deski, cztery deski i dwie deseczki, jak mówi piosenka. Jonasz zaś zdziwaczał i na pewno nie chodzi do lasu. Nie ma już ludzi, którzy razem z nim byli młodzi. Jonasz stoi pewnie przy moczarach i przysłuchuje się krzykowi.

Do jeżdżenia w las pozostał tylko stary człowiek. Stoi tam przygarbiony i patrzy na szarą wodę. Nie musi się bardzo schylać, aby ją

zaczepnąć dłonią. Dziwne jest tylko to, że zdejmuje czapkę, zanim

zacznie pić. Starzy ludzie niesamowicie uroczyście zachowują się przy wykonywaniu takich czynności. Dużo siwizny jest na odsłoniętej głowie, na którą pada deszcz. Przed zasiekami z drutu zdarzało się czasem, że deszcz padał w otwarte oczy i na odsłoniętą głowę. Ciężko było patrzeć na to, jak i na wiele innych rzeczy.

Ponieważ nie można się było przed tym obronić.

I na to także jest ciężko patrzeć. Dobrym ojcem był stary człowiek.

Miał żonę i trzech synów. A teraz pije wodę z dłoni, w drugiej ręce

trzyma czapkę, a na jego włosy pada deszcz. Stary człowiek będzie czekał, że zmarły - jak inni - powróci od czasu do czasu, aby mógł z nim przełamać się chlebem, pokazać mu swoje pole, na którym roś-

nie zboże na nowy chleb.

Następnie wóz odjeżdża, stary człowiek idzie przy nim, oszczędzając konie. Michał przysłuchuje się milkącemu turkotowi kół, który w

końcu ginie, w lesie zaś zostaje tylko ciężki szum deszczu.

Jest zmęczony, gdy przystawia do dachu drabinę, aby odnaleźć miejsce, w którym przecieka. Potem jednak zbiera wszystkie potrzebne

rzeczy: mech i drewno, piłkę, młotek i gwoździe. Długo to trwa, bo od dawna już tego

nie robił. Trzeba obmyśleć kolejność, podzielić

niewielką w gruncie rzeczy robotę na poszczególne etapy. Długo to trwa również dlatego, że od czasu do czasu zatrzymuje się i myśli o starym człowieku, i o pani majorowej, i o tym, jak w południe pój-

dzie sobie w deszcz, który zacierać będzie ślady jego stóp.

Powoli jednak, w miarę jak do jednego ruchu dołącza się drugi,

blakną twarze ludzi, bo nie ma czasu o nich myśleć. To skrzywi mu się gwóźdź pod niewłaściwym uderzeniem młotka, to znów jakiś inny, zbyt gruby, rozszczepia mu listwę.

Powoli, w miarę upływu czasu i pod wpływem monotonnego szumu deszczu, człowiek na

dachu zaczyna pogwizdywać obcą, melancholijną melodię, chyba

jakiś marsz, przylegający do regularnych uderzeń młotka. Oczy

człowieka nie są jednak również melancholijne, stają się jaśniejsze

niż zazwyczaj, a gdy po paru godzinach otwiera się furka w parkanie i z roweru schodzi Lena w zielonej pelerynie, nie kładzie się na dachu domu, aby go nie zobaczyła, lecz siedzi tam wśród swoich narzędzi i życzy sobie, aby mu doniosła jedzenie na miejsce.

Drabina przecież tam stoi, a bywają ludzie, którzy w porze porannej kawy

wychodzą przez okno, a w porze obiadu siedzą na dachu.

Nie ma wątpliwości, że Lena znowu czuje na plecach coś dziwnego.

Sądzi, że nadeszła właśnie godzina, w której dokonane zostanie porwanie kobiety. Nie słyszała wprawdzie nigdy, aby się to mogło zdarzyć na dachu, ale przychodzi jej do głowy myśl, że Indianin miewa zapewne inne obyczaje niż na przykład Jonasz czy praktykant, który

wkłada w oko monokl, gdy ona przynosi nową pościel do jego pokoju. Śmieje się więc, nieco zbyt głośno i zbyt długo, a pochylając się nad koszykiem szybko rozpina nieco, dla pewności, zieloną pelerynę pod szyją, aby zwój koralu stał się widoczny. Potem ostrożnie

wchodzi po paru szczeblach, a gdy widzi już dach, podaje koszyk

łowczemu. Wydaje się, że musi się on najpierw trochę pokrząć, zanim zacznie porywać dziewczyny z domu pani majorowej. Je

bowiem powoli, smakując i nie przeszkadza mu to, że deszcz pada do zupy. Nie przeszkadza też, że Lena się przygląda, oparta ramio-

nami o dach, ponieważ między jedną łyżką a drugą patrzy na nią, a

jej się zdaje, że jego oczy spoglądają tylko na jej czerwony zwój i to w ten sposób, w jaki pani majorowa ma zwyczaj patrzeć czasem na takie rzeczy. Nie podoba jej się to, ale nie pozostaje Lenie nic innego, jak uśmiechać się uprzejmie, choć stojące na wąskim szczeblu nogi

zaczynają boleć, a deszcz ścieka za dekolt.

Pyta się w końcu, czy smakuje panu łowczemu. Tak, „panu łowczemu” bardzo smakuje. A jak ona ma na imię? Lena. Lena? Tak się nazywa wielka rzeka, na Syberii, ona jednak nie wygląda na przybyłą z Syberii. Może to on przybył z Syberii? Nie, przybył z Afryki, gdzie ludzie po obiedzie zawsze muszą zgrzeszyć.

Lenę przestały boleć nogi. Wie już, że teraz coś się zdarzy - porwanie kobiety lub coś innego, niesłychanego i w deszczowym szumie, w wielkim, opustoszałym lesie robi się jej trochę nijako, gdy patrzy w opaloną, chudą twarz człowieka siedzącego nad nią i gryzącego jabłko. Pyta się jednak, jakież to grzech ludzie muszą popełnić.

Tak - mówi mężczyzna - rzecz tak się właśnie ma, że musi jej, niestety, zadać gwałt i utopić głęboko w jeziorze, uwiązując kamień do czerwonego zwoju koralu, aby ryby mogły się nią nasycić. Mówiąc to uśmiecha się do niej z góry.

Chociaż nadeszła właśnie ta wielka chwila, Lena wydaje okrzyk i szybko schodzi z drabiny, staje przy rowerze kładąc ręce na kierownicy. Mimo to, rzecz godna zauważenia, człowiek z wielkim grzechem nie zabiera się do pogoni, ale siedzi sobie na dachu i ze zręcznością jarmarcznego akrobaty rzuca na miękki mech u jej stóp jeden talerz za drugim. W końcu zaś, gdy już ostatnia łyżka znalazła się na dole,

wyjmuje fajkę, napełnia ją tytoniem i zaczyna sobie wygodnie palić.

Nie pozostaje nic innego, jak tylko pozbierać talerze oraz poszczególne części zastawy i włożyć je do koszyka, poruszając się przy tym zgrabnie. Gdy zaś i to nie jest w stanie skusić tego „Afrykańczyka” do popełnienia wielkiego grzechu, trzeba podprowadzić rower do parkanu i oprzeć prawą nogę na pedale.

Mężczyzna na wysokości macha wówczas do niej ręką w ten sposób, w jaki to robi pan, landrat, gdy przed nim dyga, i mówi uprzejmie:

- A więc do następnego razu, moja mała... Za mokro dziś na popełnienie wielkiego grzechu.

W tym momencie mała Lena niestety zapomina się, choć pani majorowa tyle trudu włożyła w jej wychowanie i woła głośno, a zarazem gniewnie w stronę dachu:

- Ty, małpiszonie!

Potem rzeczywiście wsiada na rower i pędzi przez kałuże po zielonej

drodze prowadzącej w dół, nie oglądając się za siebie ani razu.

Późnym popołudniem człowiek nazwany przez Lenę małpiszonem idzie tą samą drogą, trzymając strzelbę na ramieniu a fajkę w ustach.

Nie pada już, wiatr nad lasem ustał, a za rzadkimi chmurami widać białą tarczę słońca. Michał jest zamyślony, gdyż zdaje mu się, że zaprzepaścił dobry moment do odejścia. Świat po deszczu stał się jaśniejszy, a w jasnym świetle trudno jest pójść sobie ot tak - bez niczego. Nachodzą

wówczas człowieka refleksje, które deszcz zakrył, toteż łowczy pójdzie do pani majorowej i powie jej, że nie może tu dłużej pozostać.

Uzgodnili przecież jednodniowy termin wypowiedzenia.

Nie idzie jednak przez pole, na skraju którego przesiedział cały dzień, ale robi wielkie koło aż do moczarów i w ten sposób dochodzi do majątku tą samą drogą, którą szedł pierwszego wieczoru. Ludzie,

gdy deszcz przestał padać, wyszli w pole. Odrywają się od pracy i patrzą za nim. Trudno się im dziwić. Jeśli ktoś cały dzień robi jedno i to samo, ogląda się za każdym ptakiem. Poza tym bardzo możliwe, że od dawna łamią sobie głowy z jego powodu. W lesie jest jednak

lepiej i może nie zrobił dobrze decydując się na to wyjście na świeże powietrze, w którym widać wszystko z daleka.

Jonasz stoi naturalnie u bramy wjazdowej i drewnianym młotem wbija nowy pal. Piękny to widok, gdy ciężki przyrząd w rękach

olbrzyma podnosi się i opada - jak zabawka. Biedny Jonasz... Był z niego dobry kolega, na pastwisku i w wykręcaniu fajarek. A teraz obaj stali się dziwakami. Byłoby lepiej, gdyby tu stała pani majorowa.

Daleka droga prowadzi od Jonasza przy bramie wjazdowej do pani majorowej w domu lub gdzieś tam na polu.

- Dzień dobry, Jonaszu - mówi Michał - ileż to czasu minęło,  
Jonaszu...

Ciężkie oczy wchodzi w niego głęboko i Michał odczuwa ból, gdy musi patrzeć w nie. To teraz jedyne jego kolega, jedyne zwierciadło z początków życia zmacone zwierciadło. Należałoby posiedzieć z nim trochę przy ognisku, tam, gdzie zaczynają się moczary, wypalić z nim fajkę i wyperswadować z jego duszy nieszczęście.

- Ano, sporo czasu - odpowiada Jonasz i opiera się o rękojeść młota

- zmarli jednak mają długi żywot. Twierdzą teraz, że zostałeś łowczym...

- Wystarczy mi mój ojciec - mówi Michał, a jego twarz ciemnieje.

- Możesz mnie spokojnie dotknąć i stwierdzić, czy jestem z krwi i kości.

Jonasz odpowiada, że wie już o tym, wie już i powoli podaje mu wielką dłoń. Lecz między życiem a śmiercią jest jeszcze wiele przeróżnych rzeczy. I spuszcza smutny wzrok na ciemną dłoń

Michała, którą obejmują jego palce.

- Żyjący, Michale, wiesz o tym dobrze, żyjący są czerwoni, a zmarli biali. Ciemni natomiast, Michale, tacy jak ziemia, ciemni są czymś złym, gdyż stoją wyprostowani i nie mogą się położyć. Bardzo ciemną

dłoń masz, Michale... Ale można ją dobrze ująć. Myślałem, Michale, że zaprosisz mnie, bym posiedział trochę przy twym ognisku. Nie wezwałeś mnie jednak...

- Przyjdź dzisiaj, Jonaszu - mówi szybko Michał. - Nie. Przyjdź jutro, jutro wieczorem. Słyszysz?

I odwraca się szybko, idzie spiesznie lipową aleją w stronę domu, o niczym nie myśląc, gdyż jest przerażony i z przerażeniem patrzy na swoje ciemne ręce "między czerwienią a bielą".

Idzie do tego stopnia o niczym nie myśląc, że nie uśmiecha się nawet, gdy w sieni zastaje Lenę i nie dostrzega, że bardzo szybko prowadzi go przez pokoje, za szybko, jak na odwiedziny człowieka,

który jeszcze w południe siedział na dachu. Dopiero gdy znajduje się na tarasie i dostrzega wiele osób, orientuje się, że była to mała zemsta za zaniechany "wielki grzech".

Za późno już jednak, ponieważ pani majorowa zdążyła wstać, podejść do niego i szybko podać mu rękę. Odnosi wrażenie, że się nieco zarumieniła, bo to przecież musi być dla niej trochę kłopotliwe: mężczyzna w wypłowiałym, ciemnym uniformie żołnierskim, z owijaczami na nogach i ze strzelbą na ramieniu oraz wykwintne towarzystwo przy batce - panowie w spodniach w prążki, panie z ufasonowanymi kapeluszami na głowach. Łowczy nie rumieni się,

lecz twarz jego staje się ponura. Gdyby jednak był na miejscu pani majorowej, na pewno by się również zaczerwienił.

Nie pozostaje więc nic innego, jak patrząc tylko na panią majorową

powiedzieć jej parę słów i czym prędzej się stąd wynieść. Ale i do tego nie dochodzi, gdyż pani majorowa jest dzielną kobietą i tylko przełkniona tym, że przyszedł do jej domu w jasny dzień, polami, na których są ludzie.

- To Michał Fahrenholz - mówi więc. - Przybył z Afryki i strzeże teraz mojego lasu. Może się pan zechce trochę posunąć, panie

pastorze, aby mógł dosiąść się i wypić filiżankę baty.

Aha, to jest pastor. Trudno go poznać, gdyż nieco przytył, a wszyscy tędy ludzie są do siebie podobni. Twarz jego pozostała jednak nadal bogata w mimikę i Michał łatwo dostrzegł, że na jego czole pojawiły się zmarszczki niezadowolenia, że jest urażony i przestraszony dziwacznymi manierami pani majorowej. Michał jednak przecież nie chciał, aby pan pastor wstawał ze swego miejsca u boku pani domu

i oddał mu je. Nie będzie zbyt wygodnie, ale przecież, skoro trzeba, potrzyma filiżankę w dłoniach odpowiednio uważnie. A to, że pani majorowa zachowała się ładnie i dzielnie, wyczuwa wyraźnie nie

tylko z obcych twarzy, które wpatrują się w niego jak w pojmanego wilka.

- W rzeczywistości to bardzo interesujące - mówi pan z dwiema bliznami na lewym policzku i patrzy na niego jak przez lornetkę.

- Fahrenholz, uznany za zmarłego... Wiele musieliśmy się, mój drogi, z tego powodu napracować. Spora paczka akt wynika z waszej historii. Tak, tak...

Słowa "mój drogi" nie były zbyt zręczne, ponieważ Michał żywi wyraźną niechęć do jowialnych zwrotów, zwłaszcza jeśli towarzyszy im specyficzny uśmiezek, a do tego jeszcze zapalka wędruje w tym

momencie w stronę papierosa. Odpowiada jednak spokojnie, że i on także musiał się sporo natrudzić, aby ta paczka akt mogła zostać napisana.

No tak. Odpowiedź jest trochę nieprzyjemna, lecz ci zmarnowani żołnierze zawsze są nieco przeczuleni. Dziwnie ciemną skórę ma ten człowiek.

Zapewne wiele przeżył w tej pustyni - pyta jedna z dam, której wargi są bardziej czerwone, niżby to wypadało i która przez słomkę popija lemoniadę.

Dama ta bardzo skrupulatnie przygląda się Michałowi, zanim jeszcze padnie jego odpowiedź nacechowana zimnym szacunkiem, który zdobywa się tylko po wielu latach wędrówki po różnych drogach, zawsze pieszo, podczas gdy umalowane damy we wspinających powozach przejeżdżają mimo i niedbale przyglądają się kłębowi kurzu, w

których ginie wędrowiec.

- Tak, bardzo dużo - stwierdza z uśmiechem.

Piekielnie gorąca jest ta bata, ale, chwała Bogu, zdążył już upić połowę.

Może niedobrze jest zbyt dużo mówić o tym, co minęło - zauważa pani majorowa i kolejno patrzy na swych gości. Nie wszyscy obnoszą się ze swoimi wspomnieniami z prelekcji na prelekcję.

Niestety, pan pastor zdecydował się tymczasem ratować niewyraźną sytuację, wekslując rozmowę na sprawy ogólnoludzkie, na temat

nienaruszalnych więzów istniejących między pastorem a konfirmowanym, bez względu na to czy ktoś wrócił z pustyni, czy też z puszczy

zamieszkałych przez Indian. Chce przy tym udowodnić, że nie jest

przeculony i - kiedy trzeba - chętnie się usunie, gdy powinno się

konfirmowanemu ustąpić zaszczytne miejsce.

- Ach, Michale - zaczyna tonem urzędowego ciepła - czy przypominasz sobie, mój synu, czasy, kiedy to siedziałeś u stóp Pana i byłeś dobrym dzieckiem? Zawsze spokojnym, bardzo spokojnym. Ale przy-

powieści to jednak nie chciałeś się uczyć, choć należało to do twoich

powinności. Na pewno stały się dla ciebie niejeden raz pociechą w dolinie ciemności, którą musiałeś wędrować z niezbadanych wyroków boskich.

Osio! - myśli pani majorowa, jak to, niestety, zbyt często musi czynić, gdy ludzie nie wiedzą, kiedy lepiej jest trzymać język za zębami.

Za późno już jednak.

Filizanka jest wprawdzie pusta, ale tego o przypowieściach Michał nie chce puścić płazem. Za dużo bowiem rozglądał się po "dolinie

ciemności". Patrzy więc na pastora z podobną uwagą i mówi, że niestety, niewiele skorzystał z przypowieści, które nie miały zbyt wielkiej mocy oddziaływania w dolinach, gdzie jedynie skutecznie

oddziaływały pejcz, bagnet, kajdanki.

- Sądzę też - dodaje - że pan pastor nie powinien do mnie mówić

„ty”, przynajmniej dopóty, dopóki pani majorowa tak do mnie nie mówi, a jak dotychczas nie uczyniła tego jeszcze.

No tak. Znowu nieprzyjemna odpowiedź, która sprawia, że wszyscy z dziwnymi minami wpatrują się w swoje filizanki lub w panią majorową. Czymś niesłychanym jest zaiste, że pani majorowa lekko się uśmiecha, nawet wówczas, gdy Michał wstaje i bierze

strzelbę do ręki.

- Przyszedłem - mówi - aby coś powiedzieć pani majorowej. Ale znowu inaczej się złożyło, może jednak pani majorowa wyjedzie dziś wieczorem, o zwykłej porze.

- Tak - mówi pani majorowa i podaje mu dłoń - chętnie to uczynię.

Do widzenia, Michale.

Skinąwszy niezbyt nisko głową w stronę dość nieokreślonego kręgu osób, opuszcza taras tą samą drogą, którą przybył. Niestety, nie da się ukryć, że jego brunatny uniform jest na plecach nieco przetarty, a na owijaczach widoczne są jeszcze czarne ślady po bagiennej wodzie.

Po wyjściu Michała na tarasie jest bardzo cicho. Tylko pastor powoli

kiwa ciężką głową, lecz nic nie mówi. Panu z dwiema bliźniami, jako osobie urzędowej, najbardziej chyba wypada powiedzieć stosowne

słowo. Dyskretnie patrzy na zegarek na ręce, składa wypielęgnowane końce palców i mówi oględnie:

- Wielce szanowna pani baronowo, obawiam się, że na swym dobrym sercu wychowała pani sporych rozmiarów afrykańską żmiję.

Jeślibym wcześniej zobaczył tego... i tak dalej, Fahrenholza, nie zrezygnowałbym z przestrzegania pewnych formalności.

Pani majorowa teraz naprawdę się czerwieni, ale patrząc w jej oczy nie można sądzić, że powoduje to zakłopotanie.

- Wie pan chyba, drogi panie landracie, co sądzę o pewnych formalnościach - mówi dość głośno. - Gdy chcę sprzedać konia, potrzebuję w tym celu zaświadczenia prezesa. Wszystko w porządku. Wątpię jednak, czy uda się panu przekonać mnie, że zaświadczenia potrzebuje też człowiek, aby móc udowodnić, że jest żywy. I przyzna pan chyba również, że po dwudziestu latach cierpienia i zagrożenia śmiercią człowiek wraca z innymi manierami niż jakiś referent, który

zdał egzamin. Co się zaś tyczy mojego dobrego serca, to mam chyba prawo udzielić mu głosu nawet bez urzędowego zaświadczenia.

- I serce może błędzić, szanowna pani baronowo - mówi zatroskany pastor - ponieważ naiwne jest, głupie...

- Ale czasem, drogi panie pastorze - odpowiada pani majorowa - jest ono bardzo czułe i wrażliwe. I jak mi się wydaje sam Pan Bóg tego chciał, gdyż w przeciwnym razie obdarzyłby nas czymś innym.

- Moja droga - mówi teraz dama pijąca przez słomkę - musisz



przyznać, że jego słowa”o zwykłej porze” były nieco zbyt poufałe...

Łyżeczka od baty drży lekko w ręku pani majorowej i zwraca to uwagę zgromadzonych. Wyprostowuje się jednak spokojnie i patrząc na każdego z gości po kolei, mówi:

- Jedno mam tylko do powiedzenia, a mianowicie, że również dzisiaj, podobnie jak to było dawniej, każdy bezdomny człowiek jest stracony, jeśli zapuka do waszych drzwi bez zaświadczenia i dobrych manier. Przykro mi z tego powodu, tak ze względu na was, jak i ze względu na ludzi bezdomnych.

Na to stary dziedzic, sąsiad pani majorowej, rozpoczyna drobiazgowo

i nieco pogmatwane opowiadanie o swym woźnicy, który po powrocie z niewoli zawsze starał się jeździć lewą stroną drogi, a wyprzedzać z prawej i że wiele trudu kosztowało, zanim go od tego odzwyczajono. Absolutny nerwicowiec. Można by powiedzieć nerwico-

wiec kierunkowy. A przy tym chłop jak dąb! Ale teraz jest już

całkiem w porządku i ma czworo zdrowych dzieci. Jest to historyjka zasługująca na uwagę i niewiele można do niej dodać, a ponieważ nikt nie opowiada następnej, goście wstają, jako że jest naprawdę bardzo późno. Żegnają się wieloma słowami, ale klimat już się zmienił. Tylko stary dziedzic odwraca się raz jeszcze, przesyłając w stronę pani majorowej gest pocieszenia. - Zawsze po lewej a nie po prawej - mówi. - Mimo to wszystko już jest w porządku, a piąte

dziecko chyba w drodze.

Pani majorowa zostaje sama.

Siedzi przy biurku i przypatruje się małemu zegarowi z figurką kosiarza nad cyferblatem, gdyż wkrótce musi przyjść zarządca, z którym trzeba omówić jutrzejszy dzień pracy. Z wysiłkiem odsuwa od siebie myśl o tym i siedzi w fotelu nieruchomo, z założonymi rękami.

Zwróciła oczy na dwa portrety znajdujące się przed nią na ciemnej płycie - na portrety męża i syna. Pierwszy z nich, w mundurze polowym, ma postawę człowieka, który nawet przed obiektywem fotograficznym zdaje się musztrować front pułku, drugi w aksamitnej marynarce, w pozie wyrażającej pychę i pustkę.

Coś szczególnego jest w tym jej przypatrywaniu się twarzom dwu najbliższych osób, związanych węzłami krwi, coś szczególnego w

dochodzeniu do wniosku, że jej własna twarz byłaby między nimi

tak bardzo obca i daleka. Nie byłoby wielkiej różnicy, gdyby na ich miejscu pojawiła się na przykład twarz landrata z dwiema bliźniami

albo damy ze zbyt czerwonymi ustami, albo uśmiechająca się maska pana dziedzica, który ma dziwnego woźnicę.

A przecież życie jest jednak godne uwagi i przejmujące dreszczem, jeśli garść ziaren lub spojrzenie konia mogą w nim być cieplejsze i bardziej zasługiwać na zaufanie niż pół tuzina twarzy, które rzucają spojrzenia, słowa i uśmiechy zamiast zapachu kwiatów i milczenia zwierząt.

Stara się także wyobrazić sobie, jak by na tej ciemnej płytce wyglądała twarz łowczego Michała, obraz ten jest jednak matowy i zamglony. Mimo to ma w sobie jakiś ciepły blask - dziwna rzecz, ponieważ jego twarz ma najbardziej ostre rysy wśród wszystkich tych twarzy. Pani majorowa musi w tym momencie pokiwać głową i

westchnąć lekko na myśl o tarasie i o milczącym wypowiedzeniu

wojny. On ma na pewno rację, że trzeba żyć samotnie, aby sobie zapewnić spokój.

Być może będzie lepiej, jeśli nie pojedzie tam dziś

wieczorem.

Ale potem jednak znów przywiązuje cugle do szarego parkanu i kieruje swoje pierwsze spojrzenie w stronę dachu, na którym można zauważyć świeże gonty.

- Lena mówiła mi, że pan tam pracował. Widzę, że to prawda.

- Tak, trochę przeciekało w czasie deszczu - odpowiada. - A... czy dziewczyna jeszcze czegoś nie mówiła?

- Nie. A dlaczego? Czyżby było jeszcze coś do opowiadania?

Naturalnie, że nie. To był tylko taki głupi żart. On zaś przyszedł dziś do pani majorowej po to, aby powiedzieć, że chce odejść. Pozostanie jednak jeszcze, gdyż zaprosił Jonasza na jutrzejszy wieczór.

Pani majorowa siedzi na ławce i jak zwykle trzyma dłonie na pejczu.

Dopiero po jakiejś chwili podnosi wzrok i mówi cicho:

- A więc to ze względu na Jonasza... Na pewno jest z tego zadowolony.

Cisza.

- Czy pani majorowa musi koniecznie sprzedawać drzewo za jezioro? Stary człowiek był tam wczesnym rankiem i wywiózł je.

- A więc to ze względu na starego człowieka - mówi znów pani majorowa. - Na pewno

jest z tego zadowolony.

Powtórzenie tych samych słów musi zwrócić uwagę łowczego

Michała, który patrzy na nią pytającym wzrokiem.

- Nie będę już więcej sprzedawała drzewa za jeziorem - mówi pani majorowa. -

Będzie pan mógł zimą palić nim w piecu.

- Zimą? - powtarza łowczy. - Olala...

I wymachuje ręką w powietrzu.

Nie po raz pierwszy pani majorowa słyszy te słowa, teraz jednak ściąga brwi i patrzy przed siebie w ciemniejący las.

- Pani majorowa raczyła ulec złudzeniu - mówi łowczy Michał -

wówczas nad moczarami. Pani myślała: oto nadchodzi ktoś, kogo

należy pocieszyć, komu wystarczy podać klucz, aby nim otworzył

swoje drzwi. Pani majorowa nie pomyślała o tym, że zło rośnie w ludzkim sercu jak chwast na polu. A nie wrywany przez dwadzieścia lat chwast sprawia, że pole jest zmarnowane. Pani majorowa nie

pomyślała również, że taki człowiek nie wygląda dobrze na jej tarasie

i że inni ludzie, należący do świata pani majorowej, marszczyć będą brwi, gdy zobaczą takiego człowieka i pomyślą, że pani majorowa

pobrudzi się podając mu rękę, że oni sami mogą stać się nieczyści, jeśli będą przychodzić do domu pani majorowej. Pani także marszczy teraz brwi, gdy słyszy moje "olala". A wyraz pani twarzy byłby jeszcze bardziej inny, gdyby pani wiedziała, że wczoraj wieczorem rozbiliem o ścianę pustą flaszkę, a dziś w południe powiedziałem

dziewczynie, że zadam jej gwałt. Jeśli nawet był to żart, pani majorowa nie zna takich żartów.

Dlatego Jonasz może być zadowolony, jeśli tu zostanę, może nim być

nawet stary człowiek, ale nie pani majorowa, ponieważ jej dłonie są nie po to, aby wrywać osty.

Po tym długim przemówieniu łowczy Michał wstaje, a twarz jego jest ponura. Kopie na bok kawałek drewna i podchodzi do parkanu, kładąc ramiona na jego sztachetach i kierując wzrok w stronę ciemnej wody, tam w dole, na której wyskakujące ryby tworzą jasne kręgi.

Pani majorowej niełatwo jest znaleźć odpowiedź na tę mowę, choć

łowczy Michał myli się sądząc, że ona nic nie wie o rozbitych flaszkach i żartach z dziewczyny. Łowczy Michał na pewno nie wie o

tym, że pan w drewnianej trumnie lubił używać życia, zanim pod francuską ziemią

musiał nauczyć się spokoju. Nie wie także nic o tym, że przed dwudziestu laty dziewczęta na dworze bardzo szybko

się zmieniały i musiały być zmieniane. I o tym zapewne nie wie, co

Pismo Święte nazywa trzecim i czwartym pokoleniem, ponieważ dawno temu czytał Biblię, a poza tym pastor wyjawiał dziś, że przypowieści biblijne nigdy nie były silną stroną łowczego Michała. Ona

natomiast zna cały szereg przypowieści, nie tylko z nauki confirmacji i wie, że najlepiej można się z nimi zapoznać i zapamiętać je, gdy się samemu przeszło przez to, do czego się odnoszą. Nie wie się

wprawdzie wówczas, czy ta przypowieść jest u proroka Salomona, czy też u apostoła Pawła, wie się jednak, że odnosi się do pierwszego roku małżeństwa, na przykład do dożynek albo do nocy, kiedy to z altanki w parku doszedł ją krzyk i musiała zdrętwiałymi nogami

wejść po schodach z powrotem na taras. Nie wie o tym? Ależ nie -

mało rzeczy jest dla pani majorowej nieznanymi. Prawdą natomiast

jest, że pragnęła, aby pozostało to nieznanym dla łowczego Michała. A

on w tym względzie ma niewątpliwie rację, że omyliła się albo że pragnęła tej możliwości.

Pani majorowa nie należy jednak do kobiet, które swoje błędy zwalają na innych. Tyle zapłaciła w życiu, że wystrzega się teraz

zaciągania pożyczek. Woli już prosić o prolongatę i czekać na powrót siły. Gdy wstaje, czuje w kolanach słabość, choć nie jeździła dziś dużo i szybko. Głos jej pozostaje jednak taki sam - głęboki i

spokojny, gdy zatrzymuje się przy łowczym Michale, przy parkanie i

gdy kładąc dłoń na jego ramieniu mówi:

- Jakiś bezimienny żołnierz szedł przez moczary, podniósł ramiona

w wieczornej zorzy, nie wiedząc o tym, że stoję pod sosnami i przyglądam mu się.

Dlaczego ten żołnierz mówi teraz tak dużo o tych sprawach? To ja wiem, co jest dla mnie dobre, a co złe. Co to ma wspólnego z tym, że żołnierz, ot tak sobie, podniósł ramiona do nieba? Jeśli Pan Bóg nałożył mu coś na te ramiona - w porządku,

ale ja o tym nic nie wiem. Wiem tylko, że ja mu jeszcze niczego nie dołożyłam, ponieważ żołnierz nie uwierzy w to, że dom z bierwion

i strzelba są w moich oczach spełnieniem jakichś modłów. Żołnierz Michał będzie jednak musiał mi pozostawić troskę o te rozmowy z

Bogiem, które są prowadzone na moim terenie.

Odpowiada, że odzwyczaił się rozmawiać z Bogiem i odwraca wzrok od ciepłej i spokojnej dłoni położonej na jego ramieniu. A człowiek, który podnosi ramiona, może być przy tym bardzo daleki od myśli o modlitwie.

- Ale nie człowiek, który wspólnie na to patrzy - mówi pani majorowa. Potem życzy mu dobrego snu i idzie do konia.

- Czy pani majorowa nie boi się mnie? - pyta, pomagając jej wsiąść na konia.

Ona poprawia najpierw cugle, potem jeszcze raz pochyla się w jego stronę. Jest tak ciemno, że tylko z bliskiej odległości może rozpoznać wyraz jego oczu.

- Pani majorowa jest jak stary człowiek - brzmi jej powolna odpowiedź. - Oboje nie boją się zmarłych.

### ***Rozdział 3***

Nazajutrz Michał idzie wprawdzie do lasu, ale trzy czysto naoliwione strzelby wiszą na drewnianym kołku przy drzwiach.

Zamiast nich niesie małą piłę i wycina nią leszczybę, a uzbierawszy wiązkę ściąga ją sznurkiem i zanosz do domu. Ponieważ leszczyzna rośnie za jeziorem, a w każdym krzaku jest tylko kilka pędów, które mu odpowiadają pod względem długości i grubości, musi się dobrze napracować. Wykonując to przypomina sobie gest, jakim ściera się ręką pot z czoła. Twarz jego jednak nie jest obecnie zła czy też zmęczona, a tylko bardzo zamyślona i skupiona. Bywa, że siada na pieńku i długo patrzy przed siebie, na bagno, po którym biegają obładowane łupem mrówki, zapobiegliwie wyszukujące czułkami swoje następne zadania. Jasne, że wiele musi przemyśleć człowiek, którego ubiegłego wieczoru ponownie zaliczono do zmarłych, który czuje w swoich żyłach krew, ale jest widocznie tak bardzo martwy,

że nawet kobieta nie potrzebuje się go obawiać.

Dobrze jest wycinać leszczybę, prznosić ją w wiązkach i składać pod szarym parkanem, do którego pani majorowa przywiązuje

konia, a który chyli się w wielu miejscach albo nawet już się przewrócił. Michał nie widział jeszcze zmarłych naprawiających rozpadające się płoty, chociaż w swym krótkim życiu widział wielu zmarłych. I chciałby wiedzieć, czy nie jest przynajmniej upiorem,

gdyż między całkowicie żywymi - na przykład ludźmi na tarasie -

i całkowicie martwymi - na przykład ludźmi w drewnianych trumnach - znajdują się jeszcze ludzie, których by można było się bać.

Ludzie, którzy lękają pewnych rzeczy. Na przykład białej butelki z przezroczystym i cudownie ostrym płynem. Albo na przykład kobiet. Ale nie muszą to być akurat takie, które zawieszają na szyi czerwone korale. Jeśli zaś odmawia się życia człowiekowi, który był gotowy znowu stąd zniknąć, łatwo może się zdarzyć, że życie właśnie z tego powodu wybucha w tym człowieku dziko i niebezpiecznie, jak w wypadku ludzi pogrążonych w letargu, których chce się przykryć wiekiem trumny.

Michał rozmyśla o tym wszystkim tak sobie, niejasno i niespokojnie, wbijając gwóźdź za gwóździem w świeże drewno, w którym jest jeszcze tegoroczny sok. A ponieważ trzeba ponadto wymienić kilka słupków, więc musi jeszcze raz pójść do lasu, musi wziąć łopatę i drewniany młot, a wieczorem jego ramiona są omdlałe ze zmęczenia

i myślami nie błądzi już ani wokół żywych, ani wokół umarłych, a myśli tylko o słupkach ogrodzenia, że trzeba je przyciąć i o tym, w jaki sposób zamajstrować drewnianą zasuwkę, którą otworzą tylko ci, co będą znać jej tajemnicę.

Gdy ponownie wrócił z lasu, znalazł na ławce obiad, a w oddali ujrzał błysk roweru i dziewczynę. Nie odwróciła głowy. Bardzo chciałby zobaczyć, czy miała na szyi korale albo dowiedzieć się, czy

dziewczyna imieniem Lena przestała już wyglądać lub też bać się zmarłych.

Dobrze jest, że Jonasz przyjdzie o zmierzchu, ponieważ Jonasz słyszy

krzyki z moczarów. Patrząc w jego oczy nie odnosi się wrażenia, by przewyciężył już w sobie wszelki strach. Michał zbiera stare sztachety i roznieca przed domem, pod świerkami, małe ognisko. Jest tak jak dawniej, gdy pasali owce i palili przy moczarach ognisko, aby przepędzić strach przed wilkami, aby piec kartofle wykopane na polu albo ugotować raki, złapane w rzeczce przepływającej przez moczary.

Wiele ognisk rozpałił Michał w ciągu wielu lat i leżał przy nich pod

drzewami oświetlonymi od dołu czerwonym blaskiem. Ogniska pod gwiazdami i ogniska w deszcz. Nigdy jednak nie czekał przy nich na kogoś. Cekał najwyżej na sen. A raz pewnego, ciężko gorączkując, na śmierć. Minęły czasy, kiedy ognisko mogło go zasmucić. Obecnie

sprawia, że staje się zamyślony, cichy i bardzo samotny. Ale nie smutny. Długo można patrzeć w płomień, który podnosi się, wybucha i opada. Na iskry syjące się wysoko

między gałęzie. Zielony dach rozjaśnia się wówczas - i ciemnieje. Płomień mieni się barwami:

zółtą, czerwoną i niebieską, a słaby wiatr zmienia jego kierunek.

Rozróżnia się zapach szyszek od zapachu gałązek. Pięknie jest też, gdy płomień zamiera, przemienia się w smętny czerwony blask pozostający w na pół przymkniętych oczach, jeszcze raz oświetlający wszystkie sprawy dnia, a potem sny. Gdy pierwsze krople rosy osiadają na czole, gdy wielkie gwiazdy znowu są ponad drzewami, a senność powoli, powolutku zamyka oczy.

W takiej właśnie chwili przyjdzie Jonasz, cichy człowiek, który zakłada siodło na konia pani majorowej i aż do jej powrotu stoi przy wjazdowej bramie. Czeką na niego tytoń i biała butelka, tak bardzo ułatwiająca wspomnianie. Jonasz być może nie pije, ponieważ inne są jego wspomnienia w porównaniu ze wspomnieniami Michała.

Będzie się więc tylko przyglądał, tak jak to umiał czynić zawsze, swym ciężkim wzrokiem, w którym wszystko milcząco tonęło.

Spróbujmy więc pomóc mu, bardzo szybko, aby usunąć powód do dalszego tu pobytu. Opowiemy mu, że zmarli są całkiem nieżywi i cicho śpią, bez względu na to czy stoją, czy też leżą z pięknie wyciągniętymi nogami. A zdarza się też, że zmarli śpią bez nóg, gdyż: widzieliśmy wielu takich, którzy kończyli się w połowie tułowia i takich, których się już właściwie nie widziało, a można się ich było raczej domyśleć. Oni także nie wrócili, nie wołają, spokojnie śpią.

Wszystko to opowiemy Jonaszowi, gdyż wiele doświadczyliśmy wtedy, gdy Jonasz stał u wrót i czekał na panią majorową. Jonasz

zawsze się podporządkowywał, zawsze słuchał i wierzył. Nie będzie więc mu przeszkadzał w tej grze, ponieważ wie, że Michał musi odejść.

Trudno jest jednak przewidzieć, kim Jonasz jest i co myśli. Siedzi przy ognisku, tak jak i przed trzydziestu laty, podobny do olbrzyma,

który przepała czas swojego rodu i siedzi teraz zagubiony w obcym świecie, rękami obejmuje kolano, a wzrok ma utkwiony w płomień.

Być może inni jego bliscy wyjechali lub umarli i zapomnieli o nim.

Musi więc teraz przypatrzeć się mu, jak rozlicza się ze światem, gdzie tyle śmiechu i gadaniny. Nie zna tego, podobnie jak ktoś, kto nie zna obcej mowy.

Nie, nie pije. Kozacy pili i dlatego nie słyszeli wołania z moczarów.

Ten, kto pije, słyszy tylko bicie swego serca, tym głośniejsze, im więcej pije. Michał też nie powinien pić. Pani majorowa nie lubi, aby ze znajomych ust wydobywała się obca woń. Fajkę jednak chętnie sobie nabija. Nadal umie gołymi palcami przenieść węgielek z ogniska na fajkę. Już trzydzieści lat temu Michał daremnie próbował

naśladować go w tym.

Podczas gdy Michał przypatruje się węgielkowi, który coraz bardziej zapada w rozżarzony tytoń, jego myśli uparcie pozostają przy pani majorowej i przy tym, co Jonasz powiedział o obcej woni.

- Może dlatego - mówi po chwili - że pani majorowa ma dystyngowanego ukochanego, który płucze usta wodą kolońską. Nie lubi

więc, jeśli ktoś śmierdzi gorzałką. A gorzałka wyostreza również wzrok i widzi się wówczas to, czego nie wolno widzieć, na przykład okno, które otwiera się w nocy lub kasztanowaty włos na ozdobnej

uździe karego lub coś innego, z czego można wyczytać, że kobieta czegoś potrzebuje, nawet jeśli jest dystyngowana i ma chusteczkę z wyhaftowaną koroną.

W odpowiedzi na to Jonasz przechyla głowę i przypatruje się

Michałowi, bierze potem stojącą między nimi butelkę i rozbija ją o najbliższy korek świerka. Następnie ostrożnie zbiera rękami skorupy i rzuca je w ogień.

- Nie gniewaj się, Michale - mówi - ale to, co jest w tej butelce, nie jest dobre.

Michał nie gniewa się. Jest tylko bardzo zdziwiony z powodu tego, w jaki sposób Jonasz sobie z nim poczyna, a poza tym jest w jakiś dziwny sposób szczęśliwy.

- A jak to było z tą drewnianą trumną z Francji - pyta po chwili mimochodem. - Było to wielkie nieszczęście, prawda?

- Dziewczęta odtąd dłużej służyły we dworze - odpowiada Jonasz

- i nie sądzę, aby to było nieszczęście.

- Tak, a więc to tak... Jest jeszcze syn, prawda?

Tak, jest także syn.

- Jest to szczęście dla samotnej kobiety, która posiada pięć tysięcy morgów ziemi i lasu, prawda?

Tak, czasem syn jest szczęściem, ale czasem nim nie jest. Trzeba by o to spytać starego człowieka, który miał trzech synów.

Michał uderza gałęzią gasnący płomień i roznieca żar. O nie, wcale nie tak łatwo jest rozmawiać z Jonaszem. Nie jest prostaczkiem, jak niegdyś i nie ma co śpieszyć się z opowiadaniem o zmarłych, których się widziało.



Zanim mogłoby do tego dojść, ponad lasem, od strony moczarów  
położonych za ciemnymi drzewami nadchodzi krzyk. Nie jest to krzyk człowieka, ale  
Michał nie zna również zwierzęcia, które by

mogło w ten sposób krzyczeć. Pojawia się wówczas między nimi coś nieuchwytnego i  
nie dającego się wyrazić. Niedobrze robi się przy niewielkim ognisku, przy którym ciężki  
mężczyzna podnosi dłonie do

oczu i cicho jęczy. Niedobrze jest też, że krzyk kołuje, niedaleko, ale jednak tak, że to  
się oddala, to znów przybliża. Żywy krzyk, jakby uwiązany do kręgu, z którego nie może się  
wydostać.

- To sowa, Jonaszu - mówi Michał. Tylko sowa potrafi płakać jak  
małe dziecko, które zabłądziło w lesie i chodzi po nim w kółko.

Żałośliwy i rwący się płacz oddala się i powraca. Czasem jest tak blisko, że Michał  
opiera się ręką o ziemię, aby wstać, to znów rozbrzmiewa gdzieś daleko w zaroślach. Nie  
trzaskają jednak gałęzie, a pod dziecięcymi nogami łamałaby się niejedna gałązka, ponieważ  
las jest ciemny i nikt w nim nie zbiera chrustu. Panuje całkowita cisza, gdy płacz przychodzi i  
odchodzi, a choć nie wieje wiatr, ponad ziemią kołyszają się lekko wierzchołki drzew, bez  
wrażnego powodu

tworząc w lesie przerzedzenia.

- To sowa, Jonaszu - powtarza Michał. - Były takie w Prowansji,  
na południu Francji. Płakały wokół obozu, że nie mogliśmy zasnąć.

Wartownicy czasem do nich strzelali, ale komendant zabronił twierdząc, że  
niemieckie świny powinny słuchać płaczu swych dzieci po nocach.

Jonasz jednak kręci głową.

- Wędruje - mówi cicho. - Musi stać, a wolałby leżeć. Dlatego  
wędruje. Widziałeś zmarłego, który by stał?

Michał widział nie tylko to, ale także zmarłych wylatujących w powietrze i  
wracających na ziemię z rozpostartymi ramionami, głową na dół. I wisieli potem na zasiekach  
z drutu kolczastego. Nie wie, co się z nimi stało. Teraz jednak nie może nagle opowiadać o  
tym

wszystkim - byłyby to i niepotrzebne i pogmatwane. Jonasza nie  
można pocieszyć opowiadaniem o zmarłych stojących na głowie.

Jedyną jego pociechą może być ucieszenie tego płaczu i złożenie go  
w jego ręce, aby mógł go pochować, jak się należy, w poświęconej ziemi.

- Znajdę go - mówi więc do Jonasza. - Kto już raz należał do

nieżyjących, ten wie, jakie są ich drogi i umie do nich przemówić.

Wracaj więc do domu i powiedz pani majorowej, że zostanę dopóty, dopóki go nie znajdę.

Płacz umilkł, a Jonasz oderwał ręce od twarzy.

- Trzeba być człowiekiem czystego serca - mówi - aby go znaleźć.

Człowiekiem całkowicie czystego serca. W przeciwnym wypadku nie ma sensu go szukać.

Życzy potem Michałowi dobrej nocy, dziękuje za zaproszenie i odchodzi.

Ogień wygasa, a Michał przygląda się, jak popiół kładzie się na żarze białym nalotem. Taką samą biel mają oczy zmarłego, więc musi myśleć o wszystkich umierających, których widział. Dziwne, jak długo żyją zmarli. Natomiast prawie wszystkie twarze, spotykane na różnych drogach, zapadły w nicość. Pozostały tylko twarze najbliższych, na przykład pani majorowej i Jonasza, ale już twarz starego człowieka ustąpiła w niewyraźny mrok, podobnie jak twarz pastora czy dziewczyny ze sznurem korali.

A przecież nie pił wiele, nawet nie pół butelki i ręka, w której trzyma fajkę, jest całkowicie spokojna. Czyste serce... Tak, tak. Jonasz był pobożnym dzieckiem, celował w przypowieściach. Umysł powolny, ale co posiadał, to utrzymał. Nie... Znalezienie i zastrzelenie sowy nie jest sprawą czystego serca, ale sprawą lekkiego kroku, spokojnej ręki i niezawodnych oczu.

Znajdziemy płaczącą sowę, zabijemy i pogrzebiemy, a wówczas dziecko przestanie się tulać, będzie cicho leżeć i tylko Michał powędruje tam, gdzie znów będzie się go obawiać na przykład samotny chłop na górskiej hali albo chłopka w kuchni, której wszyscy mężczyźni znajdują się w polu, lub dziewczyna kosząca trawę na leśnej polanie. Oni bez jednego słowa poznają, że tam stoi nie jakiś zmarły, ale żyjący człowiek. Wiele mu zabrano i chce teraz odzyskać to, co mu zabrano. Pożywienie i napój, przyjazne słowo i miłość. Potrzebuje

tego, aby móc leżeć cicho przy swym samotnym ognisku, tak opuszczony, że rosa na niego opada, a pająki przędą swoje sieci między palcami jego ręki.

Pani majorowa nie chce się bać? Tak, tak. Ale być może nadejdzie godzina, w której pani majorowa będzie się bardzo bała. Wilka, zamkniętego przez siebie w chacie. Albowiem i na obłaskawione wilki

nachodzi chwila, w której lepiej jest ich nie spotkać.

Przed Michałem jednak widocznie nie trzeba odczuwać strachu.

Wprawdzie nawiedzają go ponure myśli, ale szybko je zapomina.

Wprawdzie tam na pustyni zwichnięto w nim równowaga - między dobrem a złem. Wprawdzie nogi jego osłabły i nie wie teraz, czy ma stać, czy upaść. Na legowisku, w ciemności izby, pod kołdrą, którą naciąga na głowę, jego twarz ulega całkowitej przemianie. Rysuje się

na niej skrywany ból i wielka, straszliwa samotność. Wie, że drzwi jego domu stoją otworem, podobnie jak drzwi wiodące do zmarłego, któremu nic już nie można ukraść. Przez poskręcaną kołdrę słyszy spokojny szum wierzchołków i głos stworzenia nadal skarżącego się w ciemności. Jakże dobrze było przy ognisku, jakże dobrze było siedzieć przy nim razem z Jonaszem. Nikt nie wie, jak bardzo wloką się noce bez ognia i bez człowieka, gdyż nie można podejść do ogniska

i powiedzieć: "Pozwólcie mi tu posiedzieć przez tę noc!"

Nikt nie wie o tych, którzy nie są zmarli i nie są żywi. Nawet Jonasz nie wie, ponieważ przeczy istnieniu śmierci. A także stary człowiek, ponieważ przeczy istnieniu życia.

Michał po ciemku wyciąga spod łóżka szarą rękawiczkę. Rękawiczkę z miękkiej skóry, zbyt długą i zbyt wąską na jego dłoń. Przyciska ją

do twarzy, wyczuwa słaby zapach i zasypia jak dziecko, które idzie spać z jakąś nieforemną zabawką.

Jego myśli, jego sny nie są złe i tylko, gdy świerkowa szyszka spada na dach lub gałązka łamie, się pod stąpnięciem dzikiego zwierzęcia, czoło Michała marszczy się albo drga jego dłoń, lecz jest to tylko reperkusja nocy, kiedy lepiej było nie spać. Z chwilą gdy ginie szmer, giną też te odruchy.

A więc Michał rozpoczyna polowanie na sowę, a może zarazem i polowanie na zmarłego, jak to sam określa. Nie przychodzi mu to tak łatwo, jak sądził. Przyleciała kukułka, w lesie kwitną dzikie grusze,

powietrze jest słodkie i ciężkie. Michał z trudem może skupić myśli.

Odmienił się też tryb jego życia. Nie chce już od rana do wieczora biegać po lesie. Las wypełniony jest głosami ptaków, zapachami i widokami. Las jest niebezpieczny dla tego, którego całym zajęciem jest noszenie strzelby na ramieniu. Wypełnia jego otwarte oczy,

czujną krew, jakby to było drzewo, które się chce obudzić. Nie szanuje i nie boi się człowieka pragnącego samotności, ponieważ wszystko to nic go nie obchodzi.

Michał niechętnie przeto oddala się od domu. Dom budzi się w inny sposób niż las. Jest martwy i spokojny. Bierwiona, z których został

zrobiony, nie wypuszczają pąków, w szparach między deskami nie rośnie trawa, ptaki nie gnieźdzą się pod niskim dachem. W dzikim i kipiącym życiu lasu dom jest czymś

nieruchomym i godnym zaufania.

Po naprawieniu parkanu zostało jeszcze wiele do zrobienia. Trzeba powycinać gałęzie i wygrabić zwiędłe liście. Trzeba zrobić zasuwkę

i wstawić nową ramę okienną. Należy naprawić sieci i łódkę, a wieczorem można piec ryby w ogniu, gdyż niedobre jest pożywienie, które przez dłuższy czas otrzymuje się gotowe, na stole, jak w gospodzie.

Gdy jednak księżyc wschodzi nad jeziorem, nadchodzi wreszcie pora, aby wziąć dwururkę, nocną lornetkę i pójść na polowanie na zmarłego. Przed moczarami jest parę podmokłych łąk, po nich zmarły

z łatwością może się poruszać. Rosną tam łoży i szakłaki, psianki i naparstnice. Rechocą ropuchy, a stare drzewa obwieszane są porostami. Chłodno tam jak w piwnicy i czuć zgnilizną jak w grobowcu.

Trzeba sięść i czekać, aż zabrzmi płacz w ciemnej głębi. Mijają noce - i cisza. Ale bywają też i takie, gdy płacz nadchodzi z oddali, z obcych lasów za moczarami. Zawsze jednak odchodzi, błądzi między bagniskami, czasem nad wierzchołkami, czasem nad wilgotną trawą.

Dziecięcy płacz, zupełnie ginący w parnym i ponurym lesie.

Wędrowną płaczu nie rządzą żadne prawa i niczym nie sygnalizuje on zmiany swego miejsca.

Choć jest to najbardziej niesamowite, mimo to jednak utwierdza

Michała w przekonaniu, że ma rację, że to sowa, odznaczająca się wśród ptaków najcichszym lotem. A w chwili, gdy ujrzał między wierzchołkami dębów prześlizgujący się przed wschodzącym księżycem cień, który zapadł się w ciemność, nabrał pewności, że

zmarły zostanie pochowany i Jonasz będzie spał w spokoju, on zaś wydostanie się z tego dusznego lasu na wolność dróg, na których

każdego dnia nowy pył pada na stare buty.

Czy jest tego wydostania się całkowicie pewny? Czy nie ma jakiegoś niebezpiecznego piękna w tym, że widzi się, jak spomiędzy pni

wyłania się dach domu, że nad słuchując stwierdza się ciszę panującą wewnątrz, że naciąga się kołdrę na głowę i pod jej osłoną przykładą się do twarzy - niczym dziecko zabawkę - rzecz nieforemną i szarą?

Michał nie może zaprzeczyć, że jest w tym piękno i choć stara się pogardliwie uśmiechać na temat swoich przemian, nie rezygnuje z tego. Od czasu do czasu kusi go coś, aby położyć głowę w trawie

przy wieczornym ognisku i zapłakać gorzko, z gniewu lub ze wstydu, albo też z powodu bezgranicznej słabości, która niczym jad chce dostać się w jego twarde ciało, w noc, kiedy to pojawiają się błyskawice bez grzmotu, oszałamiające zapachy, kiedy to urządzi wyczerpujące a bezsensowne polowanie na zmarłego.

Nie przychodzi pani majorowa, nie przychodzi też Jonasz. Pani majorowa była raz, pieszo, gdyż zostawiła konia w gospodarstwie starego człowieka. Była pod wieczór, na krótko przed zastrzeleniem przez Michała na innym skraju lasu jastrzębia gołębiarza, którego krzyk niemile zabrzmiał w jego uszach. Pani majorowa cicho otworzyła furtę w parkanie i równie cicho weszła do domu. Rozejrzała się,

posiedziała chwilę przy zimnym palenisku, z założonymi rękoma, jakby czekała ją daleka droga. Niewiele było tu do zobaczenia: stropy i ściany pozbawione ozdób, dwie strzelby przy drzwiach, naboje w

otwartym, drewnianym pudełku, sieć z drewnianą iglicą w rozdar-tych oczkach, wędzisko i plecak z porwanymi rzemieniami oraz posłanie przykryte szarą kołdrą.

Choć legowisko było porządnie zasłane, pani majorowa mogła zauważyć, że nie było ono miękkie, a podściółka z liści od dawna nie poprawiana. Ściągnęła więc kołdrę i przemieszała podściółkę rękami, wyrównała fałdy lnianego siennika. Wyglądając jedną z nich wyczuła pod ręką coś miękkiego. Wyciągnęła z wnętrza rękawiczkę do konnej jazdy.

Usiadła na legowisku, trzymając rękawiczkę na kolanach, zgarbiona i tak zmęczona, że nie była w stanie podnieść się - nawet wówczas,

jeśliby w drzwiach stanął łowczy Michał. O niczym nie myślała, nie była ani podniecona, ani przestraszona, ani zawstydzona. Wszystko to było już martwe, pogrzebane, dawno jeszcze przed drewnianą

trumną, a każde przejściowe odżywianie szybko i ukradkiem zakrywała. Inne żyły bez męża i bez dzieci. Pani majorowa natomiast żyła bez miłości. Musiała być większa, ponieważ więcej nałożono na jej barki. I nie mogłaby podejść do Jonasza w kuchni, aby położyć

dłoń na jego ramieniu, gdyby jej myśli były pogmatwane. Lub patrzeć na dorosłego syna, gdy jedna z dziewcząt dworskich cicho płakała pod drzwiami.

Bardzo dumna była pani majorowa, tak dumna, że nie odważano się wobec niej ani na półsłówka, ani na zaloty. Wystarczyło, że wyprostowała swoją szczupłą postać w siodle, a

zalegała przy niej cisza, milkły nieprzystojne żarty parobków i głośny śmiech dziewcząt. Gdy zaś jakaś z nich odchodziła z dworu zasłaniając chustką zapłakane oczy, ludzie jeszcze niżej kłaniali się pani majorowej, gdy blada, ale patrząc wszystkim prosto w twarz przechodziła przez obejście.

Nie obarczano jej żadnym cudzym grzechem, jej własny natomiast nie został jeszcze wynaleziony ani w mniemaniu pastora, ani w mniemaniu świata.

A teraz długo siedzi na legowisku łowczego Michała i próbuje zrozumieć pomięty, szary symbol, który znajduje się w jej rękach. Nie

trzeba zbyt wiele wysiłku, aby to pojąć, a pani majorowa nie ponosi winy z powodu śmiertelnego grzechu przywłaszczenia sobie rękawiczki. Ponieważ nie tak trudno jest podjąć decyzję w sprawie tego,

co nadejdzie, bardzo możliwe jest, że myśli pani majorowej kierują w się wstecz, do chwili, w której łowczy na moczarach podniósł do góry ramiona. W tej przeszłości musi tkwić powód tego, że pani majorowa rumieni się, początkowo słabo i ledwo dostrzegalnie w zmroku, potem zaś coraz bardziej, aż po jasne włosy nad śniadym czołem.

Kładzie rękawiczkę na swoje miejsce i starannie układa kołdrę.

Zanim opuści to wnętrze, wzrok jej spocznie na czymś błyszczącym na ciemnej glinie paleniska. Podnosi kawałek lusterka, podchodzi do okna i długo patrzy w ślepe szkło. Potem cicho wychodzi z domu, a oczy jej w drodze do starego człowieka następnie zaś do jej domu

zachowują ten sam wyraz, jaki miały w lusterku łowczego Michała

- wyraz trwogi, spłoszenia i niemal upokorzenia.

Pani majorowa nigdy już potem nie przyjechała.

Michał natomiast po paru dniach zrobił dziwne odkrycie. Wrócił zmęczony, bez rezultatu z polowania na ptaka śmierci. Za jeziorem ciemny horyzont, żaby czynią rwetes, a on nie może zasnąć. Leży na pościeli z otwartymi oczami i przysłuchuje się muchom brzęczącym

pod sufitem. Wypali jeszcze fajkę. Pociera zapalną, nad kocem pojawia się jasny płomyk, a przy jego prawej ręce coś błyszczy. Zanim zdążył to coś ująć - płomyk gaśnie. Zapala więc drugą zapalną,

ujmuje w palce błyszczącą rzecz. Chwilę leży w ciemności. Potem wstaje i ostrożnie lewą ręką zapala świecę na drewnianym stoliku, podnosi prawą do światła i przypatruje się jasnemu włosowi, który trzyma w palcach.

Dla Michała wszystko ma jakieś znaczenie - trop na drodze, świeżo złamana gałązka, jasny włos na pościeli, na której tylko on śpi. Na ogół jest spokojny, jeśli zna powody. Las

tylko dotąd jest spokojnym

i godnym zaufania domem, dopóki można rozpoznać prawa w nim rządzące, powody i skutki. Staje się natomiast groźnym miejscem pobytu, jeśli praw tych nie można znaleźć, gdy odnosi się wrażenie, że w świecie drzew zaczyna panować bezprawie.

Jasny włos na jego posłaniu jest także ostatnim ogniwem w długim łańcuchu, Michałowi jednak sprawia trudność - bez popadnięcia w omyłkę - sprawdzić ten łańcuch aż do samego początku. Istnieje wiele możliwości i każda może być słuszna. Wśród wszystkich obojętnie słusznych jedna, jedyna może być oszałamiająco słuszna i

niełatwo jest wiedzieć, czy wolno iść tą właśnie drogą.

Michał siedzi więc opierając się o stół obydwoma łokciami, trzyma w rękach włos i po tym wąskim, kruchym moście wędrują jego myśli.

Początkowo ostrożnie i bardzo uważnie, potem jednak, gdy most wytrzymuje, coraz śmiej i odważniej, nad coraz większymi przepaściami, z zamkniętymi oczyma, lecz pewnym krokiem, jak somnambulik. Aż do momentu, gdy zaczyna wołać ptak śmierci. Michał budzi się wtedy i w tej samej chwili ogarnia go bezgraniczne przygnębienie. Przygnębienie odurzonego, którego zawiodły skrzydła i który spada w płaską rzeczywistość bytowania. Na mokry drewniany stół z opróżnioną butelką i rozbitą szklanką. W ten właśnie sposób spada łowczy, a przed sobą ma dwoje pociemniałych rąk, które tyle rzeczy ujmowały w życiu, a które teraz trzymają kobiecy włos. W głębi jest świeca z nieruchomym płomieniem, w głębi jest też las, w którym

krzyczy ptak śmierci. Ręce Michała opadają powoli, świeca pali się między nimi i z lekkim trzaskiem niszczy most między jego dłońmi.

A więc - pani majorowa nie przyjeżdża. Pyta tylko za pośrednictwem Jonasza, czy czegoś nie potrzebuje, Michał jednak odpowiada jedynie przekleństwem w obcym języku, którego Jonasz nie rozumie.

Ptak śmierci płacze z mokradeł przed moczarami i Jonasz powoli wraca do dworu, pochylony, z głową pełną powikłanych myśli.

Michał przestał być dobrym kolegą. Wydaje się, że zmarły wprowadził jad w jego duszę.

Michał być może uśmiechnąłby się słysząc te słowa - wyniośle i zimno, jak to jest w jego stylu. Musiałby jednak przyznać, że tkwi w tym jakaś prawda, choćby nawet przesadzona. Albowiem faktem jest, że Michał przestał czekać, aż

zmarły sam, spadnie mu pod nogi.

Przestał przez pół nocy siedzieć na pieńku i czekać na to, aby sowa zechciała usiąść na uschniętym wierzchołku dębu ponad nim. Zaczął chodzić za zmarłym, zamiast na niego czekać.

Nadeszły więc noce, w których Michał, niby zaczarowany, błądzi po lesie. Gdy tylko usłyszy skarżący się krzyk ptaka, wstaje z pieńka i

idzie za płaczem. Rozlega się on tuż nad ziemią i tak blisko, że wystarczy obejść najbliższe zarośla sosnowe. Ziemia jest miękka, mech ustępuje, a ucho Michała ledwo słyszy utajony chłupot wypieranej wody. Wieczorne niebo jest jeszcze czerwonawobiałe, a krawędź wierzchołków tak ostra, jak zarys gór. Panuje taka cisza, że najmniejsze drgnienie liścia osiki przyspiesza tętno krwi, a lot chrabąszcza, gdzieś z tyłu, wdziera się do lasu jak huk motoru.

Michał cicho stoi i czeka. Kto czeka na zmarłych, musi mieć czas, ponieważ dla zmarłych czas nie istnieje. W lesie słychać szmer igliwia, kropli, gryzienie liści przez cicho posuwające się głodne gąsienice. Kuliki znów krzyczą wysoko ponad moczarami, a gdzieś daleko jadący powóz rzuca odgłos turkotu kół w przepastne echo lasu.

Ptak śmierci jednak milczy i dopiero gdy Michał podnosi do oczu lornetkę, ponieważ zobaczył coś ciemnego na dębowym konarze, znowu zaczyna płakać za nim, gdzieś daleko za olszyną, jak gdyby nigdy gdzie indziej go nie było. Łowczy odwraca się z przekleństwem na spieczonych ustach, przemyka się między krzakami na bagnach,

przez olchy i trzcinę, widzi migające w ciemności płowe dziewanny z wilgotnych łąk, wstający nad osikami czerwony księżyc, a liście ich bezszelestnie drżą na jego jasnej tarczy, słyszy płacz coraz bliżej, to

z lewej, to znów z prawej strony, jakby to dziecko biegało od okna do okna w zamkniętym pokoju. Stoi cicho, tak cicho jak brzoza przy jego ramieniu, ściska pod pachą strzelbę, wstrzymuje oddech, nasłuchuje, ale słyszy tylko głuche, tępe, straszliwie głośne bicie własnego serca, które wszystkim milczącym wskazuje, że oto

człowiek wdarł się w świat, który do niego nie należy, że jest tu złodziej, trzymający w ręku oręż, że wszedł drzwiami bezgłośnie i słucha oddechu śpiącego.

Cisza dokoła. Księżyc wschodzi nad osiką. Zaczynają płonąć pod nim wierzchołki, rozległe łąki z zaczarowanymi źdźbłami traw, kałużami

wody, w których głębi znajduje się lampa, a na korze brzozy pająk ciągnie swą błyszczącą nitkę.



Cisza dokoła. Grobowa cisza. Michał stoi tak nieruchomo, że jakiś zaskroniec prześlizguje się po jego nodze, on zaś słyszy, jak las trawy zamyka się za nim z szelestem.

Potem płacz jest daleko w lesie, za czerwonym księżycem, oddala się bez śladu, Michał natomiast wraca do domu, a pot na jego czole świadczy o wyczerpaniu, głuchy zaś ból w sercu jest zaczątkiem, bardzo słabym zaczątkiem bezsensownego strachu. Wraca ze znużonym pragnieniem położenia się pod kołdrą, daleko od wszystkich zmarłych i żywych, oddychania łagodnymi zapachami po przeklętych woniach wilgotnego i milczącego lasu, nad którym płonie czerwony księżyc, a w którego cieniach zmarły płacze o suchy grób.

To niedobrze, że pani majorowa pozostaje we dworze i rzadko wyjeżdża na pola. We dworze mówi się, że pani majorowa jest chora i coś w tym zapewne musi być. Nikt nie pamięta, aby panią majorową można było kiedyś zobaczyć po południu w parku na leżaku, z książką, której nie czyta. Pastor nigdy jeszcze nie został zawrócony w hallu wiadomością, że pani majorowa niezbyt dobrze się czuje i nie przyjmuje wizyt. Ekonom nigdy jeszcze nie wyszedł z jej gabi-netu, nie otrzymawszy instrukcji na dzień następny, lecz tylko z uwagą, że powinien robić, jak uważa za stosowne. Jonasz siedzi wprawdzie w kuchni, lecz nikt nie kładzie ręki na jego ramieniu i przyjazny głos nie mówi: "Prawda, Jonaszu... my oboje..."

To nieprawda, że liczący pięć tysięcy morgów majątek jakoś żyje sam z siebie, że jakiś dzień rodzi dzień następny, a żniwa są zwyczajnym następstwem siewu. Prawdą jest jednak, że wykonuje się w nim codzienne zadania, że ktoś bije w dzwon, wozy wyjeżdżają w pole i

wracają wieczorem, że ludzie i bydła otrzymują to, co się im należy, nie cierpią głodu i nieprawości. Mimo to codzienna robota pozbawiona została jasnej, pospólnej radości, wiary w to, co trwałe, silne, niezienne. Nad kręgiem życia w jakimś dworze może zabraknąć słońca lub deszczu. Stworzy to wprawdzie troski, lecz wyrówna się zaległości, gdyż ziemia jest cierpliwa i znosi nawet długotrwałe ciężary. Nie może jednak zabraknąć uśmiechu, który był zawsze, nie może zabraknąć dobrego słowa i żartu. Tego się nie da nadrobić, to jest już na zawsze stracone i dotyczy nie tylko ekonomy czy mademoiselle, ale nawet najmłodszego wyrobnika, który grabi słomę za stodołą.

Nikt nie wie o tym lepiej, niż sama pani majorowa. Słyszy wracające wieczorem wozy i widzi kurz snujący się nad murawą parku. Odnosi jednak wrażenie, że odgłosy końskich kopyt są bardziej zmęczone i wyraźnie dostrzega, że parobcy nie śpiewają tak, jak dawniej. Wstaje i idzie w głąb

parkowej alei. Nic ją nie boli, nie jest więc chora. Gdy jednak słyszy grabie ogrodnika lub głuchy odgłos desek, którymi na noc przykrywa się cieplarnie, omija te miejsca i dochodzi do muru, skąd może patrzeć ponad polami w stronę ciemnego, wysokopien-

nego lasu. Nic ją nie boli, ale rozmowa stała się dla niej męcząca i męczy ją już samo patrzenie na ludzi. Jej oczy jasne i czyste stają się zmieszane, gdy muszą spojrzeć na człowieka, a ponieważ nie przywykła spuszczać wzroku - unika ludzi.

Czy pani majorowa zrobiła coś, czego musiałaby się wstydzić?

Przyjęła zniszczonego człowieka i dała mu dach nad głową, wynagrodzenie i chleb. To wszystko. To tylko spełnienie chrześcijańskiego obowiązku. Ani jednym słowem nie przekroczyła dozwolonej granicy, ani jednym spojrzeniem, ani jedną myślą. To prawda, że myślami częściej bywała przy łowczym Michale, niż przy ekonomie czy dziewczętach, ale tak właśnie być powinno, że biednych bardziej się obdarza myślami, niż ludzi mających zapewniony byt i zadowolenie. A więc idzie tylko o ilość myśli, a nie o ich ciepło lub skrytość?

Nie o chęć położenia dłoni na jego czole, na którym rysuje się głęboka blizna? Bądź uczciwa, pani majorowo. Bądź taka uczciwa,

jak jesteś nią, gdy płacisz państwowe podatki!

Ponieważ pani majorowa nie może być nieuczciwa, nawet w myślach, więc znowu rumieni się przy parkowym murze, gdzie jej

nikt nie może widzieć. I czeka, aż aleje o zmierzchu staną się ciemne, aby pójść do domu. Przy kolacji jednak chce zostać po ciemku, gdyż światło razi jej oczy.

Pani majorowa stała się przeto jakaś niepewna. Nie jest chora, niczego nie żałuje, nie jest też zakochana, a tylko jakaś niepewna.

Ktoś przywłaszczył sobie jej rękawiczkę, aby ją ukryć w swym legowisku. To tylko śmieszne albo sentymentalne, albo wprost dziecinne.

Człowiek jednak, który to uczynił, nie ma żadnej z tych cech. Ten człowiek żył w piekle, widział śmierć i zwątpienie, starł ze swego życia wszystko, co małe i pospolite, starł ponadto wszelką bojaźń, respekt, strach. Ten człowiek przywłaszczył sobie jej rękawiczkę, ale rękawiczka w jego dłoniach to tyle, ile gdyby zdarł z niej suknie.

Pani majorowa drży teraz, gdyż jest naga. Za każdym swym pobylem w tamtym domu była naga, człowiekiem wydanym na spojrzenie kogoś obcego.

„Czy pani majorowa nie boi się mnie?”

Lecz pani majorowa myślała, że zmarli nie mają już żadnych życzeń.

Pani majorowa zwolni więc łowczego. Zgodnie z zasadą jednodniowego terminu wypowiedzenia pracy. Pośle Jonasza z wynagrodzeniem za następny miesiąc i zażąda zwrotu broni. Ma tam zostać dopóty, dopóki łowczy nie zasznurowie plecaka i nie opuści chaty.

Jonasz jest spokojny i silny, wykona to, co do niego należy, aby móc znowu stać u dworskich wrót i odbierać konia od pani majorowej.

Łowczy zaś pójdzie traktem przez las, wyjdzie z lasu, obcymi polami coraz dalej, aż jego ślad zginie w pył, unoszącym się latem nad drogami.

A ptak śmierci? Tak, ptaka śmierci nikt nie zastrzeli. A stary człowiek? Tak, ziemię weźmie w spadku ktoś obcy. Nic nie wyszło z

doprowadzenia chłopca do pług, chłopca, którego zniszczono, aby inni mogli żyć w pokoju. Na przykład pani majorowa lub pastor, lub ludzie, którzy założyli teczkę z aktami zezwalającymi na to, aby

Michał Fahrenholz mógł żyć. Nic z tego wszystkiego, ze sprawiedliwego porządku świata, z zadośćuczynienia, z udzielania pomocy i z naprawienia rozbitego ładu. Szara rękawiczka do konnej jazdy w

legowisku ze zwiędłych liści i koniec z pomocą, z uzdrawianiem. To niestosowne zarówno wobec zmarłych, jak i żywych, a w gospodarstwie pani majorowej nie ma miejsca na niestosowność. To porządne gospodarstwo - prawda? Tak porządne, że od wrót już odgania się

nieszczęśników, jako że nieszczęście nie pasuje do porządku. I dlatego nie pasuje do porządku, bo pani majorowa rumieni się patrząc w kawałek lusterka lub stojąc przy parkowym murze. Nie ma miejsca dla ludzi, którzy powodują, że pani majorowa się rumieni. W porządnym gospodarstwie nie ma rumienienia się, gdyż nie ma ani wstydu, ani winy.

- Proszę wejść! Jonasz? Co się stało?

- Pani majorowa kazała mnie zawołać.

- Już nie, Jonaszu, dziękuję... Rozmyśliłam się.

Może jutro pojedę, Jonaszu, konno.

- Tak jest, pani majorowo.

I Jonasz czeka jeszcze chwilę, utkwivszy smutny wzrok w kraj sukni pani majorowej, a potem wolno wychodzi.

Łowczy nie zostanie zatem zwolniony, ale też nie zostanie wydane polecenie osiodłania konia. Mówi się, że pani majorowa chce wyjechać do jakiegoś

uzdrowiska lub do jakiegoś lekarza. Wiele mówi się o tym we dworze, wiele i z z troskaniem, gdyż pszenica już kwitnie, a na łąkach stoi pierwszy pokos trawy.

Zanim jednak znieśie się kufry ze strychu, zanim zostanie sprawdzone, czy dziewczynie ze sznurem korali coś się nie przywidziało,

z lasu nadchodzą złe wieści. Przyszedł stary rataj Jan znad Olszówki, w stoi w gabinecie pani majorowej, przy drzwiach, oparty na kijku i z czapką w ręce. Tak. Znosi skargę do jaśnie pani majorowej, bo choć tam, w wielkim świecie, cesarz został usunięty, niemożliwe jest, aby

usunięto sprawiedliwość. Może pani majorowa powie mu, czy nie wolno mu już z wnuczętami zbierać chrustu w lesie, jak to było dozwolone od sześćdziesięciu lat? A może pani majorowa zniosła ten

porządek rzeczy? Jeśli tak, to uczyniłaby słusznie, gdyby go o tym zawiadomiła, gdyż także starzy ludzie muszą się dowiedzieć, gdy pani majorowa chce wprowadzić w lesie nowe porządki.

Stary Jan mówi powoli, ale z zacięciem, które mu sprawia przyjemność. To sekciarz mieszkający na pustkowiu. Zawarł z Panem Bogiem specjalne pakti i patrzy na panią majorową jasnymi, bezrzęsyimi oczami, obserwując, czy przyjdzie jej zachcianka mieć coś przeciwko temu. Chrust bowiem również znajduje się w tych paktach z kochanym Panem Bogiem, a pani majorowa, choć jest potężna, zajmuje tylko pośrednie stanowisko między kochanym Panem Bogiem a Janem.

Pani majorowa nie ma jednak nic przeciwko temu. Usłyszała tylko słowa o nowym porządku. Oparła się głębiej, aby znaleźć się w cieniu i pragnie dowiedzieć się, co się stało i dlaczego ojciec Jan chce

wnosić skargę. Nic nie wie o tym, aby zbieranie chrustu w jej lesie było zakazane.

Rataj triumfująco kiwa głową i prosi o pozwolenie na zażycie tabaki z brzożowego pudełeczka. A więc to było tak: poszedł do lasu z trojgiem swoich wnucząt, tam, gdzie przy moczarach są podmokłe miejsca. Poszli z dwiema taczkami, zabrali sznury i czarny chleb w kobiałkach. Dokładnie tak samo, jak przed sześćdziesięciu laty.

Uzbierali suchego drzewa, a on zwracał uwagę na żmije i pokazywał

dzieciom trujące grzyby. Potem siedzieli na uschniętym pniu i spożywali chleb, on zaś grał na lipowym listku, aby dzieci nauczyły się, o czym trzeba wiedzieć w lesie. Dokładnie jak przed sześćdziesięciu laty.

Potem nagle zjawił się tam łowczy. Ten zmarły. Podniesioną ręką wygnał ich z lasu. Jan jednak zwrócił mu uwagę na swoje prawa i że nic nie wie o tym, aby pani majorowa

ustanowiła w lesie nowe porządki. Łowczy klął, zdaje się w jakimś obcym języku, a twarz jego stała się jako twarz z Apokalipsy. Dzieci zaczęły płakać, więc nie zostało mu nic innego, jak tylko pójść sobie z lasu. Potem jednak odwrócił się i zawołał za siebie, że pani majorowa rozstrzygnie, kto w lesie jest panem, ona czy ten zmarły czort. Na to łowczy zdarł z ramienia strzelbę i strzelił - trzy razy, a nawet więcej. Strzaskał gałęzie nad taczkami, dzieci zaczęły krzyczeć, rzuciły swój ładunek

i wszyscy w zamieszaniu, w popłochu wybiegli z lasu, zatrzymując się dopiero nad rzeczką, w miejscu, gdzie ścieżka prowadzi skrajem

do ich chałupy.

Teraz rataj Jan robi pauzę, prosi o wybaczenie i znów milknie, ale bez trwogi patrzy na panią majorową jasnymi oczyma. Rozstrzygnie się więc obecnie, jak to jest z tymi paktami i nowym porządkiem.

Potem będzie pewnie musiał udać się do powiatu, do odpowiedniego urzędnika. Każda droga jest dobra, jeśli się nią idzie w słusznej spran wie.

Pani majorowa siedzi chwilę oszołomiona długim nieco przemówieniem i uważnie przypatruje się ratajowi, który znowu zamyka brzozone pudełko. Następnie szybko wstaje i podchodzi do okna:

- Jonaszu! - głośno woła w podwórze. Ludzie, którzy po przerwie na kawę idą do pracy, zatrzymują się. Dawno już nie zdarzyło się, by pani majorowa krzyczała przez podwórze. Można więc chyba przystanąć i spojrzeć w stronę otwartego okna. Dziwny głos, taki

jasny i ostry, że dźwięczy jak nowy. Jakby wypoczęła po długiej chorobie i stanęła znów na nogach.

- Jonaszu! - powtarza parę głosów donośnie i z radością, a jeden z woźniców biegnie do stajni, aby Jonasz szybciej przyszedł.

Odmienił się cały dwór, odnowił się w wyniku jednego głośnego rozkazu. Nic dziwnego, że gołębie wlatują z placu przed stodołą, tworzą szumiącą i migocącą chmurę, kołującą nad wysokimi topolami. Mademoiselle otwiera swoje okno, kamerdyner natomiast, trzymając w ręku linkę dzwonu nie pociąga za nią, chociaż wskazówki

jego wielkiego zegarka pokazują, że czas już upłynął. Nie ma choroby w tym głosie, nie ma choroby w jej twarzy. Nie ma mowy o uzdroskach i lekarzach, o sprzedawaniu majątku.

Głupie gadanie dziewczyny, podobnej do cielęcia, która po wyjściu z pokojów pani majorowej udaje ważną. Jonasz pojawia się w drzwiach stajni z wyczyszczonym łańcuszkiem

munsztuka i dłonią

osłania oczy od słońca.

- Jonaszu! Konia!

A więc chwała Bogu! Wszystko znów jest dobrze. Jasno i radośnie dźwięczy nad podwórzem dzwon i wszystko biegnie do pracy, jakby nad polami zawisła burza i trzeba było zwieźć ostatnie snopy. Pani majorowej widok ten przynosi ulgę. Do tego stopnia, że pozostaje w otwartym oknie, choć podwórze już puste, a za nią nadal stoi czekający rataj.

Niech się ojciec Jan o nic nie martwi. W lesie panuje nadal stary porządek, choć łowczy może o tym jeszcze nie wie. Powie mu się to jednak, łagodnie, bo na pewno dużo przeszedł w życiu, a ojcu Janowi niech mademoiselle da filiżankę kawy.

Dziękuję i przeprasza panią majorową, ale od sześćdziesięciu lat taki

był porządek, a starzy ludzie chcieliby jednak wiedzieć, czy obecnie także kochany Pan Bóg zwalony zostanie z tronu.

Potem pani majorowa jedzie konno. Może nie ma powodu do radości, chyba nie więcej niż wczoraj lub przed tygodniem. Mimo to odczuwa radość. Może z powodu pól albo ze swoich ludzi, którzy z daleka obnażają głowy, lub z powodu świeżego i silnego wiatru,

który wieje od lasu. Puszcza konia truchtem, powoli i ostrożnie, gdyż kary jeszcze się nie rozruszał - nieustannie strzyże uszami, chwytając każdy dźwięk nadchodzący od strony pól. Ponieważ jest

dopiero popołudnie, pani majorowa postanawia nie jechać wprost do lasu, lecz przyjrzeć się łąkom i polom, o których teraz nic nie wie.

Potem zaś zajedzie do pastora, aby się wytłumaczyć, następnie może jeszcze do najbliższej wioski, aby zamówić miód u nauczyciela.

W ten sposób wjedzie w las od drugiej strony, przez nikogo nie widziana, również przez łowczego. Będzie też miała czas wszystko jeszcze raz przemyśleć, wszystko, co tyczy nowych porządków i że

nadal jest panią lasu, i że pani nie zważa na to, co ktoś za jej plecami podnosi - złamaną podkowę lub włos, który spadł z jej nie nakrytej głowy.

Dobrze jest popatrzeć sobie na łąki i pola. Panuje na nich stary porządek, jak przed sześćdziesięciu laty, a na pewno jeszcze wcześniej. I niepotrzebne do tego oko pani dziedziczki. Nadal żyto nie ma

zamiaru wypierać maków ze swego pola, a gdy wiatr przechodzi po kłosach, setki tysięcy ździebeł pochylają się zgodnie. Czajka kwili nad porośłą olchami łąką i koziołkuje co

chwila przed końskim łbem.

Kto by jednak chciał wyrządzić coś złego czarjce, która boi się o swoje gniazdo? Nikt nie wyrządza krzywdy bezbronnemu ptakowi, a już na pewno nie pani majorowa.

Nie tak dobrze jest z pastorem. Tak, niestety, musiał zawrócić w hallu i zabrać z sobą z powrotem słowa pociechy. Ie idzie się do domu z nie wykorzystaną pociechą za pazuchą. Nadal czuje się nieco dotknięty, a w zbolalej twarzy jego żony tkwią rozbiegane, świdrujące oczy.

Pani majorowa śmieje się, lecz napotyka kwaskowaty odzew i odjeżdża szybciej, niż zamierzała. Na pożegnanie pani pastorowa pyta, czy męski sposób dosiadania konia istotnie jest lepszy. Lekarze,

bodajże, nie są w tej sprawie zgodni. Pani majorowa odpowiada, że gdy lekarze zaczną jeździć na koniu bokiem, wtedy będzie można rozpatrzyć tę kwestię. Do tego jednak czasu jeździ się jej dobrze.

To taka chmurka, szybko jednak przechodzi. Nauczycielce, która wyszła za mąż mając trzydzieści pięć lat, trzeba to i owo wybaczyć.

Są zawody czyniące człowieka zgorzkniałym, tak jak bywają kwaśne łąki, których nie chcą znać nawet krowy. Kto może stwierdzić, czy nie ma także obrażonych łąk?

U nauczyciela znowu jest dobrze. Stary człowiek o twarzy przypominającej jasny i cichy jesienny poranek przychodzi od swoich pszczół

i prosi panią majorową, aby posiedziała trochę przy jego różach. Nie o ludziach mówi, lecz o swoich pszczołach i kwiatach i o tym, że dobrze jest, jeśli człowiek ma w swoim ogrodzie parę starych drzew, które stoją cicho i poważnie, zwłaszcza wieczorem, a gdy się na nie patrzy, trzeba się zawstydzić, jeśli się jest głośnym i niespokojnym.

Słońce świeci na skromne miejsce jego życia, liczne ciche szmery ziemi unoszą się nad ogrodem, a pani majorowa siedzi uśmiechnięta, z założonymi rękoma. Czuje się tu dobrze, z głęboką przyjemnością przebywa u starego człowieka o siwych włosach, którego oczy potrafią już przeniknąć człowieka na wylot, dotrzeć tam, gdzie w głębi, wyraźnie i bez obawy pomyłki, można rozróżnić światło i cień.

Na pożegnanie nauczyciel wręcza jej pęk białej róży, a ona rumieni się z radości, gdy jej przypina kwiat do zakietu.

## Rozdział 4

Coraz silniejszy jest zapach łąk i pól, coraz piękniejsze światło padające z ukosa. Kary biegnie teraz spokojnym truchtem, a pani majorowa zatrzymuje się przez chwilę na niskim brzegu jeziora, aby

napoić konia. Potem objeżdża jezioro, końcem swym sięgające do jej lasu. Nie jest to jezioro przy domu łowczego, ale położone za lasem, wśród wsi, do których rzadko przyjeżdża. Jezioro pokryte wyspami i z zarośniętymi trzciną zatokami, a także z trzema drewnianymi krzyżami na wysokim brzegu. Postawiono je na pamiątkę zabitych, których pozbierano z pól i tu pochowano.

Za ostatnią wsią, tam, gdzie po obu stronach schodzi do wody już jej las, widzi naraz wielu ludzi stojących na brzegu i patrzących na jezioro. Na wodzie zaś popychany lekkim powiewem wiatru

wypływa z leśnej zatoczki wielki, biały ptak, olbrzym z rozpostartymi martwymi skrzydłami, jeden z dzikich łabędzi, które lęgną się wiosną na tych wyspach.

Pani majorowa jest całkiem blada, gdy zatrzymuje się przy ludziach.

Tak - może pani majorowa coś zrobi, aby ukarać sprawcę. Nikomu nie wolno zabijać takiego stworzenia, ze swawoli tylko, dla zabawy lub ze złości. Nawet wówczas, gdy się wstało z martwych.

Pani majorowa zatrzymuje karego wśród milczących ludzi i patrzy na martwego ptaka, któremu fale dają pozory życia i który nawet

w śmierci jest królewski - w wielkiej samotności pchany po pustej wodzie.

A stało się to tak, mówi wójt, że łowczy wyszedł na brzeg, gdy oba łabędzie, znajdujące się na wyspie w porze lęgu, pływały po wodzie z tamtej strony. Namówił i przekupił kilkoro bawiących się tu dzieci, aby wypłynęły i pognały ptaki. Jednocześnie szybko poszedł do leśnej zatoki, już na teren należący do pani majorowej, i zajął tam pozycję, gdyż wiedział na pewno, że łabędź może wznieść się w powietrze tylko pod wiatr. Podczas gdy samica uciekła do gniazda,

bezmyślnie i w swej głupocie łase na zarobek dzieciaki zmusiły w końcu łabędzia, aby przed ich łodzią, tuż nad wodą wzniósł się w powietrze. Tam, w zatoczce, trafiła go kula



łowczego w chwili, gdy

najpiękniej leciał. Łowczy nic nie zrobił, żeby zabrać zabitego ptaka, tylko zarzucił strzelbę na ramię i zniknął w lesie, jakby tylko zabił wroga, którego zostawia się, nie spojrzawszy w jego martwe oczy.

Tak, za to czeka kara - mówi pani majorowa. Nawet cierpiący nie mają prawa zadawać bólu. Prosi tylko, aby nie wyciągano martwego ptaka na brzeg, aby pozostawiono go samego, również w śmierci.

Potem wjeżdża w swój las. Twarz jej jest nie tylko gniewna.

Zauważyć w niej można również odrazę. Ani razu nie patrzy w leśną zatoczkę, w której zdarzyło się coś okropnego, coś całkiem niezrozumiałego.

Łowczy Michał nie podnosi nawet głowy, gdy ona po drugiej stronie parkanu przywiązuje konia. Siedzi na ławce przed domem, a na szan rym stole stoi biała butelka i napelniona szklanka. Siedzi odchylony, głowę oparł o bierwiona domu i patrzy przed siebie w las, trzymając dłonie na brzegu stołu. Jak człowiek, który jest zmęczony i pragnie tylko przybycia wieczoru.

Pani majorowa zatrzymuje się tuż przy furtce, którą weszła. Może niesłuszne jest trwać w złości przed taką twarzą, a jeszcze mniej -

okazywać odrazę. Twarz ta bowiem nie jest ani zła, ani podła, nie triumfuje i nie gardzi. To po prostu cierpiąca twarz. Nie dla widzów,

lecz wyłącznie dla siebie. I może należałoby ją porównać tylko do

twarzy ciężko rannego, który samotnie leży na polu pod wysokim i obcym niebem, i stracił już nadzieję, że go odnajdą. I pani majorowa, czując jak gniew w niej, nie znajdując bodźca, ustępuje, przypomina sobie twarz i znużony gest, jakim ten sam człowiek uniósł ręce ku

niebu. I w miarę, jak przestaje być pewna słuszności swego gniewu, rośnie w niej poczucie jakiejś nieokreślonej winy, jaką ponoszą być

może wszyscy dobrzy ludzie za zło, które się dzieje na świecie. Jeszcze raz żałuje, że wyjechała z domu, a już wstydzi się tej tchórzliwej myśli i wie, że nie można pomóc i uzdrowić, jeśli się siedzi w fotelu

za parkowym murem i czeka, aby stary porządek sam z siebie powrócił.

- Michale - mówi cicho - dlaczego to uczyniłeś?

Jego brwi drgnęły, lecz nie cofa jeszcze wzroku spośród milczących drzew.

- Ach, pani majorowa... - odpowiada i uśmiecha się wrogo. - To

ładnie, że pani majorowa znów jest zdrowa i może się zatroszczyć o swego parobka Michała. Wszyscy parobcy, łowczowie i żołnierze dobrze się czują, jeśli pan nieco się o nich zatroszczy, gdyż zapominają wówczas o wędzidle, jakie kochany Pan Bóg założył wszystkim parobkom. Serdecznie witamy panią majorową!

Szybko odwracając głowę patrzy na panią majorową i widzi płomień wybuchający w jej oczach, o którym ona wie, że jest w stanie zniszczyć, nic innego, tylko zniszczyć, zostawiając ostatecznie pylisty popiół.

Strach może wywołać lekką utratę równowagi. Nie jest to obce pani majorowej. Zdarza się, że kary, na którym siedzi, ponosi ją, ale w ciągu tych dwudziestu lat bywało też zupełnie inaczej. Po to jest się człowiekiem, aby zwalczyć i zwyciężyć tę utratę równowagi. Według

pani majorowej dotyczy to również kobiety. Nawet wówczas, jeśli jest w tym domieszka słodczy, niebezpieczne i całkowicie zgubne pragnienie popuszczenia cugli. Tym bardziej trzeba być człowiekiem,

aby się sprawdzić, nie zawrócić, nie pozwolić zwalić na ziemię, nie wołać o pomoc, lecz położyć dłoń na rozbitym czole i spokojnym głosem powtórzyć:

- Dlaczego to uczyniłeś, Michale?

Zamiast odpowiedzi Michał podnosi szklankę w stronę drzew i mówi głośno i wyraźnie:

- Za zdrowie pani majorowej!

Możliwe, że jest już pijany, ale wówczas w takich chwilach należy do ludzi, z których twarzy nie można wyczytać, czy są trzeźwi, czy

pijani i których oczy nieustannie wyrażają bezgraniczność rozpętania, odpoczywanie nie na ostatniej płaszczyźnie, lecz szukanie, błędzenie i zagubienie się poza wszystkimi płaszczyznami. Tak czy

owak twarz Michała należy do tych, które pod wpływem pijaństwa tężeją, ale się nie deformują.

- Tam rządziło prawo - mówi Michał - że każdą zaczętą butelkę trzeba opróżnić, ponieważ następnego dnia mogły czekać kajdanki lub śmierć. Pani majorowa na pewno nie będzie taka jak Jonasz, który do połowy wypełnioną butelkę rozbił o korzeń, ponieważ spytałem go, czy pani majorowa ma ukochanego.

- Spytałeś, ponieważ byłeś o tym przekonany, Michale.

Pani majorowa zdejmuje żakiet i kładzie przed sobą na drewnianym stole pęk białej róży.

- Daj mi szklankę, Michale - dodaje.

Przypatruje się jej, a na jego twarzy pojawia się nagle grymas.

- Pani majorowa nie powinna pić - mówi.

Ale pani majorowa chce pić, może dlatego, że jest spragniona.

I Michał musi przynieść szklankę. Przypatruje się jej, jak pije, potem ponownie nalewa. Nie może to być przypadek, że oboje patrzą na butelkę, w miejsce, gdzie płyn tworzy na szkle ciemną pręgę.

- Byłeś przekonany, Michale? - powtarza.

Jego wzrok powoli odrywa się od butelki, przenosi się na nieruchomą twarz pani majorowej i znów wychodzi w zapadający, otaczający ich wieczór.

- Czasem dobrze jest wierzyć - odpowiada powoli - że Pan Bóg jest diabłem. Można potem łatwiej żyć.

- Tak, ale zależy też, o co idzie - mówi pani majorowa. - A stary Jan z wnuczętami? Czy w tamtym przypadku także chodziło o to, aby było łatwiej żyć?

Twarz Michała coraz bardziej ciemnieje.

- On był tam - odpowiada - gdzie brat Jonasza chce być pochowany. Tam nikt nie powinien przebywać oprócz mnie, ponieważ to ja pochowam go, jak należy, położę w ziemi, aby mógł spać.

- To dobrze. Aby się powiodło twoim ręką!

- Pani majorowa nie powinna pić.

- Może to dlatego, aby życie było łatwiejsze.

A łabędź? Też z tego powodu?

Nielatwo jest Michałowi odpowiedzieć na to pytanie. Najpierw musi popatrzeć na panią majorową. W jej oczach jednak, skierowanych na niego, nie widać strachu, tylko policzki ma lekko zaczerwienione.

- Z łabędziem może być i tak - mówi wreszcie - jak ze szklanką, którą się ciska o ścianę. Za spokojnie stoi sobie, za pewnie, zbyt cała, okrągła i zwarta. Szklanka może z nas szydzić. Łabędź też. Zwłaszcza jeśli nie jest sam, jeśli ma przy sobie towarzyszkę, bardzo białą i dumną. Gdy oboje mają gniazdo na wyspie i patrzą na łowczego,

jakby to nie powinno go nic obchodzić. To mnie bardzo obchodzi...

Michał musi być chyba pijany lub opętany przez złego, gdyż trąca swoją szklanką szklankę pani majorowej i mówi:

- Za człowieka w drewnianej trumnie, pani majorowo!

Lecz oczy pani majorowej nadal są jaśniejsze od jego oczu.

- Za zmarłych - odpowiada ona poważnie.

Zauważyła, że jego dłoń zadrżała na te słowa, nie przeoczyła też, że ciemna pręga na butelce znajduje się już blisko dna. Kobieta miewa ciężkie noce w czterdziestoletnim życiu, ale pani majorowej wydaje się, że nigdy jeszcze nie przeżyła bardziej gorzkich chwil, wyprostowana w ramionach, właśnie przy tym szarym stole. Byłoby dobrze oprzeć zbolące czoło o drzewo, znaleźć w nim ulgę dla płonących oczu, dla sponiewieranych warg. Byłoby to jednak dobrze tylko dla niej, a nie dla niego. Ponieważ on piłby dalej, piłby sam, pozbawiony zupełnie pomocy, a zdaniem pani majorowej udzielanie pomocy i uzdrawianie jest obowiązkiem człowieka.

Picie za zmarłych nie było chyba jednak najlepsze, gdyż za ciemniejącym lasem, od strony moczarów, zaczyna krzyczeć ptak i serce

pani majorowej zostaje przeszyte bólem, zanim jeszcze Michał podniósł dłoń:

- Pani majorowa przyzna - jego uśmiech staje się niemal okrutny -

że starzy ludzie z wnuczętami nie mają nic do szukania tam, gdzie rozlega się taki krzyk, prawda? Tam mają coś do szukania tylko ludzie z takimi rękami, za które piła pani majorowa, prawda? Za zdrowie nieustraszonych, pani majorowo!

Pani majorowa pije, a jej dłoń nadal nie drży. Mimo to ciężko jest

utrzymać w zasięgu wzroku, aby nie rozleciało się i nie wypadło z niego tak niewiele: twarz mężczyzny, która mimo opalenizny

pobladała, szary blat stołu z butelką i dwiema szklankami, pęk białej

róży, zaczynający więdnąć w ostrych oparach wódki i ciemne, milczące pnie wieczornych drzew.

- Przybyłam tu z gniewem - mówi o wiele wolniej niż zazwyczaj -

może także z zamiarem zwolnienia z pracy z powodu chęci zaprowadzania nowych porządków w moim starym lesie, ale teraz...

- Pani majorowa ma całkowicie rację - z radością odpowiada

Michał, choć na jego wargach jawi się coś jakby ból. - Za stare porządki, pani majorowo!

Z pochylonej butelki wypływa teraz ostatnia kropla. Do szklanki Michała. Wyciąga

szufladę, wkłada w szyjkę butelki niedopałek świecy i zapala knot.

- Wypowiedzenie powinno być dokonane przy świetle, pani majorowo, aby można było spalić umowy.

- Teraz jednak nie chcę tego uczynić - ciągnie pani majorowa - ponieważ...

- Ponieważ pani majorowa nie wie, jak sobie ułożyć życie, gdy łowczy odejdzie.

- Niedobrze jest źle myśleć o ludziach.

- Możliwe, pani majorowo. Całkiem w porządku, że pani majorowa uważa to za dyshonor. Jonasz jednak opowiedział mi kiedyś taką bajeczkę. Opowiadał wiele bajek, gdyśmy przy moczarach kręcili fujarki wierzbowe, a pani majorowa lepiej się na tym znała. W bajce występuje łabędzia córeczka, której zabrano ubranie i która dlatego nie może odejść. Możliwe, że tak jest również i dziś, że jakaś kobieta nie może odejść, ponieważ coś straciła. Nie musi to być jej ubranie.

I Michał zdejmuje z białego rękawa pani majorowej włos, który w czasie jazdy został tam osadzony przez wiatr, trzyma go w dłoniach przed płomieniem świecy i nieobecny wzrokiem wpatruje się w złotą nić.

- Pani majorowa powinna zakładać kapelusz - mówi - albo siatkę na włosy. Wówczas łowczy nie znajdowałby na swojej kołdrze czegoś, co daje do myślenia. To są prawdopodobnie głupie myśli, może bezcelne, ale zawsze jednak myśli. Niedobrze wtedy dla jakiegoś łowczego.

Wiele spada tego wieczoru na panią majorową, ale nie aż tyle, aby musiała ugiąć kark. Najcięższe - jak dotychczas - jest wzrastające odrętwienie ciała, powolne obumieranie członków, jakby bezcieleśnie siedziała przy tym stole, bezbronna, jakby jej ciało dostało się już w ręce mężczyzny, który wpatruje się tam w świecę i powoli opuszcza włos między swymi dłońmi w płomień, który go spala.

- Niedobrze też sądzić - mówi z trudem - że pustynna fatamorgana w pojawia się również w moim lesie.

Michał opuszcza ręce i przypatruje się jej.

- To była dobra odpowiedź, pani majorowo - mówi bardzo wolno.

- Chciałbym teraz opowiedzieć coś innego. Pani majorowa jest dumną kobietą, tak bardzo dumna i biała jak łabędź, który teraz samotnie żyje na swojej wyspie. I umyśliła sobie pani czynić dobro.

To wypada pani majorowej. Ale tylko tak sobie, mimochodem, lewą ręką, podczas

gdy prawa unosi rąbek długiej sukni, aby się nie zakurzyła. Oddanie nie zamieszkanego domu i trzech strzelb to nic

specjalnie trudnego. Można na ten temat zawrzeć umowę z terminem wypowiedzenia, a umowy zawierać można nawet z chłopcem

stajennym. Pani majorowa w ten to sposób umyśliła sobie pomagać i uzdrawiać, jak to pięknie formułuje. Zapomniała jednak zaiste, że zmarli więcej potrzebują niż żywi. Że zmarli potrzebują znów krwi, jeśli mają zmartwychwstać, krew zaś wypływa tylko wtedy, jeśli się otwiera żyły lub serce. Natomiast serce pani majorowej to na pewno coś cennego, nie przeznaczonego dla parobków lub zmarłych. A gdy

zmarli chcą mieć trochę serca, wtedy musi się im dać wypowiedzenie, ponieważ trudno było przewidzieć, jak bardzo wymagający są zmarli.

Możliwe, że przeżycia pani majorowej były ciężkie, cięższe może niż przeżycia pani pastorowej i żony starego człowieka, która się usunęła, gdy minął czas jej żniw. Ale na tym, co przygniatało,

wyrośło zboże i choć pani majorowa wiele rzeczy wie lepiej, to jednak nie wie o tym, jak było w kraju, gdzie pojawia się fatamorgana i nie wie także dokładnie, czym właściwie jest fatamorgana. I o tym nie wie, że pomoc i uzdrawianie stawia wielkie wymagania i nie

wystarczy dłoń, którą kładzie się na cudzym czole. Pastor opowiadał niegdyś o świętym mężu, który rozciął swój płaszcz, aby ogrzać zziębniętego. Nigdy nie uważałem tego męża za zbyt świętego, ponieważ połowę płaszcza zachował jednak dla siebie, a pół płaszcza to jednak jest coś... Coś więcej niż jedna darowana rękawiczka, a coś znacznie więcej niż zgubiona.

Pani majorowa może się teraz całkowicie uspokoić. Łowczy Michał pójdzie sobie i czeka tylko na pogrzebanie tego drugiego zmarłego.

Jeśli jednak pani majorowa sobie tego życzy, może on zamieszkać do tego czasu pod drzewami lub w szałasie na torfowisku. Jemu to obojętne. A w stronę łabędzi i starych ludzi nie będzie już więcej

strzelał. Starzy ludzie wkrótce umrą, łabędzie zaś mają białe upierzenie i swoją samotną wyspę, natomiast na miejsce zmarłego znajdzie się ktoś inny. Kłamstwem jest zresztą, że umierający łabędź

śpiewa. Ten nie śpiewał, tylko spadł w milczeniu. Jak kapral z siwymi pasemkami włosów. Pani majorowa zapewne już nie śpiewa, jak owego pierwszego wieczoru?

Teraz również pani majorowa musi zauważyć, że Michał się upił, że jego myśli są

zmacone, a oczy bez wstydu utkwione w jej twarzy.

Chociaż przez cały czas, gdy mówił, nie spuściła wzroku z jego warg, nie widzi tego jednak. Widzi samą siebie, jak idzie wyprostowana i spokojna po pobojuwisku, unosząc prawą ręką kraj sukni, podczas gdy lewą kładzie rękawiczkę na strzaskane czoło, aby nią przykryć straszliwą ranę. Mimo to nadal czuje krew ciekącą między palcami, ona zaś nie ma już niczego innego do dania, prócz swej sukni. Nie

może jednak zedrzeć sukni i stać naga między zmarłymi.

Dopiero gdy Michał milknie, obraz ten ginie z jej oczu. Znowu widzi grymas na twarzy i butelkę, dwie szklanki, cichy płomień świecy,

któremu już nikt się nie przygląda. Właśnie spalił się w nim włos z głowy pani majorowej. Widzi to wyraźnie, choć obraz się chwieje, ale nie jest zatarty, podobnie jak to wszystko, co ujrzała tego wieczoru. Miał to być wieczór gniewu, ale teraz w jej sercu nie ma gniewu, tylko dzikie spustoszenie, z którego możliwie najszybciej

musi się wydostać do swego cichego, chłodnego, czystego domu.

Musi tam wszystko poskładać i uporządkować: zarzuty, obelgi, wyznania i wstyd. Dopiero wówczas będzie mogła stwierdzić, czy zmarli mają rację, czy też nie.

- Dobranoc, Michale - mówi i podnosi się. - Chyba nie wiesz o tym, że dziś wieczorem pani majorowa przestała być dumną kobietą.

Pochyla się nad stołem, gasi świecę i idzie po ciemku do konia.

Bardzo powoli i bardzo wyprostowana. A po drodze od domu do furtki w parkanie ściska z całej siły w obu dłoniach białą różę starego nauczyciela, nie widząc, że spomiędzy jej palców zaczyna spływać krew.

Michał nie wstaje. Możliwe, że jest pijany. Możliwe też, że byłby w stanie wypić jeszcze jedną butelkę i nie upić się. Wie jednak, że gdyby wstał, mogłoby teraz stać się coś niebezpiecznego, coś czego

nie dałoby się już naprawić i zmienić. On także z całej siły obejmuje dłońmi martwy kant szarego stołu przed sobą i czeka, aż zostanie sam.

Słyszy, że pani majorowa nie wsiada na konia, ale prowadzi go za uzdę na zieloną drogę, na końcu której wisi biała tablica. Jego słuch jest wyostrzony, ostrzejszy niż u pijanego człowieka, przeto po długiej chwili słyszy, jak milknie odgłos kopyt, tak nagle, że świadczy

to o zatrzymaniu się konia. Ponieważ nadal panuje cisza, możliwe, że coś się stało. Szybko wstaje i wychodzi bez szelestu na zieloną drogę. Jeśliby pani majorowa go zobaczyła, wiedziałaby, że nie było potrzebne wypicie tej drugiej szklanki, z której zresztą połowę ukradkiem wylała na ziemię.

Pani majorowa nie może jednak tego widzieć, gdyż stoi przy koniu, na środku drogi. Zarzuciła ramiona na jego kark, a po jej plecach widać, że płacze. Cicho, ale całe jej ciało drży.

Michał stoi przy jednym z przydrożnych świerków i patrzy. Nie zna się zbytnio na kobiecym sercu, ale z ledwo słyszalnego, łamiącego się głosu dowiaduje się, że nigdy nie zdarzy się to, o czym roił w snach.

Nie wie dlaczego, choćby mógł się coś niecoś domyśleć, wie jednak, że nigdy się to nie zdarzy. Ani żyjącemu, ani zmarłemu. Po wszystkie czasy nigdy.

Stwierdziwszy to, jeszcze zanim pani majorowa wsiądzie na konia i powoli odjedzie, zawraca zieloną drogą i omijając dom idzie w stronę bagien, na których nadal woła ptak śmierci. Tam, w ciemnych zaroślach świerkowych kładzie się, przytulając twarz do miękkiej, próchnicznej ziemi. Leży całkiem cicho. Mężczyzna, który chce zbawić zmarłego, sam teraz wygląda jak zmarły. I tylko czasem plecami jego wstrząsa dreszcz. Możliwe, że płacze, gdyż wiele nauczył się w kraju, gdzie zjawia się fatamorgana. Ale jest też możliwe, że po prostu mu zimno, gdyż nie przykrył się płaszczem, a powietrze nad porośniętą olchami łąką, która zastępuje mu teraz łożo, jest wilgotne i zimne.

Zboże dojrzewa. Zboże nie ma nic wspólnego z tym, że ludzie sprawiają sobie wzajemnie ból, że błądzą i przyznają się do swoich błędów, czasami nie wiedzą, czy należą do zmarłych, czy do żywych.

Zboże interesuje się tylko tym, czy słońce świeci, czy nie świeci, czy ziemia otaczająca jego ukryte korzenie jest wilgotna, czy też wysuszona. A ponieważ słońce od wielu dni świeci nad tymi okolicami, czasami tylko osłabiane przez chmury i rzadko zasnuwane deszczem, więc zboże dojrzewa w swoim czasie i coraz niżej pochyla kłosa. A że od wielu dni wieje ciepły wiatr południowy, więc zapach dojrzewających pól dochodzi aż do lasu, aż do domu Michała, gdzie miesza się z gorzkim zapachem drzew i żywicy.

Michał niczego nie wie o świecie za lasem. Znowu stał się zupełnie samotny wśród swych milczących drzew. Teraz jednak zapach pól dochodzi ponad szarym parkanem aż do posłania, na którym leży, nie mogąc zasnąć. Z tym zapachem ma sporo kłopotu. Nie jest już człowiekiem polnych dróg, dla którego zapachy niewiele znaczą, wyjąwszy chyba te, które zapowiadają obiad w gospodarstwie położonym w stronie, skąd wieje wiatr. Jedna wiosna i jedno lato

wystarczyły, aby stał się stracony dla dróg, aby stał się człowiekiem osiadłym w domu z bierwion, za parkanem, przy którego naprawie



tyle się napracował i wśród drzew, które każdego ranka stoją w tym samym miejscu. Uzyskał ognisko i legowisko, studnię i ławę, i niewiele skutkuje to, że wmawia w siebie, iż pewnego ranka mógłby

zawiązać plecak i odejść sobie stąd w obcy pył poranka. Chyba już zbyt wiele zdarzyło się w tym lesie, przy tym parkanie i na tej ławce, i zapewne wiele ma się jeszcze zdarzyć, zanim weźmie z sobą tylko kij i plecak z kocem na noc.

Picie wprawdzie przestało być dla niego problemem... Obie butelki

leżą na dnie jeziora, niewidoczne już pod lekko falującą roślinnością, obie szklanki są rozbite. Michał nie odczuwa już potrzeby picia.

Dziwne to dla kogoś, kto przez wiele lat pił, aby móc żyć. Albo też aby wywoływać twarze i grzebać je. Nie jest mu to już potrzebne, gdyż zmarli chyba są już martwi, a żywi i bez tego w nim żyją. A

także może wyłącznie dlatego, że pewna dumna pani wyzbyła się dumy, podczas gdy on pił.

Dla Michała nie jest to ofiara ani też obiekt pokusy. Rzecz skończona jak napis na kamieniu. Teraz ma kłopot z zapachem pól. Nie zna tego powodu i nie szuka go nawet. Jest zbyt zmęczony, aby rozmyślać, od czasu, gdy całą noc leżał przy bagnach, spał z twarzą wtuloną w ziemię i z rosą na włosach. Nie szuka już ptaka śmierci, natomiast chętnie chodzi późnym wieczorem na skraj lasu, gdzie rozciąga się pole starego człowieka i siedzi w rowie granicznym bez strzelby, rękami obejmując kolana. Zboże jest tak wysokie, że widać tylko źdźbła i kłosa, parę bławatków przy nogach i parę gwiazd nad polem. Nie widzi domów, drzew, nie widzi nawet wysokich topoli na podwórzu pani majorowej ani starej gruszy w ogrodzie starego człowieka.

Dla Michała miejsce to jest piękne, spokojne i zwyczajne, jak na brzegu morza, ograniczone do jednego lub dwu elementów, poza którymi niczego nie ma. W porównaniu z nim las jest już czymś, co

wielością drzew, barw i form powoduje zamęt. Tu natomiast jest, po prostu, to zaś odpowiada Michałowi. Siedzi oparty plecami o sosnę i patrzy przed siebie. Nie rozmyśla. Obrazy powstają i ustępują miejsca następnym, on zaś przyjmuje je i oddaje, nie chce ich zatrzymać.

Myśli czasem o starym człowieku i o tym, że zaiste mogłoby być pięknie, jeśliby w ten sposób pot pracy zamieniał się w pole chlebowe. Inaczej było na skraju pustyni. Dobrze, że tak nie jest na całym świecie.

Czasem myśli też o pani majorowej, o tym, że nie siedzi teraz - jak on - przy jednym

ze swych pól obsianych żytem, lecz jest na oświetlonym tarasie z gośćmi lub leży w chłodnej pościeli z rękoma skrzyżowanymi na piersiach i myśli o łowczym. Nie chce już wypowiedzieć mu pracy, zaginął w lesie razem ze swoją fatamorganą,

zmarł, a drzewa się kiedyś nad nim pozrastają.

Niedobrze chyba jednak myśleć tak długo o pani majorowej.

Ponieważ pani majorowa nie jest tak prosta jak jeden składnik. Na

przykład jak to pole, nad którym stoją gwiazdy i rozpina się łuk

Mlecznej Drogi. I jest tylko, że zapach zboża posiada skłonność

przynoszenia z sobą obrazu pani majorowej. Michał nie zwrócił na

to uwagi, że jej skóra pachnie zbożem i tak samo mało uwagi zwrócił na zapach jej włosów. Musi być w tym jakiś inny związek przyczynowy. Michał go nie zna i rezygnuje z rozmyślań na ten temat. Za polem odzywa się derkacz i dobrze jest przysłuchiwać się jego monotonnemu, prostemu głosowi, Zbiegają się w nim, jak w punkcie centralnym, wszystkie ciche szmery nocy i tylko jemu przysługuje wyłączne prawo do rozlegania się w wielkim milczeniu pól i lasów.

Bardzo późno wraca Michał do domu. Być może czeka podświadomie, że w prostocie nocnego krajobrazu może się coś wydarzyć, coś równie prostego, przez co sprawy ludzkie spoją się ze sprawami natury. Ale nawet czekanie pozbawione jest gorzkiej niecierpliwości.

Gdy zaś nic się nie dzieje, wstaje i wycofuje się do lasu, jak ciche zwierzę wracające z pól.

Również za dnia nie odchodzi daleko od domu. Naoliwione strzelby

wiszą przy drzwiach, on zaś zabiera z sobą tylko nóż i kosz. Zaczął

po tej stronie parkanu zakładać ogródek, choć pora roku temu nie sprzyja. W lesie jest wiele rzadkich roślin i krzewów, obdarzonych

silnymi i jaskrawymi barwami. Wszystko to znosi tu. I nie tylko w rzadko spotykane - chce mieć również zwykłe, aby móc na nie wszystkie patrzeć z ławki i aby powoli zakrywały sobą szary parkan.

Jest to cicha praca, do której potrzebne są spokojne ręce i potrzeba w też wiele miłości, żeby w nowym miejscu wszystko się przyjęło. Ta cisza poszukiwania i znoszenia do domu dobrze robi łowczemu.

Trzeba przecież coś czynić, aby wypełnić długie dni i żeby ciemne

myśli nie zadomowiły się w pustce godzin. Może jest też coś do naprawienia w tym opuszczonym domostwie, gdzie wypowiedano złe słowa i popełniano złe czyny po to, by Michał mógł siedzieć sobie spokojnie na ławce. I po to, by krzyk nocnego ptaka nie musiał go

nadal dręczyć, a jedynie dawał znać o sobie.

Jonasz przyszedł tylko raz, ale nie rozpalono na jego cześć ogniska, ponieważ przyniósł zawiadomienie i zaledwie chwilę stał przy parkanie, ujmując rękami żerdki i przypatrując się kwiatom, których tu przedtem nie było. Tak, przyjechał syn pani majorowej, młody pan w czerwonym powozie bez koni i przywiózł z sobą damę z blond włosami, cienką jak biczysko. Mówi się na dworze, że to jego narzeczona. Pani majorowa zaś kazała poprosić Michała, aby ustrzelił dla kuchni jelenia.

- Tak, tak - mówi Michał i zastanawia się długo. - Musisz wobec

tego powiedzieć pani majorowej, że nie mam zamiaru zastrzelić jelenia i żeby zechciała poprosić o to gajowego. Jonasz przekaze, wcale tym nie zdziwiony. Nabije sobie jeszcze fajkę tytoniem Michała i ostrożnie ujmie w palce kwiat wyrastającej już ponad parkan wierzbówki kosmatej, której tu przedtem nie było. Zapyta wreszcie, czy Michał rozeznał się już w sprawie sowy. Bo to nie tak łatwo jest dać

sobie radę ze zmarłymi, prawda?

I tym razem Michał długo się zastanawia, a w końcu kiwa głową i odpowiada, że nie ma co na ten temat medytować, ponieważ wystarczy mieć czyste serce. A czyszczenie serca postępuje wolniej, niż obaj myśleli.

Usłyszawszy tę odpowiedź Jonasz uważnie mu się przygląda, jeszcze raz głaszcze ostrożnie kwiaty wierzbówki i na pożegnanie kiwa mu głową.

Michał stoi wśród swych kwiatów przy parkanie i pali. Po odejściu Jonasza zapada jeszcze większa cisza, tak wielka, że Michał rozgląda

się, czy nie ma kogoś za nim. Jest jednak tylko szary szczyt domu i wysokie ciemne drzewa, on zaś słyszy własne bijące serce, jedyną żywą rzecz w swojej wielkiej samotności. Chciał pójść, jak co wieczór, na skraj lasu, lecz odeszła go na to ochota. Wcześniej kładzie się na posłaniu z rękami skrzyżowanymi pod głową i czeka na odezwanie się świerszcza, który od jakiegoś czasu zamieszkał w jego piecu. Zasypia obecnie zazwyczaj przy jego cichej pieśni, nie

martwiąc się o to, czy sen nadejdzie.

- Kwiaty, Jonaszu? - pyta w tym samym czasie pani majorowa.

- Nie pomyliłeś się, Jonaszu? Może było już ciemno pod drzewami, gdy tam byłeś?

Jonasz jednak nie mylił się. Dobrze sobie wszystko zapamiętał - i to z jeleniem, i to z czystym sercem.

- Sądzisz, że to nie z przekory nie chce tego zrobić, Jonaszu?

A może widzisz jakiś inny powód?

Jonasz odpowiada, że w oczach Michała nie ma przekory, a tylko wielkie zmartwienie. Łatwo zrozumieć, że bardzo zmartwiony człowiek nie chce strzelać do jelenia.

A... Niech no Jonasz jeszcze powie... Czy łowczy pił?

Nie, nie pił. Jonasz poznałby od razu, czy jakiś człowiek pił, czy też stara się być człowiekiem o czystym sercu.

I w końcu Jonasz podnosi wzrok, prosząc panią majorową, aby była dobrej myśli. Łatwo przedostać się z życia do śmierci, ale powrócić ze śmierci do życia to na pewno ciężka droga. Trzeba stać na jej pobrzeżu uśmiechając się oczyma, aby nie przestraszyć powracającego.

Potem pani majorowa musi jeszcze wyjść na chwilę na taras, gdzie para narzeczonych siedzi przy skrzeczącym gramofonie i poprosić o

wyłączenie muzyki. Dama z blond włosami lekko unosi brwi, a młody człowiek niedbale odrywa dłoń od szklanki whisky i przestawia dźwignię czarnego pudła.

- Śmieszne, że wy tutaj nigdy nie macie dosyć ciszy, mamó - mówi pobłaźliwie. - Jak w domu śmierci.

Pani majorowa stoi jeszcze przy balustradzie i patrzy na malejący księżyc nad drzewami parku.

- Myślę, że mógłbyś wyjechać pod koniec tygodnia - odpowiada spokojnie. - Za dwa tygodnie zaczną się żniwa, a u nas jest taki zwyczaj, że przed żniwami wszyscy zachowują się całkiem cicho - ludzie i zwierzęta.

- Na rozkaz, pani mamó - mówi młody człowiek i podaje ogień

A potem pani majorowa leży w łóżku, z rękami skrzyżowanymi na piersiach, zgodnie z przypuszczeniem Michała. Nie ma jednak przy niej świerszcza, na którego mogłaby czekać przed zaśnięciem. Lekko tylko szumią drzewa, a od czasu do czasu dochodzi dźwięk szkła i głośny śmiech obcej kobiety, tak obcy, jakby pochodził z pokoju hotelowego z numerkiem na zamkniętych drzwiach.

Pani majorowa myśli o swym dorosłym synu i o tym, że niełatwo jest mieć dorosłych synów. Nie dlatego, że mają rękawiczki koloru lila i czerwony powóz, którego boją się konie lub dlatego, że twierdzą,

jakoby odkryli w sobie powołanie malarskie i że muszą namalować

dziewczynę o włosach blond jako Danae, na którą spada złoty deszcz. I także nie dlatego, że wieczorem są zazwyczaj pijani, a

powodem tego nie jest zniszczone życie, jak w wypadku łowczego, ale życie zabagnione i gnijące. Myśli też, że byłoby jej ciężko, bardzo ciężko, gdyby się rozniosło, że z łowczym z tej samej butelki piła gorzałkę i że bez reszty, całkowicie wyzbyła się swej dumy.

Teraz ten sam łowczy stara się zostać człowiekiem o czystym sercu, by móc ustrzelić ptaka śmierci. Pani majorowa natomiast, władczyni łowczych i ptaków, nie wie, czy jest człowiekiem o czystym sercu.

Gdyż w takim człowieku krew powinna wolniej pulsować, a w jego oczach winny zjawiać się tylko miłe obrazy. Człowiek o czystym

sercu powinien chcieć pomagać i uzdrawiać - nic więcej. Uleczony winien mieć możliwość odejścia swoją drogą, podobnie jak uleczona zwierzyna. Nawet wówczas, jeśli by uzdrawiająca miała pozostać

samotną władczynią, przed którą ludzie zdejmują nakrycia głowy.

Bywa - myśli pani majorowa - że czterdziestoletni człowiek odrzuca całe swoje życie z powodu jakiegoś omamu lub jakiegoś objawienia, aby zacząć na nowo. Zdarzało się to również i w tych okolicach i było osądzone. Także przez panią majorową. Nie można bowiem odrzucić życia, aby przy tym czegoś nie stłuc, aby nie pozostawić choć przez chwilę bezradnymi i oszołomionymi tych, którzy znaleźli się w kręgu dawnego życia - na przykład Jonasza lub karego. Nie można też przewidzieć, jakie byłyby żniwa, czekające przecież na ludzkie ręce, na wierne i spokojne ludzkie ręce. Muszą one znać moment, w którym z kłosów sypać się będą ziarna. A żniwa nie odbywają się ot tak sobie, lecz ze względu na chleb. Czyż nie ma w całym kraju wielu rąk, które już wyciągają się powoli na przyjęcie chleba?

Pani majorowa podnosi się w łóżku i odsuwa firankę w oknie. Ustał śmiech i brzęk szkła, spokojnie i wyraźnie stoi sierp księżyca nad drzewami. Z głębi pól dochodzi głos derkacza, a z lekkim podmuchem wiatru ponad parkiem przedostaje się przez otwarte okno jej pokoju zapach zboża. Człowiek nie powinien płakać z powodu

takiego widoku, więc i pani majorowa nie chce płakać, nie może się jednak powstrzymać, aby z jej otwartych oczu nie spadały łzy.

I Jonasz miał rację twierdząc, że niełatwo jest być człowiekiem o czystym sercu, o tak czystym, aby każde żniwo robić dla innych, a nie dla siebie.

Potem jednak okazuje się, że to, co widać na niebie i ziemi przerasta to, co widzi ludzkie serce. Także dla patrzącej przez łzy pani majorowej głos derkacza, który nadchodzi od pól zboża i widok półksiężyca opuszczającego się na pola stają się wielkim znakiem, ale ona jest w stanie go pojąć. Nie idzie o to, by matka dorosłemu synowi ustanawiała prawa,

wyjmując spod nich siebie samą. Skoro powiedziała, że w tych okolicach na jakiś czas przed zniwami i ludziami, i zwierzęta zachowują całkowitą ciszę, więc też sama musi się do tej ciszy przyczynić. Albowiem żadnej matce nie wolno

wysłać syna ze stron ojczystych dlatego tylko, że nie podoba się jej u syna to, do czego sama zmierza i dlatego tylko, aby nikt nie stawał na jej tajemnych drogach. Wprawdzie matce nie przynosi to wstydu, jeśli zarumieni się w obecności syna, pani majorowa jednak by tego nie przeżyła, jako że zawierałoby to w sobie straszliwy wyrok.

A wyrzeczenie się dumy przed pijanym łowczym czy przed złym dzieckiem nie jest tym samym.

Potem zasypia również pani majorowa, z policzkiem na dłoni, jak zazwyczaj. Wielki dom milczy, milczy podwórzec, milczą stajnie. W całej okolicy słychać tylko głos derkacza, który ogarnia wszystkie

dojrzewające pola pod zachodzącym księżycem.

Następnego dnia koło południa zostaje złożona wizyta łowczemu. W

czerwonym powozie, za którym przestrzeń między pniami wypełnia się błękitnym oparem. Nuda zapewne spowodowała, że powóz był najpierw w domu pastora. Tam, w ogrodzie, kobieta o świdrujących oczach sprowadziła rozmowę na łowczego. Była to swobodna rozmowa, w której tylko dla ścisłości wspomniano, że pani majorowa dość często jeździ do swego domku myśliwskiego, jak zwykle

siadając w siodle po męsku, choć niektórzy lekarze mają na ten

temat obiekcje. Niestety, w okolicy mówi się na ten temat dość dużo

- nie o męskim siadaniu w siodle, lecz o domku myśliwskim. Ludzie muszą mieć jakiś temat do rozmowy, chociaż każdy wie, że pani baronowa jest wzorem kobiety i dziedziczki. A potem pani pastorowa zapytała, ile kosztuje taki czerwony powóz i czy to prawda, że konie teraz wymrą.

Młody pan dziedzic razem ze swą narzeczoną nagle wyjeżdża i dopiero w powozie zaczyna sobie lekko pogwizdywać, jakby był bardzo zadowolony.

Powóz jedzie więc aż do szarego parkanu, zakręca zgodnie z wymogami sztuki i po wydaniu ostatniego warkotu staje cicho.

Słychać trzask drzwiczek, a na Michała przychodzi czas, aby się wyprostować za lasem z kwiatów i oprzeć o łopatę. Twarz ma niezbyt przyjazną, ponieważ niełatwo jest mu widzieć syna pani majorowej

z damą o włosach blond, należącą do tych, którym dosyć napatrzył

się w pewnych dzielnicach wielkich miast. Wie w tej chwili, że dla pani majorowej na pewno istnieją granice, których nigdy się nie przekracza i że życie byłoby lżejsze, gdyby ich obojga tam nie było, lecz gdyby na przykład leżeli pod przewróconym czerwonym powozem.

Zamiast uprzejmie i z szacunkiem odpowiedzieć na pytanie, czy to on jest tym sławetnym łowczym, który wrócił ze zmarłych, pyta się, czy nie zauważono przydrożnej tablicy, zakazującej wjazdu na tę drogę.

Młoda dama śmieje się w odpowiedzi dosyć głośno, bez powodu i w dalszym ciągu nie przestaje przyglądać się łowczemu z pewną przyjemnością. Pan dziedzic natomiast, zakładając ramiona na sztachety parkanu, zapala papierosa i sądzi, że jego matka oswoiła sobie dość dzikiego sokoła, ustanawiając go zarządcą lasu.

Łowczy odpowiada, że może się zdarzyć, iż sokół zamiast na gołębie nabierze apetytu na wróble.

Rozmowa nie biegnie więc gładko, a sytuacji nie poprawia fakt, że młody pan zakłada monokl, który wygląda przed jego prawym okiem jak szyba okienna przed pustym domem i ze złym uśmiechem

wyraża opinię: nie jest to znowu tak bardzo dziwne, ponieważ wróbel w ręku, zgodnie ze starym przysłowiem, lepszy jest od gołębia na dachu lub też - w pewnych wypadkach - od gołębia na koniu.

Michał pojmuje, o czym mowa, idzie powoli do domu i wraca ze strzelbą, którą po dobrym naoliwieniu powiesił na drewnianym kołku przy drzwiach. Po starannym załadowaniu magazynka nabojami, uważnie przypatruje się czerwonemu powozowi i oddaje pierwszy strzał w termometr umieszczony na chłodnicy. Odłamki rozpryskują się, a młoda dama krzyczy, jakby kula przeszła jej białą szyję.

Młodemu panu dziedzicowi niewiele pomaga to, że bardzo głośno pyta, czy łowczy zwariował, ponieważ ten zdaje się postanowił stalowymi pociskami uczynić czerwony powóz niezdolnym do użytku, a zaczął od mniej ważnej części, ponieważ drugi strzał rozbija kierunkowskaz po prawej stronie wozu.

Gdy szuka celu dla trzeciego naboju, powóz rycząc odjeżdża z przekleństwami kierowcy. Młoda dama natomiast odwraca się i nie bez żalu widzi, że postać łowczego pozostaje za szarym parkanem.

Pani majorowa dowiaduje się o tym na skraju wielkiej łąki, starając się uspokoić karego, który stając dęba chce zawrócić przed czerwonym powozem. Nie, nie ma zamiaru

ukarać łowczego ani go też zwolnić z pracy, pokryje jednak, naturalnie, koszty naprawy. Na pewno wybranie się w tę podróż, bez pytania się jej o zdanie, nie było rozsądne.

Młody dziedzic z zimną premedytacją odpowiada, że dopiero w domu pastora dowiedział się o tym, iż taką podróżą wkracza w przyjemne, prywatne uprawnienia pani mamy, nie przypuszczał jednak, że łączy się to z zagrożeniem życia.

W tym miejscu młoda dama uśmiecha się umalowanymi wargami i patrzy na panią majorową, a długie rzęsy mrugają aprobująco.

Przez chwilę zdaje się, że pani majorowa ma zamiar unieść pejcz, potem jednak zawraca konia i powoli wjeżdża na łąkę.

Po obiedzie jednak, na którym była nieobecna, do pokoju gościnnego młodej pary puka Lena i prosi o zgodę na jej pomoc w pakowaniu

kufrów, zgodnie z poleceniem pani majorowej.

zapach mocnych perfum oraz zasłonięte sztalugi obco stoją w zielonym małym pomieszczeniu. Z powodu perfum otworzy się okna i nie zamknie na noc, sztalugi natomiast pani majorowa osobiście zanieśe późnym wieczorem do pokoju z kominkiem, po zdjęciu

prześcieradła, które mademoiselle zawiesiła na obrazie. Nie ukończony obraz przedstawia młodą damę o włosach blond jako Danae.

Podczas gdy pani majorowa czeka, by ogień na kominku rozpałił się pełnym płomieniem, uważnie przypatruje się obrazowi, aby uzyskać pewność, że nie chce zniszczyć dzieła sztuki w zarodku. Jeśli się jednak pominie powierzchowne podobieństwo do modelu i przeciętną elegancję kreski, jedyną rzeczą godną uwagi w tym obrazie jest troska, z jaką dla nie obeznanego z mitologią obserwatora przedstawiono płęć modelki i jej przeznaczenie.

Bierze więc pani majorowa nagie, drewniane ramy obrazu w obie ręce i pionowo wkłada go w ogień, przypatrując się, jak z legendarnego złotego deszczu powstaje płonący stos, w którym arcysmukłe członki wykrzywają się i czernieją, aż wreszcie czysty płomień niszczy wszystko i w ciemny dymnik dostaje się tylko żywioł.

Potem, złożwszy spokojnie dłonie, pani majorowa siedzi jeszcze chwilę przed opadającym żarem i rozmyśla o drodze ludzkiego żywota od momentu jego poczęcia aż do chwili śmierci w płomieniach. I o tym, że muszą być jednak kobiety, których przeznaczeniem jest szukanie żniwa na polach, zamiast przy własnym ognisku domowym i w sercu. I o tym, że jakąś pociechą na pewno jest, jeśli polne żniwa są swojego rodzaju podziękowaniem za trud w nie włożony, ale też, że nie zawsze wystarczy terkotanie derkacza za otwartymi oknami dla wypełnienia życiem milczenia wielkiego, starego domu. Zawsze pozostanie jakieś miejsce, do którego ten głos nie dotrze, jakaś mała, nie wypełniona przestrzeń.



Prawdopodobnie jest nią ta przestrzeń, w której sprawdza się postawa ludzka.

Nazajutrz trzeba załatwić ostatecznie sprawę dziczyzny, mademoiselle bowiem chce wiedzieć, czy dostanie do kuchni jelenia, czy też nie. A po godzinie, spędzonej przy kominku, pani majorowa dochodzi do wniosku, że jest już w stanie posiedzieć chwilę przy szarym stole nie opuszczając wzroku.

Spotyka łowczego na zielonej drodze, w miejscu, skąd można z góry spojrzeć na zarośla. Ponieważ przypatrywała się śladom czerwonego powozu, głęboko wyciśniętym w ziemi, dość późno dostrzegła

łowczego, który ze swej strony nie usłyszał stąpania konia, siedzi bowiem na pieńku, trzymając w ręce liść i beczynn timer patrzy przed siebie. Nie ma przy sobie broni, nie ma nawet kija, a wszystkie jego służbowe obowiązki odpadły od niego tak, że wygląda jak wędrowiec, który chwilę odpoczywa, zanim wejdzie w jasność pól.

Podnosi się jednak szybko z pieńka i pomaga pani majorowej zsiść z konia, a jej się zdaje, że w jego ruchach jest delikatna gotowość

niesienia pomocy, jakby miał do czynienia z chorym człowiekiem,

który po raz pierwszy od dłuższego czasu zsiada z siodła.

- Chętnie zobaczę twoje kwiaty, Michale - mówi nieco jeszcze speszona. - Jonasz dużo mi o nich opowiadał.

Michał odpowiada jedynie kiwnięciem głowy, a potem idą razem cichą drogą. On trzyma w ręku lipowy liść, od czasu do czasu unosi

go do ust, bezmyślnie, a wówczas liść wydaje delikatny dźwięk, jaki wydają drapieżne ptaki lub łania w okresie rui.

- Jonasz opowiadał mi też - ciągnie pani majorowa - że nie chcesz zastrzelić dla mojej kuchni jelenia, więc i o to chciałabym spytać.

Michał odpowiada, że może pani majorowa zechce zatrzymać się, a przynajmniej bardzo cicho stąpać. Po lewej stronie otwiera się za pniami leśna łączka, z której dochodzi taki sam delikatny dźwięk, jaki Michał wydobywa z lipowego liścia. Zanim zdążyła się zorientować, o co mu idzie, w zaroślach rozlega się hałas, odgłos łamania i

na łączkę wbiega łania, a za nią jelen. Trzykrotnie brzą wyprężonych w skoku ciał tworzy łuk w swobodnej przestrzeni, a potem strwożony krzyk wycicha w wysokopiennym lesie.

Pani majorowa jest kobietą, która wyrastała wśród pól i zwierząt, a więc tam, gdzie nie ma zwyczaju zamykać oczu na widok sił natury zmierzających do zachowania gatunku.

Ponieważ surowa gra natury

jest zawsze taka sama, przeto jedynie od ludzkich oczu zależy, czy zauważą w niej coś grzesznego lub coś czystego. Jeśli pani majorowa rumieni się teraz, to nie z powodu tego, co ujrzała, ale z powodu tego, że stojący przy niej Michał nadal wpatruje się w wysokopienny las, wypuszcza z ręki niepostrzeżenie liść i, nie patrząc na nią, zawraca. Dopiero przed szarym parkanem mówi, jakby wychodząc z głębokiego zamyślenia:

- Może pani majorowa pojęła obecnie, dlaczego nie mogę zastrzelić jelenia dla kuchni.

Siadają na ławce przed domem z bierwion i milczą. Niełatwo jest zacząć pani majorowej, ponieważ to już nie ten sam człowiek siedzi przy niej. To już nowy człowiek na początku nowej drogi, do którego nie pasują stare słowa. Najprościej więc jest położyć na chwilę swoją dłoń na jego dłoni, na znak solidarności i podziękowania.

Michał odpowiada zachowaniem swej dotychczasowej postawy, jest nieruchomy, niemal sztywny, wydaje się, że wprost niedotykalny. Po chwili mówi:

- Był tu powóz i pani majorowa zapewne zna już resztę.

Tak, zna. Na pewno niezbyt słusznie postąpił, jeśliby mierzyć to literą prawa. Powozu jednak już nie ma, a pani pastorowa też kiedyś przestanie mówić o nich źle.

Teraz Michał patrzy na nią. - O nas? - pyta. - O pani majorowej i o mnie?

Tak, zdarza się często, że złe łączy to, co w dobrym nigdy by się nie zeszło. Pani majorowa może być jednak zupełnie spokojna. Pani

pastorowa wymyśli sobie jakąś nową fatamorganę, gdy ta zniknie.

- Tu nie idzie tylko o panią pastorową - mówi cicho pani majorowa.

- Można chyba pojąć, że matce niełatwo jest spuszczać wzrok przed ludźmi, którzy tutaj wczoraj byli. Przestałam wprawdzie w tym domu być dumną kobietą i nie mam zamiaru tego się wstydzić. Ale chyba nie chcesz, abym i tam nią być przestała. Pomyślałam sobie, że będziesz wolał widzieć w pani majorowej dumną kobietę.

Michał odpowiada, że w tym wypadku pani majorowa całkiem słusznie rozumowała, a potem prosi, aby zechciała spojrzeć na jego kwiaty, ponieważ ostatnio doszedł do wniosku, że łopata nie jest gorsza od strzelby. Było to dla niego wielkim odkryciem, gdyż sądził, że nigdy już nie będzie mógł wziąć łopaty do ręki.

Pani majorowa stojąc znów przy koniu pyta, czy nocą dochodzi tu głos derkacza.

Tak, słyszy go, a nawet co wieczór siada sobie na skraju lasu, tam, gdzie stoi żyto

starego człowieka, aby posłuchać całkiem z bliska.

Siedząc już w siodle pani majorowa mówi, że to dobry ptak. Kto zaś błędził w życiu lub nie wie, czy ma pójść w lewo, czy w prawo, powinien się w ten głos wsłuchać. Może usłyszy wówczas, jak nocą

rośnie zboże i będzie wiedział, że nie ma nic piękniejszego od troski człowieka o chleb, aby głodujący stali się syci.

Słuchając tych słów Michał tylko kiwa głową, a otwierając to znów zamykając klamerkę przy uździenicy pyta ją o zdanie: czy jest już człowiekiem o czystym sercu, czy uda mu się być nim kiedyś.

Pani majorowa wówczas jeszcze raz pochyła się w jego stronę. Tak, wierzy w to, gdyż już się nie boi. Ale nie ma w tym jej zasługi, żadnej zasługi i prosi, aby ją traktował jak kogoś, kto musi znaleźć pokrzepienie dzięki jego czystemu sercu. Mężczyźnie jest chyba najłatwiej być dobrym, jeśli może pokrzepić kobietę.

Michał długo patrzy za odjeżdżającą. Trudno wiedzieć, czy kobieta jest tylko mądra i czy wiąże jedynie nici włożone w jej dłonie. A może jest również tkaniną, która spada na człowieka i sprawia, że wszystko uspokaja się pod jej oczkami. Chyba na jedno wychodzi i Michał podda obecnie próbie opinii pani majorowej.

Wynosi z domu lornetkę i dwururkę, po długiej przerwie znowu idzie na mokradła, gdzie zwykle krzyczy ptak śmierci. Nad moczarami wisi nawałnica i Michał wchodzi w jej błękitne błyski. Nawet

tutaj, w leśnej gęstwinie, słyhać głos derkacza, a gdyby się było na polu i widziało, jak razem z każdą błyskawicą koń i pani majorowa pojawiają się nad dojrzewającymi kłosami, jak w błękitnym świetle wyprostowują się drzewa, na przykład wąskie pnie topól, i jak wszystko ginie niczym fatamorgana na żółtych wydmach - byłoby to coś pięknego. Pani majorowa zapewne myśli o swoich polach i o tym, czy będzie to burza z gradem. A może o swoich stajniach i stodołach, o bydło na łąkach. Niewiele miejsca w jej myślach zostanie dla drewnianego domu pod drzewami. Piorun nie uderza w ludzi o czystych sercach. Piorun trafia w żywych, a nie w umarłych. Trafia w chleb, ale nie w ogień w piecu.

Długa i trudna jest dziś droga do mokradeł. Światło oślepia i Michał często zbacza. Czoło ma pokryte potem, gdyż powietrze jest gęste i ciężkie od nieznanych zapachów. Światło przekształca las. Wbija się,

między pnie i rozjaśnia ściany dolin, których tu nigdy nie było.

Ściera kierunki i przestawia drzewa. Jest niebezpieczne, gdyż całkowicie bezszelestnie

dotyka i ginie.

Michał myśli o tym, że strzelanie przy takim świetle jest wręcz niemożliwe i że rozsądniej będzie zawrócić. Taka noc jednak nie skłania do rozsądku.

Rechoczą już ropuchy w ciemnych bajorkach

porosłych olchami, co znaczy, że jednak nie zbłądził. Taka noc, z towarzyszeniem grzmotów, spadających na umykające kroki, nadaje się do ucieczki. A deszcz zetrze ślady stóp z powierzchni ziemi. Ale

słońce znów wszędzie nad dojrzewające ziarna i nad ludzi, którzy potrzebują pokrzepienia po samotnej nocy.

Niedobrze jest marzyć w taką noc, gdyż może przestraszyć krzyk ptaka płaczącego za łąkami. Tak bardzo płacze, że serce zaczyna walić. A przecież nie boi się zmarłych. Nie boi się zmarłego braciszka Jonasza, który śpi w głębi moczarów, ani obcego kaprała, stojącego tam, pod olchami. To jednak tylko pień wierzby, a następna błyskawica ukazuje, że to nie dwa ramiona, lecz dwie gałęzie w milczeniu podnoszą się przed oczyma. Nie, Michał nie boi się zmarłych, jest człowiekiem o czystym sercu. Zrezygnował z chęci trzymania pani majorowej w swych ramionach, ponieważ pani majorowa piła przy

jego stole, aby go wybawić i ma syna, który nazywa ją gołębiem.

Chłodny jest metal lufy. Jedyna chłodna rzecz w tej gorącej nocy.

Dobrze jest położyć na niej dłonie, dobrze też oprzeć na niej skroń.

Coś dobrego przenika z jej chłodu w krew, jakieś zalety metalu, który się wytapia, wylewa i kuje dotąd, aż stanie się cichy w stężeniu nakazanej mu formy. Wszelkie stężenie jest piękne, stężenie metalu, śmierci czy też bólu. Jest na tym świecie czymś jedynie pewnym, gdyż z jego szarego spokoju nie przebijają żadne życzenia. Nikt o

nich nie wie i odnosi się wrażenie, że ich nie ma. Tylko to, co stężone, wie w czym rzecz - i milczy. Nie ma nakazu mówienia.

Pani majorowa przeraziłaby się śmiertelnie, gdyby zobaczyła go, jak przykłada lufę strzelby do skroni. Nie ma jednak powodu do obaw.

Michał chce chłodu, lecz nie śmierci. Kto chce być człowiekiem o czystym sercu, musi być zarazem człowiekiem o chłodnym sercu. Tak więc również Michał potrzebuje czegoś, do czego mógłby przyłożyć skroń w taką noc.

Ptak płacze. Michał słyszy go wędrującego po wielkim kręgu, który to się rozciąga, to znów zwęża. Czeką jednak, nie wstaje, by szukać.

Przeznaczone przyjdzie do niego. Przeznaczeniem wielu jest miłość,

więc przychodzi do nich w taką noc. Innym znów przeznaczony jest ptak śmierci,

który też przyjdzie w swoim czasie. Przyjdzie do nieustraszonych, którzy tak dalece nie znają strachu, że nie boją się tego nadejścia nawet przed czasem.

Pierwszy grzmot stacza się na moczary i ociera ciężkim pomrukiem o las. Po trawie przechodzi chłodny wiew, porusza listowie osiki i

jedną jedyną falą pochyla białą wełniankę. Ptaki budzą się, szukają w gnieździe pewności i znów zasypiają. Michał nie wie, o czym myślą drzewa. Ich kora jest spłowiała, a zarys wierzchołków nie-ruchomy. Nagle, zanim jeszcze rozlegnie się hurkot drugiego, dalekiego grzmotu, opada go świadomość tego, jak bardzo samotny jest w tym lesie. Człowiek na pieńku drzewa, trzymający strzelbę na kolanach - a wokół niego i ponad nim tysiące milczących wierzchołków.

Wynurzają się i ponownie giną w nocy. Mieszkają w nich ptaki, których nie widzi, pod korą zaś żyją chrząszcze? o których nic nie wie. W trawie natomiast ciągną się tropy małych wędrowniczek - ich także nie zna. Zawsze tak było i nie odkrył niczego nowego. Las jednak stał się nagle bladym, ukrytym zwierciadłem. Michał dostrzega w nim swoją nową twarz. Jest nie tylko samotny, ale i obcy w lesie. Łowczy, który nigdy nie był łowczym, lecz najpierw

pasterzem, potem żołnierzem, następnie jeńcem, wreszcie bezdomnym obywatelem świata, który otrzymał dach nad głową, aby mógł się ukryć, lecz nic nie ukrywa tak dobrze, jak las. Nie można natomiast żyć w piwnicy, jeśli się przyszło na świat na ziemi i nie można zrozumieć kropli ściekających z wilgotnych ścian.

A ptak śmierci woła. Zły czar zawarty jest w tej nocy. Aż do zwierzęcych nor dochodzi błysk światła, które również wie, że ktoś obcy chodzi po lesie. Do lasu trzeba być dostosowanym już w chwili urodzenia się, na przykład jako myśliwy albo jako węglarz czy zielarz.

Człowiek ze strzelbą nie urodził się jako jeden z nich i zaczyna teraz rozumieć, dlaczego kocha pokryty gontami dach domu i szary płot z dzikimi kwiatami. Pani majorowa także tego nie wiedziała. Nigdy bowiem nie siedziała tu na pniaku drzewa w leśnym mszarze pod niebieskawymi błyskawicami burzy. Będzie przeto musiał powiedzieć jej, że niedobrze zrobiła czyniąc go łowczym w wielkim lesie, że

musi jednak stąd odejść, aby nie żyć ze zniszczonym sercem w tym obcym kraju.

Gdy jednak wstaje, krzyk rozlega się nad nim, na gałęzi, a następna błyskawica rzuca całe swoje światło na ptaka, siedzącego na uschniętym wierzchołku dębu. Wierzchołek jest tak biały, jakby to właśnie błyskawica zdarła z jego gałęzi korę. Ptak także jest biały, jak

butwiejące drzewo ogarnięte płomieniami na ciemnym tle chmur.

Ręka Michała odruchowo czyni to, co do niej należy. Nie zdaje sobie sprawy, że odbezpiecza strzelbę i unosi ją do góry. Ręka Michała niezależna jest od jego woli i gdy nowa błyskawica wyrasta nową

ścianą, ujmuje spust i spokojnie go naciska, a zaraz potem grzmot strzału daje znać, że wykonała to, co do niej należało.

Ręka Michała zabiła. On jednak nic nie wie o swojej ręce. Stoi, wpatruje się w ciemność, a chłód strachu powoli pełźnie po jego plecach, między łopatkami. To sówka, Michale. Nie ma powodu, aby się bać jej śmierci. Na co innego kierował się już chłodny metal w twojej ręce. Czy słyszałeś, jak upadła? Nie, usłyszałeś tylko echo, które nad-

biegło od ponurych lasów. Światło uciekło przed twoim strzałem daleko za moczary, w przerwy między chmurami. A jeśli znowu zacznie płakać ten głos poruszający się po bezdrożach? Zakpi sobie z ciebie i będzie ścigać całą noc? Idź z lasu, Michale! Idź na pola ze zbożem, gdzie woła inny ptak, ptak czuwający nad żniwami.

Nowy błysk ogarnia płomieniem cały świat. Biały wierzchołek jest pusty. Nieruchomo żarzą się gałęzie, ciemnieją, jeszcze raz płoną i gasną. Michał robi głęboki wdech. Razem z nim wraca ufność, gorzki zapach brzoź, żywicy sosen, wraca chłód traw i olszyn. Idzie po ciemku w stronę pnia tego dębu i czeka na światło.

Ptak leży u jego stóp - na plecach, z podkurczonymi, lekko zagiętymi szponami. Nie ma w nim niczego strasznego i upiornego. Obca sowa, lekka i miękka w dłoni, jeszcze z ciepłem życia i z dwiema czerwonymi kroplami na szarej piersi.

Długo płomienieje nad lasem. A Michał patrzy w oczy ptaka. Bursztynowożółte oczy pokrywa matowoniebieskawa zasłona, odgradza je od jego spojrzenia. Smutne jak oczy wszystkich zwierząt i bardzo odległe, chociaż przybliżył je do swojej twarzy. Braciszek Jonasza?

Ależ nie, jego oczy byłyby inne, w otchłani moczarów przygniecione i ociemniałe. Od dawna już wygasło w nich przerażenie z powodu gorzkiej śmierci.

Jonasz jednak uwierzy. Będzie teraz spokojnie stał przy dworskiej bramie i wyglądał pani majorowej, która w ciemności nadjeżdża polem. Pani majorowej nie grozi już żadne niebezpieczeństwo ze strony głosów rozlegających się w godzinie sowiej ucieczki. Na

polach będzie rosło zboże, a Jonasz będzie siedział w kuchni, przy palenisku, z kozikiem w ręku. Dziewczęta będą śpiewały piosenki,

wejdzie pani majorowa i stanie przy Jonaszu.

„My oboje, Jonaszu... Prawda?”

Pola nie będą zaniedbane, nad parkiem wszędzie księżyc. A łowczy Michał? Tak, był tu niegdyś i wybawił zmarłego. Nikt jednak jego nie wybawił, przeto odszedł sobie w daleki świat. Drewniany dom niszczeje. Nikt już nie chce siadywać na ławce, nawet pani majorowa.

Parkan się przewraca, dzikie kwiaty rosą i rozrastają się w jaśniejący las. Droga zarasta. Trawa porasta ślady karego, tablica

odpada, a mech pokrywa groźny napis. Błogosławieni są jednak ludzie o czystym sercu.

Michał siedzi jeszcze chwilę na pniu drzewa z nieżywym ptakiem w ręce. Pioruny grzechoczą już nad lasem, ale nie wywierają wrażenia na łowczym, który jest śmiertelnie znudzony po swym czynie i nie wie, co powinien zrobić rano.

Dopiero gdy na rozszumiały las spada deszcz, wraca do domu, trzymając ptaka na piersi, pod kurtką. Błyskawice spadają na okolicę, ziemia drży pod jego stopami, on jednak, zachowując na twarzy spokój,

wychodzi z lasu, wzdłuż pól ze zbożem, prościutko aż do bramy dworu pani majorowej.

Siedzi tam Jonasz z łopatą między kolanami, To także go nie dziwi.

Tak, Jonasz słyszał strzał i wie, że Michał jest człowiekiem o czystym sercu. Jonasz w lesie nie czuje się obco i może wie także o ludziach więcej niż ci, co daleko podróżowali, On także nie odczuwa strachu trzymając w ręku ptaka i podnosząc go do samej twarzy.

- Taki mały - mówi tylko. - Taki zmęczony i mały...

Wykopuje niewielki grób w kącie cmentarza, a Michał siedzi na zapadającym się kopczyku i patrzy na niego. Krzyże rozbłyskują i

zapadają się w ciemność, deszcz szumi. To dobra noc dla takiego potajemnego czynu. Michał chciałby się roześmiać, lecz nie może..

Widział, jak kopano wiele grobów, sam też wiele wykopał, ale tak małego - jeszcze nie. Nie widział też grobu, który byłby tak wielkim symbolem religijnej wiary. Jonasz od najmłodszych lat był dobrym kolegą. Nienadaremnie więc wrócił i przywrócił zmarłemu spokój.

Ludzie żyjący są być może nieważni, jeśli się ich porówna ze zmarłymi.

Tak zrównają, aby pastor nie zauważył. Może się zdarzyć, że pastor nie będzie chciał

mieć sowy w swojej poświęconej ziemi. A o resztę

zadba deszcz. Pięknie brzmi „Ojcze nasz”, gdy pojawia się na war-gach tego otępiatego człowieka - jak pierwsza modlitwa, nie sprofanowana jeszcze przez zawodowe powtarzanie. Michał również

składa dłonie, trzymając w nich lufę strzelby, gdyż sprawia mu przyjemność być takim jak Jonasz.

Potem obaj wracają do domu. Jonasz nie pyta, ponieważ wierzy. A dla Michała piękne jest to, że ktoś wierzy mu nie pytając. Będzie

teraz spał pod wymyślonym dachem, na który pada deszcz. Spać,  
tylko spać - bardzo długo i bardzo głęboko.

Prawdą jest, że śpi długo, ale snem gorzkim. Nie powinno tak być po spełnieniu dobrego uczynku. Zna ten sen z obozów za drutem kolczastym, sen z majaczeniami, po których pozostaje tylko wrażenie

ciężaru i dławienia otępiatej duszy. Zna przede wszystkim ocknienie się z takiego snu, nie pojedyncze, lecz liczne budzenia się nad ranem, ślepe i skołowane, nie niosące wspomnień, a tylko straszliwy ból w zupełnie pustej piersi. Budzenie się do próżnego i całkowicie

beznadziejnego dnia, do łańcucha dni, miesięcy i lat. Budzenie się przekłętego bez podania mu sentencji wyroku. Nie przypomina sobie tego, ale wie, że gdzieś coś się przydarzyło, coś beznadziejnego.

Może to śmierć, może odepchnięcie? I słyszy deszcz szumiący w pustce. Pod wpływem tych pierwszych słów modlitwy przychodzi mu na myśl to, co straszliwie wlecze się za jego snem - pustka życia.

Tak, to jego słowa, dla niego stworzone. Tak je wyszlifowano, że stały się możliwe przez bezmyślne, codzienne powtarzanie. Ich dokładne użycie zawiera jednak straszliwy sens. Puste naczynia, pusty dom, pusty las. To coś więcej niż śmierć. Puste życie jest bowiem straszliwsze od zamkniętego. Wszystko w nie może wejść, albowiem drzwi stoją otworem. Nic jednak nie wchodzi. Nikt i nic.

## ***Rozdział 5***

Michał śpi długo, a liczne przebudzenia tną jego sen na kawałki. Rano wie tylko tyle,



że teraz odejdzie. Nie przemyślał tego, zawsze bowiem żywił nadzieję, że to nie jest konieczne. Jak jednak

miałby pozostać? Mógłby strzelać do zwierząt, ale nie chce. Mógłby posadzić jeszcze więcej kwiatów, tak dużo, że wypełniłyby całą ogrodzoną przestrzeń. On jednak nie chce. Chce się od tego uwolnić. O to właśnie idzie. Chce być wolny od zwierząt, kwiatów, ludzi.

I od czystego serca. Tak, chce być również uwolniony od czystego serca. Podstępnie i powolutku oszukiwano go, aż wreszcie nałożono mu nowe więzy. Powinien być podobny do nich wszystkich: spokojny, pracowity, którego nie trzeba się bać.

On jednak nie chce. Przez jakiś czas oszukiwano go i zwodzono:

stary człowiek, Jonasz, pani majorowa. Do tego stopnia, że złożył w końcu ręce do znów pić, aby wypełnić puste miejsce w obolałej piersi. Teraz chce znów iść samotnie i daleko po wolnych drogach, na których wieczór jest inny niż ranek. Teraz chce znów spać w krzakach, mając u stóp

ognisko, a we włosach suche szpilki. A jeśli zechce, to ktoś podzieli z nim ognisko i sen, gdy zaś będzie miał tego dosyć - odegna i zostanie sam. Nie będzie pustki w jego dniach, nie będzie pustki w jego nocach. Nie będzie czekania na tętent konia, na uśmiech, na słowo. Związać się tylko z jedzeniem, piciem i spaniem, z tym, co

wszędzie może mieć człowiek nie bojący się niczego.

Wiąże więc Michał swój plecak i odchodzi. Idzie tak szybko, że nie zamyka drzwi. Idzie na ukos przez las, odchodzi od pól, tam, gdzie tego wszystkiego nie ma. Idzie jak wypędzany ślepiec i sam odrywa myśli, które pozostają tam, gdzie było to wszystko. Kierując się na zachód, może widzieć swój cień i wiedzieć, że idzie. Idzie jak bity koń, na oślep, przez rowy i mszary. Nie idzie, lecz ucieka.

Zatrzymuje się dopiero po wyjściu z lasu. Przystaje i ogląda się.

Słońce znów świeci po nocnej burzy. Pola pokryte są iskrami, woda na drodze odbija światło. Szeroki i niski horyzont płonie. Tam jest ona - wolność. Nieograniczoność przestrzeni, gdzie może zostawiać swoje ślady, jak mu się podoba. Tam jest droga, ale też bory i pola.

Tam są łany żyta i stogi siana, nad którymi stoi migotliwość upału.

Tam są wspaniałe spiętrzone białe chmury, które wyprzedzają go wędrującymi po polach cieniami. Tam jest oczyszczony nocą wielki wiatr równin, nasycony zapachem ziemi i zboża. Tam jest ona - wolność.

Tak, tam jest ona. I Michał, i wolność przypatrują się sobie nawzajem. Już tutaj, w

tym miejscu, zdarza się coś godnego uwagi, co sprawia, że Michał spuszcza wzrok przed wolnością i kieruje go do swego wnętrza. Nic nie zaszkodzi, że najpierw posiedzi sobie chwilę we wrzosach i wypali fajkę. Łowczy Michał po przejściu takiego lasu nie jest zmęczonym wędrowcem. Wędrowiec, który wyszedł z więzienia, po zjawieniu się na skraju równiny wydałby okrzyk.

Wzniósłby do góry wolne od więzów ręce, na których widać jeszcze otarte miejsca. I objąłby nimi wspaniałości, jakie przed nim się

rozciągają - barwy, linie, słońce i wiatr. I wszedłby w tę wspaniałość tak, jak dziecko wchodzi między łąny zboża, zataczałby się oszołomiony i czujący słodki przestрах przed upiorami południa.

Ale Michał tego nie czyni. Siedzi we wrzosach i pali.

- Zbyt piękne to wszystko - mówi do siebie.

Wspaniałą rzeczą jest być na wolności. Długo jednak przypatruje się lotowi dzikiego gołębia w stronę lasu. Być może przeleci nad domem w stronę wielkich pól, na których wkrótce odbędą się żniwa i gdzie również dziki gołąb może się pożywić.

Odwraca się i nasłuchuje, lecz nie słyszy derkacza. Powinien wiedzieć, że bardzo rzadko derkacz odzywa się rankiem. Wie tylko tyle, że bez jego głosu przestrzeń jest pusta. Nie szkodzi. W nocy znów odezwie się, z innych pól, na których także zadzwonią kosy, podczas gdy on z rękami skrzyżowanymi pod głową będzie leżał na pagórku, trzymając w wargach bławatek.

Czy naprawdę nie szkodzi? Dlaczego nie wstajesz, Michale, póki słońce jeszcze nie pali? Dlaczego nie troszczysz się, aby skraj tego lasu zginął za horyzontem? Czyż nie jesteś, Michale, wolny i radosny?

Michał jest naturalnie radosny. Tak radosny, że wystukuje zawartość fajki o obcas buta i zaczyna śpiewać. I podejmie teraz decyzję, którą pójdzie drogą. Oto polna droga, która okrąży moczary. Ale polna droga jest otwarta i szeroka, i zbyt wiele śladów odcisnęło się na jej pobrzeżu. Tam natomiast miedza wśród pól, która skręca na łąki i ginie na pustkowiu. Miedza jest lepsza od polnej drogi, ale mogą nią iść dzieci do szkoły albo stary człowiek z wózkiem chrustu. Człowiek z plecakiem i kijem w ręce, bez łopaty lub innego narzędzia jest podejrzany. Dzieci schodzą na bok i zatrzymują się. Stary człowiek opuszcza dyszel wózka i staje. Długo patrzą za nim, czy nie podpala boru lub nie wrzuca do wody kładki przerzuconej nad rowem.

Nie, miedza też nie jest dobra. Trzeba wejść w świat własną ścieżką.

Pójdzie więc Michał na ukos przez łąki do trzech brzoź, tam, gdzie zaczyna się las. Potem się rozejrzy. Dostyc jest miejsca na tym świecie i nikomu nie musi się deptać po nogach.

Mimo to nadal siedzi i patrzy przed siebie. Na jego ramiona, nogi i serce spada straszliwe znużenie. Od dawna już wie, że nie odczuwa radości i tylko boi się powiedzieć samemu sobie, dlaczego tak właśnie jest. Ale i to nie trwa długo. Potem wszystko już wie. Leży

na boku, z twarzą w dłoniach i zamyka oczy. A więc to tak bardzo, tak daleko go zaprowadzono, że nie może już iść, że nie cieszy go

poranek wolności, że jest pusty i pozbawiony radości, jak człowiek ułomny, który zdejmuje czapkę na skraju drogi. Złamano go i obezwładniono jak ptaka. Odebrano mu jego siłę, dzikość, szczęście.

Tak, nie ma już dla niego szczęścia, jakie przynosi droga. Opustoszałe są: polny trakt, miedza i bezdroże łąk - opustoszałe i obce.

Oto powód, dla którego sprawy nieznane stały mu się obce. Pana dróg pozbawiono radości, uczyniono starym człowiekiem, który już

nie chce wędrować, nie chce iść naprzód i nie chce wracać.

Michał płacze. Na progu wolności leży w wilgotnych wrzosach z zamkniętymi oczami i płacze. Nie jest już strzałą, chmurą, ptakiem.

Jest kamieniem wypuszczonym z zamkniętej dłoni i spadającym do studni lub w bagno. Czystego serca? Niech będą przekłęci wszyscy ludzie o czystym sercu! O czystym, lecz złamanym. O sercu zmęczonym, pustym, całkiem złamanym.

Tak, a teraz trzeba coś zrobić. Wrócimy powoli do domu, z każdym krokiem radośniej. Przepłyniemy przez sitowia na czarną wodę, aby nurkować aż do zielonego dna, gdzie leżą obie butelki. Tak długo, aż zostaną odnalezione - przynajmniej jedna z nich. Tego i owego nauczyliśmy się w świecie. Na przykład nie odczuwać strachu na zielonym dnie, nad którym stoi czarna woda. I na przykład pić, nawet

jeśli się nie jest człowiekiem o czystym sercu. I trzymać w dłoni chłodny metal lufy i nie pozwolić, by ręka zadrżała, gdy nadejdzie czas. Nauczyliśmy się tego. A jeśli nawet coś jest nieznane, to poznamy. Dwa razy uciekaliśmy i dwukrotnie nas schwytano. Ale teraz

nikt nas nie schwyci, ponieważ nikt nie będzie mógł pójść za nami tam, gdzie

będziemy.

Nawet pani majorowa, choć wszystko lepiej wie i zrezygnowała, jak twierdzi, ze swej dumy. Ależ nie - my coś innego rozumiemy pod słowami, że jakaś kobieta zrezygnowała ze swej dumy. Parę szklanek gorzałki dla nas to nic wielkiego. Duma, pani majorowo, nie znajduje

się w gardle, nawet w tak białym, jak twoje. Duma znajduje się gdzie indziej, ale już przeszło i nie potrzebujesz przynosić jej tam, gdzie będziemy. Drzwi się zamknęły, chcemy być sami. Czy pani majorowa

to rozumie? Całkiem sami. Nie o czystym czy brudnym, ale o cichym sercu, pani majorowo! O zimnym sercu, pani majorowo, mówiąc

ściślej. Czy pani majorowa rozumie?

Tak, Michał wie nareszcie, co ma uczynić. Całkowicie obojętne jest teraz, czy pójdzie polną drogą, miedzą, czy też na przełaj przez pola.

Wchodzi obecnie na szeroką drogę wiodącą w las. Nieważne, czy na jego pobrzeżu jest wiele śladów. Nieważne też, czy jakiś wóz nadjeżdża z przeciwka. Wozy jadą na targ lub do sądu, a więc do

spraw przemijających. A jeśli są zamknięte, jak ten właśnie, to jadą prawdopodobnie na wesele, chrzciny lub pogrzeb. A jeśli jest to wóz dworski, jak ten właśnie, to prawdopodobnie pani majorowa wysłała chorego do szpitala, może mademoiselle albo dziewczynę ze sznurem

korali, gdy ma mieć dziecko. Ponieważ to nie jest jego dziecko, więc może być obojętny, prawda?

Wóz jedzie bardzo powoli, przeto Michał ma czas zobaczyć przez otwarte okienko twarz i obie ręce związane na podołku białymi chustami. Po prawej twarz Jonasza, po lewej jakaś obca twarz.

Wszystko to jest tak dziwne, że wóz zatrzymuje się, aby Michał mógł przyjrzeć się dokładnie i szczegółowo. Daremnie Jonasz woła coś do

woźnicy. Oddziela go od niego nie tylko szklana szybka, ale i to, że woźnica jest prostym człowiekiem. Prości ludzie natomiast wiedzą, że należy się zatrzymać, jeśli w takiej podróży syn spotka ojca. Nawet

w takim wypadku, gdy droga wiedzie nie za mur przykościelnego cmentarza, gdzie już nie ma ponownego widzenia się, ale mimo to wiedzie za mury. Są to wprawdzie mury z oknami, ale też z żelaznymi w nich kratami. Zdarzało się już, że syn zrezygnował z widzenia, gdy należało widzieć się z człowiekiem, który kłęcząc na ziemi bawi się kamykami i

przemawia do nich, jakby to byli żołnierze z wielkiej wojny. Na przykład jakby to było trzech synów, z których najmłodszy

- powiedzmy - ma na imię Michał.

Jadą więc teraz ze starym człowiekiem do zakładu, gdzie zajmą się nim ludzie w białych fartuchach i z politowaniem wzruszą ramionami. Nie, na pewno nie będzie powrotu. Michał w ostatnich dwudziestu latach widział takie twarze i żadna z nich nie wróciła.

Słuszne jest zatem, że przypatruje się twarzy starego człowieka.

Może się jej przypatrywać bez przeszkód, jakby to był kamień lub nieustannie zmieniająca się powierzchnia wody, ponieważ nikt nie ma nic przeciwko temu, aby się przyglądał. Niczego nie widzą. Stary człowiek też nie widzi, że przypatruje mu się jego syn, Michał. Stary

człowiek ma co innego do roboty, coś ciężkiego i zapewne coś strasznego, gdyż jego refleks przebiega, skacze, gna po wykrzywionej twarzy, wyskakuje z martwych oczu i wypycha na wargi słowa niezrozumiałe, pośpieszne, straszliwie pośpieszne.

Zła to droga, Michale, do radości. Ostatnim razem stary człowiek ładował drzewo, potem zdjął czapkę i pił wodę, czerpiąc ją stuloną

dłonią z jeziora. Daleka droga wiedzie stamtąd. Może zabrakło

dobrych zmarłych, którzy mieli zwyczaj siadywać u starego człowieka, aby przełamać się z nim chlebem lub pobłogosławić jego pole na następne żniwa. Gdy ich zabrakło, wyszedł im naprzeciw, stary człowiek chciał być bliżej zmarłych i zmylił drogę. Toteż stary człowiek, dla którego graniczne kamienie były święte jak sakrament, przeoczył wąską granicę i zszedł z drogi ludzi żywych. Nie można się dziwić, że jego słowa są pośpieszne, straszliwie pośpieszne, gdyż stary człowiek, który zgubił drogę, nie ma zbyt wiele czasu. A tu tyle postaci, które mu słuszną drogę przeinaczają, strasznie wiele postaci, które trzeba zakląć, aby go przepuściły, chociaż to one właśnie

związały jego ręce w przegubach.

Zła to droga, Michale, nawet wówczas, kiedy nauczyliśmy się nie odczuwać strachu. Nawet wówczas, kiedy nam również ukazują się

zjawy, na przykład przy ognisku w jesiennym lesie lub gdy mamy przed sobą białą butelkę, która leży teraz na zielonym dnie. Musi być jednak między nimi jakaś różnica, Michale, gdyż nigdy jeszcze nie mówiliśmy tak pośpiesznie, nawet w wielkiej mowie do pani majorowej. I nigdy jeszcze nie było w naszych oczach tyle przerażenia,

choćbyśmy nawet podsumowali tych dwadzieścia lat i wszystko, co w ciągu nich widzieliśmy.

Jonasz mówi, że niewiele na ten temat wie. Bodajże tylko pan pastor wie wszystko. Był bowiem wieczorem u starego człowieka, gdy ten chwycił siekierę, aby rozwalić swój dom. Pan pastor wybiegł

wówczas na pole, a pani majorowa przybiegła ze swymi ludźmi. I z trudem go obezwładniono. Rankiem zaś, gdy okazało się, że nie ma już Michała w jego domu, trzeba było z nim pojechać. I tak będzie

chyba najlepiej, że Michał wróci, oni zaś sami starego człowieka zawiozą tam, gdzie się na nim poznają.

Stoi więc Michał na drodze, podczas gdy wóz oddala się od niego tym samym traktem, przy którym siedział, w tę samą dał, w której szukał swej drogi. Stoi długo i patrzy za nim, choć bezcelowe jest doganianie starego człowieka, który poprzestawiał swoje kamienie

graniczne i który tak długo rozmawiał ze zmarłymi, aż przestał rozpoznawać żywych.

Potem powoli, powoli wraca do domu.

Poznaje po drzwiach, że ktoś tu był. Teraz jednak nie ma nikogo.

Chciano sprowadzić syna, aby był przy starym człowieku. Rzecz zrozumiała. Nie było jednak syna w ciężkiej godzinie. Syn siedział przy tracie polnym po to, aby odczuwać radość. Nic jednak z tego nie

wyszło. Postanowił wówczas coś innego, aby dogonić jednak radość.

Tymczasem dogonił go wóz. Wóz był szybszy od radości, chociaż

jechał tak wolno. I znowu nic nie wyszło z radowania się. Michał

dopał Jonaszowego braciszka i uspokoił go, ale starego człowieka nie można dopaść i nie będzie on już nigdy spokojny. Za mało troszczył się Michał o starego człowieka, przeto stary człowiek na własną rękę dostał się tam, gdzie stoją zmarli, którzy nie chcieli go odwiedzać.

Nie ma już teraz mowy o białej butelce na zielonym dnie. Pozostał tylko dom, który stary człowiek chciał rozwalić siekierą i pozostały pola, które stary człowiek chciał kosić kosą. Opuszczone królestwo,

gdzie siedzi stara służąca, oszołomiona i zakrywająca oczy rękami.

To nieprawda, że najcięższa jest wojna i więzienie, i druty kolczaste.

Wszystko to ma swoją codzienność i wszystko jest tam na swoim miejscu, o wiele trudniejsze jest uspokojenie, gdyż nic w nim nie znajduje się na swoim miejscu. Trzeba dopiero wszystko na swoje miejsca poustawiać. Nie ma rozkazów dziennych, dozorców ani też

wybijania godzin zegara. Jest tylko człowiek, człowiek w wolności.

I wszystko czeka na jego ręce. Bardzo ciężko jest, jeśli dzień czeka na ludzkie ręce, a one są zmęczone i nie wiedzą, co czynić.

Pięknie jest jednak siedzieć tutaj po rozpoczęciu się nowego dnia.

Opierać głowę o belki domu, złożyć ręce na blacie stołu, skierować wzrok na czarną wodę, w której jak w lustrze odbijają się pnie. Ktoś przecież przyjdzie i przemówi. Przemówi przed wszystkimi rzeczami, ponieważ las jest bardzo cichy. Może pani majorowa, a jeśli nie ona, to Jonasz. Wieczorem, gdy wróci z zamkniętym wozem.

Przed panią majorową czy Jonaszem przychodzi jednak pastor. W czarnym surducie, z kapeluszem w ręku. Nic w tym dziwnego, ponieważ tylko pastor wie, co się stało. Jest więc czymś naturalnym,

że przychodzi do syna starego człowieka, aby go poinformować, a zapewne także po to, aby go pocieszyć. Mimo to jest w tym coś dziwnego, ponieważ czarny surdut jakoś niezwykle wygląda w lesie, a także twarz pastora jest zmieniona, nie tak promienna pewnością, jak dotychczas.

Michał jest bardzo zmęczony, musi jednak teraz wstać, aby pozdronić gościa. Rozstali się nie za bardzo w zgodzie wówczas na tarasie,

było to jednak dawno temu, a pastor musiał przejść wczoraj ciężkie chwile, gdy stary człowiek chwycił za siekiere.

- Tak, Michale - mówi pastor i ociera czoło wielką chustą - wiesz o tym... Zapewne wie pan już o tym...

Tak, Michał najważniejsze już zna.

- Tak. Przybywam więc, aby pana poinformować, ponieważ jest pan jednak synem, ostatnim. I ponieważ dręczy mnie coś, czego nie mogę

sobie wytłumaczyć. Nie myślę o stawianiu sobie jakichś zarzutów, ale to, co się zdarzyło, tak bardzo różniło się od tego, czego oczekiwałem, różniło się i było całkiem niepojęte. Może właśnie pan będzie w stanie to wyjaśnić, gdyż po swoim przybyciu był pan u niego dzień, ten pierwszy.

Było więc tak, że pastor już od dawna dręczył się tym, iż stary człowiek stał się dziwakiem i że nawet przestał chodzić do kościoła.

Widywanie zmarłych jest czymś niedozwolonym w chrześcijańskiej parafii, a rozmawianie z nimi i wspólne spożywanie chleba wprowadza zamęt i niebezpieczeństwo w świat zdrowia i porządku. Coś z tego spada również na pastora, po to jest tu bowiem, aby rozjaśniać ciemne dusze. Nie uchodzi rozmawiać ze zmarłym przed zmartwychwstaniem ciała,

jakby był on istotą z krwi i kości.

Pastor parokrotnie próbował sprowadzić starego człowieka na drogę światłości, lecz daremnie. Michał wrócił, a zamęt stał się większy, jako że obecnie stary człowiek zaliczył żywego do zmarłych i zakwestionował w ten sposób wyroki boskie. Przygnębiło to jeszcze bardziej tak pastora, jak i całą parafię. Była w tym wszystkim wielka okazja do przedsięwzięcia wielkiego uzdrowienia po to, aby zarówno zmarli, jak i żywi wrócili do swoich praw.

Poszedł więc pastor po południu do starego człowieka. Miał z sobą szary arkusz dokumentu, w którym urzędowo zaświadczone, że

Michał Fahrenholz żyje i że przeszedł takie a takie to losy. Po prawdzie dziwne losy, ale jednak całkiem naturalne i w żaden sposób nie sprzeciwiające się ziemskiemu i boskiemu łaadowi.

Stary człowiek siedzi w dużej izbie i pije zimną kawę, przegryzając czarnym chlebem. Uprzejmie zaprasza pastora do posiłku. Po jakimś czasie, po rozsądnej rozmowie na temat żniw i pogody, pastor zaczyna mówić nie o zmarłych, lecz o Michale, o żywym. Rozkłada szary arkusz dokumentu i krok po kroku towarzyszy losom tego, który wrócił. Żmudna to relacja, a do każdego jej rozdziału

dołączony jest uwierzytelniony, ostemplowany, niepodważalny dokument.

Stary człowiek początkowo słucha życzliwie. Jego przejrzyste oczy wędrują z dokumentu na twarz pastora i z powrotem. Wprawdzie uśmiecha się sam do siebie, ale nie ma w tym kpiny czy obelgi. Do chwili, gdy pastor zaczyna o powrocie w rodzinne strony. Opowiada

o tym bardzo dokładnie, mówi o każdym kroku od moczarów aż do domu w lesie. I o tym, dlaczego Michał nic nie pisał i dlaczego nie chciał zostać. I pyta, czy zdarzyło się, aby obaj pozostali synowie

przebywali ze starym człowiekiem od rana do wieczora? Czy stara służąca widziała może również tych dwu synów? Nie, ich nie widziała, ale jego - tak, jako istotę z krwi i kości. Widziało go wielu innych ludzi, na przykład stary rataj Jan, do którego strzelał i ludzie ze wsi, gdzie zabił łabędzia, i landrat na tarasie u pani majorowej.

Jeśliby więc było to złudą, to z Michałem, złudą i pomyłką zmysłów, niech będzie również to z obydwoma pozostałymi. Stary człowiek mógłby wreszcie zmienić zdanie i podziękować Panu Bogu, że przy

najmniej jeden z jego synów wrócił. I powinien pomyśleć, że ten syn mieszka w lesie, jak Kain nie znajdując wytchnienia i spokoju,



ponieważ jego ojciec zalicza go do zmarłych i nie dopuszcza do dziedzictwa, uniemożliwiając zaś życie, uczynił Michała złym i dzikim.

Stary człowiek już się nie uśmiecha. Wargi mu drżą, a oczy podobne są do lustra pokrytego licznymi małymi rysami. Wyciąga ręce w stronę pastora, jakby chciał zakłębieniem zmusić go do milczenia i nienaruszania świata budowanego przez dwadzieścia lat, świata ostatniej pociechy opartej na ciemnej wierze. Pastor jednak nie chce milczeć. Po to jest, aby ciemne rozjaśnić, by wypędzić diabła, podobny do człowieka z żelaznym drągiem, który poczuł, że kamień po raz pierwszy drgnął.

„Fahrenheit! - mówi i wyciąga z czarnego surduta krzyż. - Jak szczerze wierzę w ten krzyż, który trzymam w ręce, tak samo, zaiste, żyje twój syn Michał, odepchnięty przez swojego ojca!”

Znowu drgnął kamień, silniej niż poprzednio, lecz stary człowiek nadal walczy o swych zmarłych.

„Jego imię znajduje się na kamieniu poległych - mówi z trudem.

- Także nad jego imieniem stoi krzyż, a pan pastor poświęcił to jako symbol ofiary i zmartwychwstania.”

W odpowiedzi pastor uśmiecha się. Istotnie, tak bardzo przepelnia go pewność prawdy i słusznej walki, że zaczyna się śmiać, jakby tym

uwalniał dziecko od głupiej obawy. Pastor mało miał jednak do czynienia z dziećmi, jeśli nie liczyć nauki do konfirmacji, na którą chodziły zresztą nie jego dzieci, przeto nie wie, co to znaczy oddać światu trzech synów, a mimo to uprawiać ziemię i pozostać radosnym. Gdyby tak nie było, nie śmiałby się z obaw starego człowieka i nie pytałby go, kiedy to po raz ostatni był przy kamieniu poległych.

Po uzyskaniu zaś odpowiedzi nie uderzyłby w stół i nie domagałby się od starego człowieka, aby razem z nim poszedł na pagórek - natychmiast, bez ociągania się. Stary człowiek zobaczy wówczas, że imię Michała zniknęło z kamienia, wybite dłutem. Każdy wie, że był to jego pierwszy czyn po powrocie, o wczesnym ranku, na pół godziny przedtem, zanim usiadł na ławce pod gruszą. Jeśli mu nie wierzy, może się spytać pani majorowej, która to widziała. Na pewno świadom jest tego, że pani majorowa nigdy nie powiedziała nieprawdziwego słowa i nigdy nie widziała upiorów.

Zadyszany zwycięstwem chwyta starego człowieka za ręce, aby go zaprowadzić do kamienia, który teraz istotnie stanie się kamieniem zmartwychwstania usuniętym z grobu. Stary człowiek jest posłuszny

i podąży za nim, przechodzi drzwi, idzie na podwórko. Niestety jednak droga ich wiedzie przy narąbanych z myślą o zimie

drwach dla kuchni. A w pniaku tkwi siekiera. Stary człowiek wydaje nagle okrzyk, jeden jedyny, jak zwierzę, któremu zadano cios, chwyta za siekierę i podnosi ją przeciwko pastorowi, który krzycząc wybiega w pole. Następnie podnosi ją przeciwko najbliższej rzeczy, przeciwko pługowi, uderza w dom, który stoi milczący i bezbronny, jak stał od stu lat. Jego okna rozpadają się w kawałki. Potem podnosi siekierę przeciwko służącej i ludziom pani majorowej, aż wreszcie zostaje obezwładniony, związany i położony na ziemi, stary człowiek, któremu ziemia zachwiała się pod stopami, a na łagodnych wargach pojawiła się lekka piana, z ust zaś wyrwywają się krzyki, które spadają na pastora jak krzyki potępionych.

Michał słucha tego w milczeniu i nie odzywa się również wtedy, gdy pastor wyciera wielką chustką blacie czoło. Znowu patrzy na jezioro, w którym odbijają się wysokie pnie drzew. Bardzo możliwe, że myśli o starym człowieku, który dłonią czerpał wodę. Dopiero zapytany przez pastora, czy mógłby wyjaśnić powód tego nagłego załamania

się starego i spokojnego człowieka, ponownie zwraca oczy na wyczerpane i całkiem bezradne oblicze, mówiąc powoli i bez przygany:

- Pan pastor zapewne nie ma szczęśliwej ręki do tych, którzy krwawią do wewnątrz.

Idzie potem do domu i zamyka za sobą drzwi.

W takim dniu niewiele można rozpocząć. Jasne też, że po opowiadaniu pastora zostaje w domu coś przygnębiającego. Mamy oto starego człowieka, który nikomu nie sprawił przykrości, dopóki zostawiono mu jego zmarłych, a został zniszczony, gdy musiał uwierzyć w to, że

Michał żyje. Jego życie wydaje się więc mało błogosławione i niewiele pomogło to, że pogrzebali ptaka śmierci w poświęconej

ziemi. Byłoby zaiste lepiej zatroszczyć się o starego człowieka, a

najlepiej byłoby pójść inną drogą, zamiast przechodzić wówczas moczary pod wysokim krzykiem kulików, które sprowadzają ludzkie kroki na manowce. Niewiele dobrego wynikło bowiem z tego, jeśli nie liczyć odnalezienia spokoju przez Jonasza. Natomiast pani majorowa płakała na karku swego konia, a stary człowiek będzie teraz siedział za kratami i bawił się kamykami. Nie, to nieprawda, że wojna jest czymś najcięższym. Michał odczuwa brak czegoś, co by pomogło

mu przewyciężyć to, co jest prawdziwie najcięższe. Będzie miał

przeto rację Jonasz, że idzie o to, aby być człowiekiem o całkowicie czystym sercu.

Ale i on nie mógł powiedzieć, jak to osiągnąć.

Nie pozostaje więc nic innego, jak tylko czekać na panią majorową.

Należy przypuszczać, że przyjdzie, gdyż koło południa nadchodzi jak zazwyczaj dziewczyna z jedzeniem, które stawia przy parkanie i odchodzi. Jakby w domu mieszkał zły duch.

Można popracować trochę przy kwiatach, można też wykopać rowek odpływowy, ponieważ woda nadal zbiera się na podwórzu. Nie

wystarcza to jednak, aby wypełnić cały dzień pracy, a poza tym po południu zaczyna terkotać derkacz. Jest bardzo cicho i gorąco pod pokrytym chmurami, melancholijnym niebem i długo można sobie siedzieć ze skrzyżowanymi ramionami, przysłuchując się ptakowi, który zawsze tak woła, jakby sam był na tym świecie. Pod wieczór zaś dołącza się do tego jeszcze jeden dźwięk, jednostajny i szybki, głęboko wchodzący w las stuk młoteczków z dalekich podwórek.

Michał wie, że to klepanie kos. Nic go to nie obchodzi, ale mimo to wstaje i zaczyna chodzić po małym podwórku tam i z powrotem, z rękami założonymi na plecach i pochylonym czołem, podobnie jak przez wiele lat chodził tam i z powrotem za drutem kolczastym.

I chociaż nie ma tu kolegów ani strażników, już po chwili zapomina, że jest wolny i bezwiednie ponownie staje się więźniem - w sposobie chodzenia, w pochyleniu ramion i pleców. Stacza się jak w sen i wreszcie opanowuje go niebezpieczne znużenie obozowe, utrata poczucia czasu i woli, otępiały smutek spędzonych zwierząt, przed którymi stoi nieznajomość ludzkiego uciemnienia.

Pani majorowa przyglądała mu się przez chwilę w milczeniu.

Przyszła pieszo, jakby siedzenie wysoko na końskim grzbiecie nie pasowało do tego dnia.

Stoi teraz przy parkanie opierając się ramionami o sztachety i lekko zatrwożona przypatruje się spacerowi Michała. Nigdy tego nie widziała i przychodzi jej teraz na myśl, że trzeba było wielu lat, aby

się tego nauczyć. I że wiele lat musi upłynąć, zanim będzie można znowu nauczyć się chodzenia za pługiem. Albowiem nie dość jest posiadać wolność bytowania.

Można ją otrzymać w podarku albo zdobyć przemocą. Wolność chodzenia natomiast to coś więcej i może wynikać jedynie ze spokojnego i dumnego serca.

Wiele trudu przysparzają ludzie, więcej niż pola i zwierzęta.

Potrzeba spokojnego serca, takiego serca, które stoi za wszelkimi

życzeniami.

- Dość długo każesz mi tu stać - mówi wreszcie pani majorowa.

Michał reaguje drgnięciem i dopiero po chwili orientuje się, że jest w swoim lesie. Pani majorowa także zmieniła się, ponieważ nie jest w kostiumie do jazdy i nie włożyła butów z cholewami. Do tego trzeba się też najpierw przyzwyczaić.

- Chciałeś odejść? - pyta go bez wstępow. Wyglądało na to dziś rano...

Tak, chciał odejść.

- Jonasz już wrócił - mówi ona. - Możesz mi o tym nie opowiadać.

Michał odpiera, że Jonasz nie mógł opowiedzieć wszystkiego, ponieważ na pewno nie zauważył, że on już był w drodze powrotnej, gdy napotkał wóz. Tak, tego Jonasz rzeczywiście nie wiedział.

- Dlaczego pani majorowa nie zadaje mi pytań? - gniewnie zapytuje Michał.

Pani majorowa dwoma palcami delikatnie rozciera głęboką zmarszczkę między jego oczami.

- Sam to powiesz - odpowiada cicho.

Tak też się staje już po chwili. Dla Michała oczy pani majorowej widziane z bliska są czymś niewymownie cudownym. Nie jest to wieniec złotych gwiazdek drgający na niebieskim tle, lecz głęboka cisza, z której emanuje coś, czego chyba nie widział od dzieciństwa, coś świecącego i grzejącego od wewnątrz. Prawdopodobnie to właśnie

Jonasz nazywa "być człowiekiem o czystym sercu".

- A więc - zaczyna po chwili Michał, łagodniej niż miał zamiar -

doszedłem do wniosku, że pani majorowa mnie zgubiła. I pani majorowa, i las, i cała reszta. Doszło do tego, że gdy siedziałem tam pod lasem, nie mogłem się radować. Nie wiedziałem, w jakim kierunku mam iść, czy w ogóle powinienem iść.

I nie wiem już teraz, co mam tu robić, skoro nie poszedłem.

- Gdy wróciłeś - pyta pani majorowa - zanim nadszedł wóz, czy wiedziałeś wówczas, dlaczego zawracasz?

Michał opowiada ponuro, że chciał znów pić.

I nic więcej? Pani majorowa nie chce dopuścić do siebie myśli, że

taki człowiek jak on potrzebuje tylko butelki wódki, aby utopić swój los. Może tak było jeszcze parę tygodni temu, ale potem oboje chyba zrobili parę kroków naprzód? Nic więcej zatem?

Michał mówi, że pani majorowa zechce łaskawie nie być taka jak pan pastor. Wystarczy już to, co on powiedział.

Pani majorowa sądzi, że jest może jakaś różnica między tym, co ktoś chce uczynić ze względu na Pana Boga, a tym, co chce uczynić ze względu na człowieka. Skończmy jednak mówić na ten temat. Pewnego razu, jeszcze na początku, spytała się go, czy chce, aby posiwała. Prawdopodobnie było to głupie pytanie, albowiem to chyba nie jest takie znów ważne, jak myślała: siwieje, czy też nie. Potem jednak wydarzyło się coś, co stało się ważniejsze, na przykład gdy zobaczyła go chodzącego tam i z powrotem. Sama teraz często nie wie, czy człowiek może rościć pretensję do tego, by wiedzieć, co jest słuszne i aby tego chcieć.

- Nie można tego na pewno robić tak, jak pan pastor - mówi Michał. - Był tu dziś.

Pani majorowa nie powinna jednak więcej się martwić. Zostanie tu, gdyż jest już stracony dla polnych dróg. I na pewno nie będzie więcej pić. Ale może zechce skryć się w tym domu, może się w nim zaszyje, ponieważ chwilowo nie wie, po co tu jest.

- Trzeba teraz kosić żyto - mówi po chwili pani majorowa - i do lasu nikt nie przyjdzie, prócz mnie. Pomyślałam sobie, że zlecę Jonaszowi, aby zatroszczył się o twoje gospodarstwo. Chcę cię prosić, abyś na to zezwolił.

On ma zezwolić? Przypatruje się jej z ukosa, a pani majorowej wydaje się, że na jego opalonej twarzy pojawia się rumieniec.

- Myślałam - dodaje - że tak będzie lepiej, niż wprowadzać jakiegoś zarządcę z urzędu.

Naturalnie, tak będzie lepiej. Nie wiedział tylko, że ma na cokolwiek zezwalać.

- To zupełnie jak z koroną - mówi pani majorowa. Ktoś, komu wkładają na głowę koronę, często o tym nie wie. Kto zaś musi się troszczyć o ziemię i zwierzęta, zawsze nosi koronę, choćby nie wiem jak był pokorny.

Potem prosi go, aby towarzyszył jej do skraju lasu. Czuje się nieco przygnębiona po tym wszystkim, co wydarzyło się w tych dniach.

Idąc zieloną drogą pani majorowa nuci sobie, bez słów, jak owego pierwszego wieczora przy moczarach. Nuci smutną piosenkę, która pasuje do zapadającego zmierzchu, a Michał idzie przy niej wolno i słucha.

- Czy pani majorowa znowu śpiewa sobie od czasu do czasu? - pyta, gdy wychodzą z lasu i zatrzymują się przy polu z żytem.

- Nie, dziś po raz pierwszy.

- Pani majorowa powinna częściej śpiewać - mówi Michał. - Przyjemnie jest posłuchać, jak pani majorowa śpiewa.

Pani majorowa mówi, że może boi się, aby go jeszcze bardziej nie zgubić. I mówiąc to uśmiecha się nieco, a potem żegna się z nim.

Michał znowu zostaje sam pod wielkim i smutnym niebem, na którym nieruchomo leżą rozdzielone białymi, wąskimi wstęgami ławice chmur. Znowu siedzi w rowie oddzielającym las od pola i nasłuchuje głosu niezmordowanego ptaka. Wiele zdarzyło się od czasu, gdy siedział tu ostatnim razem. Nie ma po tym śladu ani w zbożu, ani w lesie, a zdarzyło się to tylko wśród ludzi. Zboże stało się bardziej żółte, ale człowiek do tego się nie przyczynił. Las jest jeszcze cichszy, gdy nie wieje wiatr. To dobrze, iż są na ziemi tak wielkie rzeczy, jak pole i las, gdyż człowiek może sobie cichutko siedzieć między nimi, nie powodując żadnego poruszenia. Można unieść rękę i wykruszyć ziarno z kłosa, a pole tego nie zauważy. Ziarno zaś kruszy się pod paznokciem, a po włożeniu do ust ma smak mąki i chleba.

Jonasz zatem skosi żyto, stara służąca zwiąże je w snopki. I nic nie stanie się urzędowo. On zaś będzie siedzieć przed domem, gdyż nikt nie przyjdzie do lasu. Gdy powieje wiatr z odpowiedniej strony, może usłyszy, jak Jonasz klepie kosę. Piękny to będzie widok, gdy Jonasz zrobi pierwszy pokos. Będzie ciął szeroko i gładko, jak przystoi na olbrzyma. Jak przystoi temu, który przez całe swe życie trzymał w ręku kosę, pasterski kostur, pług. Nie karabin, jak Michał i nie pióro, jak landrat. Karabin może być dobry na ptaka śmierci lub na ludzi z innymi karabinami. Pióro zaś może być dobre na ludzi,

którzy zmarli, a powinni być wpisani w rejestr żywych. Na nic jednak nie zdają się na polu żyta i byłoby czymś dziwnym postawić przed takim polem landrata z kosą. I chyba także Michała. Było to bardzo dawno temu, gdy kosił. Wozić taczkami piasek na skraju pustyni to nie to samo, co kosić pole.

Tak to bywa, Michale. Koronę, o której mówiła pani majorowa, dostaje zatem Jonasz, nam zaś zależy przynajmniej na tym, aby wykruszyć ziarno z tego kłosa i zjeść je. Za długo nosiliśmy stalowy

hełm i żadna korona nie będzie nam pasować. Nie jesteśmy panią majorową, która by dobrze wyglądała w koronie, nie jesteśmy także Jonaszem, człowiekiem o czystym sercu. Jesteśmy tylko człowiekiem, który nie wie, co robić i którego zniszczono dla wolnych dróg.

Trzeba się z tym pogodzić i rozejrzeć, czy nie znajdzie się jakaś robota w lesie. Na przykład zbieranie grzybów lub kopanie rowów wokół szkótek leśnych przeciwko chrabąszczom, lub grodzenie płotami wszystkiego, co chce być samotne. Mogło się zdarzyć, że wracałby jako inwalida bez nóg, dowożony na wózku do skraju pól,

aby przyglądać się stąd, jak orzą - niczym dziecko w wózek. My jednak możemy przynajmniej chodzić.

Michał wstaje i powoli idzie wzdłuż rowu granicznego. Ciężkie kłosa schylają się, on zaś przechodząc podnosi je dłonią. Za polem rozciąga się końskie pastwisko, na którym stoi para koni ze źrebakami. Michał kładzie dłonie na drutach ogrodzenia, przy krzaku przekwitłej dzikiej róży i przypatruje się. Jonasza nie widać, może

więc sobie spokojnie postać. To te same konie, które szły przed pługiem. Wtedy jednak ledwo na nie spojrział. Był tu wówczas jeszcze stary człowiek, który zawsze w połowie pola odwracał się, aby zobaczyć, czy zmarły nadal jest. Zmarły jest tu jeszcze, natomiast stary człowiek odjechał, a jego konie pasą się także bez niego.

Michał zaczyna po cichu gwizdać tak, jak to czynił będąc dzieckiem,

kiedy trzeba było wyprowadzić konia ze stada. I tak samo jak wówczas konie podnoszą teraz głowy. Kobyła pozostaje przy źrebakach, drugi koń jednak podchodzi powoli do płotu i podnosi ciepłe nozdrza do ręki Michała. Ręka musi być spokojna i bardzo powoli trzeba przesuwając ją po karku zwierzęcia w górę i w dół, aby koniuszki palców to stroszyły, to znów gładkały sierść.

Bardzo piękne jest takie zwierzę, w którego oczach odnajduje się swoje odbicie. Wilgotne, delikatne zwierciadło, niczym nie zmącone, wypełnione natomiast wielką ciszą obcego świata. Splot żył pojawiający się na cienkiej skórze i delikatne połyskiwanie sierści, widoczne nawet w ciemności.

Jeśli w człowieku, który opiera się o ogrodzenie, nie ma niczego złego, wtedy koń kładzie łeb na jego ramieniu i trzyma go spokojnie pod obcą dłonią, która przesuwana tam i z powrotem. Silna i ciepła jest woń skóry, od czasu do czasu dreszcz przebiega po ciężkim tułowiu, gdy obsiadają go spragnione komary. Podobny jest do powiewu wiatru na powierzchni ciężkiej wody. A potem jest jeszcze ciszej niż poprzednio.

Ponieważ nikt się temu nie przygląda i jest już całkiem ciemno, Michał może pozwolić sobie na to, aby objąć ramionami kark zwierzęcia i skryć twarz w ciepłej obcej woni, która jest mu jednak bliższa od wszystkiego innego. Można tak stać bardzo długo, podczas gdy niespokojny ptak z pola woła, a ze smutnego nieba powoli zaczynają spadać krople deszczu. Na liście buka, który stoi przy rowie granicznym, na pochylone na polu źdźbła żyta, na skórę konia, a czasem i na czoło Michała, skryte pod grzywą. Wszystko oddala się, usuwa w wielką dal - dom w lesie i los starego człowieka. Podobne jest to do

wielkiego, zaklętego kręgu, lecz w jego centrum jest milczenie i pokój

- przy karku wielkiego, obcego zwierzęcia, które stoi cierpliwie, gdy

chce na nim wypocząć ludzkie czoło, nie wiedzące, po co jest na tym świecie.

Michał i koń rozchodzą się wreszcie, wracając do swoich światów.

Zwierzę do swojej towarzyszki życia i pożywienia, Michał zaś w deszcz, do domu, na swe legowisko. Jeszcze pod kołdrą towarzyszy

mu woń, zawierająca ciepłą pociechę, woń żywego stworzenia, które cicho poddawało się jego ostrożnej czułości.

Nazajutrz idzie więc w las z koszem na ramieniu i nożem w ręce.

Wychodzi wcześniej i bierze z sobą kawałek chleba, aby móc tam być do wieczora. Dopóki jest na podwórzu, pogwizduje sobie dość głośno, choć nie ma twarzy zbyt rozradowanej. Po jakimś czasie jednak musi głębiej oddychać i zwilżać wargi. Potem zdaje mu się, że tam na polu ktoś ostrzy kosę. Może się myli, gdyż wiatr nie wieje mu w twarz. Spiesznie odchodzi w głąb lasu, gdzie tylko dzięcioł stuka, a wierzchołki nad nim lekko szumią.

To chyba nie było jednak prawdą, że las jest dla niego obcym

domem. Może tylko w nocy, gdy znad moczarów nadciąga burza, a błękitne światła bezgłośnie wdzierają się w głąb. Teraz jednak, w różowym świetle wczesnego ranka, piękna cisza panuje dla tego, kto chce być sam. Tutaj, w pierwszych jarzębinach są drozdy, nie troszczą się jednak o człowieka, który szuka grzybów. Jest też czarny dzięcioł w ciemnym ubiorze z czerwonym kapturkiem na głowie, lecz spokojnie kuje dębową gałąź, jeśli zaś milknie, to tylko dlatego, aby podsłuchać ruchy robaków, wystraszonych w swoim ciemnym domu.

W wielkim lesie wszystko ma zajęcie, począwszy od mrówki u stóp Michała, aż do krążącego nad polaną wczesnego myszołowa. W wielkim lesie jest też miejsce dla łowczego, gdy nie ma w ręce strzelby, ale pleciony koszyk, który chce wypełnić borowikami i zanieść do domu.

Wprawdzie "do domu" to trochę za dużo powiedziane, więc Michał

opuszcza rękę z nożem w mech dąbrowy, na którym ukląkł. Chwilę

patrzy przed siebie, na źdźbła trawy - wisi na nich jeszcze rosa,

potem jednak potrząsa głową i nóż tnie znowu niską, brunatną nóżkę, która dla grzybów jest tym, czym pień dla drzewa. Pięknie jest przyglądać się tym leśnym karzełkom, z solidnymi kapeluszami na niskich nóżkach, tworzącym w małym zakolu całe rodziny. Trawa wyrasta ponad najmłodsze, zwijając się w brunatną, wilgotną plecionkę, którą muszą unieść i rozerwać, aby móc rosnąć w stronę światła. Ślimak czasem nadgryza ich brzeg, a gdy strąci



go ręka

Michała, na brązowym obrzeżeniu pozostaje biała rana. Piękna jest jednak prostota ich formy, uzyskana jakby jednym pociągnięciem i

piękny jest też ich gorzki i ostry zapach, unoszący się nad nożem i

pozostający na rękach.

Inny to zapach od tego, jaki wydziela koń przy ogrodzeniu, chłodniejszy i bardziej zbliżony do zapachu wchodzących w ziemię korzeni. Należy jednak do wielkiego kręgu, jaki otacza żyjącego samotnie człowieka, do kręgu, w którym pachną drzewa i mech, pola i konie, grzyby i trawa. Napawa otuchą, nie przemija bowiem jak

człowiek, który puka, aby odejść po upływie swego czasu, a pozostaje

i jest na miejscu, gdy go potrzeba. Na przykład Michałowi, który jest stracony dla dróg i musi się teraz urządzać w małym świecie. Siedzi właśnie na skraju zagajnika mając przy sobie pełny kosz i zbiera czernice do suchego chleba, chce pozostać do wieczora w opiekuńczym lesie, gdzie nikt nie wchodzi, ponieważ wokół lasu kosi się żyto. Michał zakończył już to, co miał tego dnia wykonać, a nie było tego mało. Nie wie, gdzie się zatrzymać, ponieważ nie chce słyszeć kos na polu. Koronę bowiem, o której mówiła pani majorowa, włożono na głowę Jonasza. Wszystko więc znajduje się w dobrych rękach. Na przykład wierzchowiec, na którego czeka u wrót lub braciszek złożony w grobie, aby nigdy już więcej nie wołał w przelocie sowy, albo stary człowiek, który musiał zostać wywieziony, gdy zaczął rozwalać własny dom, lub też gospodarstwo, które popadnie w ruinę, jeśli go Jonasz nie ujmie w swe silne ręce.

Żołnierz noszący tak długo stalowy hełm stracony jest dla korony.

Nie jest godny zaufania, ponieważ to chce odejść, to znów zostaje,

to pragnie pić, to znów rezygnuje z tego, to chce być człowiekiem o czystym sercu, to znów nie wie, jak to uczynić. Może potrafi jeszcze strzec lasu albo uprawiać kwiaty przy naprawionym parkanie, albo też szukać grzybów, podczas gdy inni tną na polu zboże. Lecz nic więcej. Zamiast korony na głowę pani majorowa kładzie dwa palce na jego czole, w miejscu, w którym znajduje się zmarszczka. To ładnie ze strony pani majorowej, to płynie z czystego serca, lecz jest też gestem pocieszenia wobec chorych i zapewne niczym więcej.

Ponieważ pani majorowa jest mądra i każdemu w zasięgu swojej władzy przydziela to, co mu się należy, więc zapewne słuszne jest to, co czyni. Michał bowiem na pewno nie umiałby zarządzać gospodarstwem, skoro albo strzela do starych ludzi, albo hoduje kwiaty. Podobny do trawy na wietrze, waha się na drodze swojego życia, to jest wesoły, to znów smutny, jak pole, nad którym przeciągają cienie chmur. Kto posiada gospodarstwo, nie

powinien być wesoły i smutny, ale musi być spokojny i poważny, aby pola i zwierzęta uznawały w nim swego prawego pana.

Skoro więc Michał nie może już zarządzać żadnym gospodarstwem, nigdy już nie będzie miał kosy. Tego bowiem trzeba się nie tylko nauczyć, ale trzeba także wyćwiczyć. To umiejętność prostych ludzi, w

Michał jednak wystąpił z kręgu prostych ludzi. Zna wiele rzeczy, o których w tej okolicy nikt nic nie wie. Są one zbędne i na nic nie przydają się w prostym życiu.

Ponieważ pani majorowa jest mądrą kobietą, wszystko przemyślała, zanim oddała koronę Jonaszowi.

Skończył jeść chleb i rozgląda się. Wstaje nawet i wchodzi między niskie pnie zagajnika. Potem wyciąga nóż i wycina sobie drewniane narzędzie. Jest tak samo długie jak i on, ma dwie poprzeczki - krótką pośrodku, dla prawej ręki, dłuższą zaś na końcu. Po rozejrzeniu się, długo a uważnie, Michał zdejmuje kurtkę i idzie na skraj leśnej łąki, wchodzącej klinem w zagajnik.

Zaczyna kosić. Łąka pokryta jest mchem, ściemniałą trawą, kosa Michała natomiast nie ma ostrza. Nie widzi tego jednak. Zamyka najpierw oczy, aby to, co niegdyś znał, łatwiej wróciło ze wspomnień: pochylenie ciała, ułożenie ramion i powolne posuwanie się, krok za krokiem. Jeśli otwiera oczy i cały wysiłek wkłada w przypominanie sobie - nic z tego nie wychodzi, jeśli jednak poddaje się temu jak we śnie, wtedy kieruje nim tylko krew, nie zniszczony jeszcze odzew

dziedzictwa.

Gdy trzykrotnie przeszedł brzegiem, może otworzyć oczy i popatrzeć, jak chodził. Nie zawsze dobrze. Często zdarza się, że czubek

drewnianki wbija się w ziemię. Potem jednak powoli wszystko składa się coraz lepiej, coraz spokojniej, równomierniej, aż w końcu oglądany z daleka nie różni się od jednego z tych prostych ludzi, o których uprzednio myślał. Nie klnie już, gdy zamach kończy się w ziemi, gdy zaś wyprostowuje się po kolejnym pokosie, czuje w krzyżu i w ramionach przyjemny ból, jego spojrzenie natomiast rzucane na łąkę ma w sobie spokój i rozległość spojrzenia kosiarzy, którzy kładąc kosę na ramieniu długim szeregiem idą przez trawę tam, skąd zaczę

nie się nowa kośba.

Michał nie widzi tego, że słońce podnosi się, że pot kapie mu z czoła i dopiero, gdy sójka zaczyna za nim hałasować, płoszy się i szybko wchodzi w las. Stoi i nasłuchuje,

oddycha, gdy widzi łasicę przemykającą suchym rowem. Chowa jednak teraz swoje narzędzie w krzaku olszyn i wraca do kosza z grzybami. Nie patrzy już na łąkę, gdzie ślady jego stóp wykreślają na mchu ciemne linie. W jego oczach znowu jest ciemność, której nie ma u prostych ludzi wracających z pola do domu.

Idzie lasem powoli i w zatraceniu, trzymając kosz na ramieniu, jak stary człowiek odchodzący na dożywocie. Dziwi się, gdy od drugiej strony dochodzi do domu i spotyka dziewczynę już wracającą zieloną drogą. Nie wiedział, że to tak późno.

Dziewczyna chciałaby go wyminąć, ale ponieważ nie schodzi jej z drogi, musi zsiąść i czeka za rowerem, jakby chciała się nim bronić.

Michał jednak pyta tylko, czy we dworze koszą już żyto. Tak, mówi zdziwiona Lena, rzeczywiście koszą. A... Jonasz też już kosi,

zarządzając gospodarstwem? Nie, tego jeszcze nie widziała. Skoro Michał bezmyślnie patrzy ponad nią i nie wygląda na to, aby z jego strony zagrażało jakieś niebezpieczeństwo, uśmiecha się swoim zwyczajem i pyta, czy pan łowczy zgubił coś na polu, bo tak bardzo martwi się z powodu żniw. Michał odpowiada już całkiem wesoło, że tak, że zgubił sieć, którą łowi się młode dziewczyny i boi się, by kosiarze jej nie pocięli.

Lena nie może powstrzymać się od głośnego śmiechu, ponieważ jednak Michał nagle kiwa jej głową i wymija, idąc do domu, jakby była drzewiną przy drodze, nie wie, co to ma znaczyć, patrzy za nim aż do momentu, kiedy ginie za parkanem, na który wspinają się rośliny.

Nie pozostaje jej nic innego, jak siąść na rower i odjechać. Wygląda na to, że łowczy żarty sobie z niej stroi i dopiero, gdy jest na polu, ogarnia ją złość, ale jest już za późno, by coś mu krzyknąć. Może jest też i niebezpiecznie po tym, co stało się ze starym człowiekiem.

Także do niego pan pastor coś krzyczał, a on od razu złapał siekierę i wyгнаł pana pastora w pole. Postanawia poprosić panią majorową, aby kogo innego posyłała z jedzeniem do łowczego. Nie ma sensu jeździć do człowieka, którego prawie nigdy nie można zobaczyć, a który wyciąga kawałek cukru po to, aby go włożyć do ust - sobie.

Michał długo spał po pierwszej połowie swego dnia pracy i siedzi teraz na ławce, czyści grzyby i kraje w małe kawałki. Wyciąga potem

z plecaka nitkę, nawleka na nią grzyby i rozciąga sznurami w słońcu, od drzewa do drzewa. Ususzy sobie w ten sposób pożywienie na zimę, jak chłop w Rosji i osiadzie w tym wielkim i cichym lesie.

Część grzybów odkłada. Wieczorem rozpali na podwórku małe ognisko i przypiecze je w żarze. Potem wycisnie je w płótnie i posoli, jak to czynili przy moczarach, gdy z

Jonaszem paśli owce. Zacznie więc życie prostego człowieka i choć drogi są już przed nim zamknięte, to jednak będzie można żyć tu w ten sposób, w jaki żyje się na drogach. Może na noc przyjdzie Jonasz, jako że jest teraz jego sąsiadem. Jonasz na jego gospodarstwie nie stanie się wyniosły,

ponieważ nie tylko razem kręcili fujarki, ale też razem złożyli do ziemi ptaka śmierci. Jonasz całe swe życie był prostym człowiekiem, a ludzie prości nie są wyniosli.

Michał słusznie pomyślał, że w nocy przyjdzie Jonasz. Naznosił gałęzi i gdy Jonasz zjawiał się przy płocie, rozniecał właśnie ogień.

Jonasz przygląda się najpierw sznurom grzybów, a potem siada przy ognisku.

- Robią tak tam, za granicą, gdy myślą o zimie - mówi przez ognisko. Bierze w rękę to, co Michał zostawił do upieczenia i odkłada z powrotem grzyb za grzybem.

- Myślałeś, że już nie odróżniam dobrych od złych? - pyta Michał.

O nie, Jonasz o tym nie myślał. Zrobił to tak tylko, w zamyśleniu.

Ładnie to świadczy o Michale, że chce upiec grzyby w ogniu. Zawsze dobrze jest nie śmiać się z tego, co robiło się będąc dzieckiem. Może zapalą teraz fajki po tych ciężkich dniach.

Miękisz grzybów skręca się w małym żarze i pachnie jesienną puszczą, kiedy to pod tchnieniem słabego wiatru spadają liście.

Czy Michał chce się dowiedzieć czegoś o wielkim domu, do którego pojechali wozem?

Nie, chce tylko wiedzieć, czy staremu człowiekowi będzie tam dobrze.

Tak, będzie mu dobrze. Był w końcu spokojny jak dziecko. Czy

Michał również zauważył, że od czasu, gdy nocą przeszła burza, nic już nie krzyczy na moczarach? Jest mu bardzo wdzięczny za spokój, jakim obdarzył jego biedną duszę.

Potem wyciskają pierwsze grzyby, Michał przez płótno, Jonasz gołą dłonią, posypują solą i zaczynają jeść. Jonasz od czasu do czasu rozarniając żar gałęzią pyta, czy zgadza się na to, aby z rana zabrał się do koszenia. Ziarno kruszy się już pod paznokciem, a z południowego wschodu wieje lekki, dobry wiatr.

Michał zajęty jest fajką, do której szuka długiego źdźbła trawy, ale naturalnie zgadza się, bo się już nic na tym nie zna. Pani majorowa zresztą wyznaczyła go, ponieważ można mu powierzyć i pola, i zwierzęta. W pewnej chwili Jonasz patrzy mimo niego w świerkowe skle-

pienie, z którego trochę suchych igieł spada w dym ogniska. Kiwa potem głową i w milczeniu wypalają fajki.

- Ciężko jest być takim? - pyta Michał, gdy ogień wygasł, a Jonasz włożył fajkę do kieszeni.

- Jakim?

- No, prostym człowiekiem wiodącym spokojne życie.

Jonasz znów spogląda w górę, na świerki. Nie, nie jest ciężko. Trzeba tylko żyć dla czegoś, na przykład dla konia albo dla pola, lub dla

braciszka, który nie może zasnąć. Trzeba żyć nie dla siebie, ale dla

kogoś innego. Nie sądzi, aby to było czymś ciężkim. Tak to jest, czas jednak już iść.

Trawa na podwórku jest wilgotna od rosy, a Michał schyla się i głaszcze żdźbła ręką. Mimochodem pyta, czy Jonasz mógłby mu wkrótce przynieść kosę. Podwórko całkiem zdziczało, zarosło trawą, jemu zaś

przydałoby się trochę siana na posłanie.

Jonasz chętnie przyniesie mu kosę, może już następnego wieczoru.

W nocy Michał wstaje raz jeszcze, gdyż sen nie nadchodzi. Idzie na skraj lasu, tam, gdzie rośnie żyto. Pole jeszcze nie skoszone, więc może posiedzieć chwilę w rowie granicznym i posłuchać wołania żniwnego ptaka. Nad polem stoi księżyc w pełni i swym białym światłem rozjaśnia na wskroś kłosa. Rano jednak już tego nie będzie.

Ustawione zostaną snopki, których cienie będą się kłaść na rzysko.

Stary człowiek nie zobaczy już tego. Całkowicie o tym zapomni, co innego znajdzie się w jego oczach. A Michał nie będzie się czuł zbyt dobrze, patrząc na to. Ładnie było wieczorem w tym zakątku ukrytym między polem a lasem, Jutro pole będzie otwarte, choćby i

dla obcych oczu patrzących ponad nim w stronę lasu. I dla wiatru, który nie napotka przeszkody.

Michał postanawia raz jeszcze pójść do krzaku róż. Koni jednak dziś tu nie ma. Jonasz zostawił je w stajni, a Michał nie wie, dlaczego.

Wystarczy, że Jonasz wie, ponieważ oddano pod jego opiekę nie tylko pole, ale i konie.

Nic więc tu już nie ma do roboty, w tym rowie granicznym. Jest bowiem na swoim miejscu i księżyc, i żniwny ptak, a pole niczego więcej nie potrzebuje w ostatnią noc przed przybyciem kosy. Sen teraz na pewno nadejdzie, gdyż członki już tak nie boją, a srebrny wóz stoi w zenicie. Cień lasu jest ciężki. Dobrze, że nie przybędzie żadna kosa, aby ściąć las. Zawsze zostanie coś dla tego, kto chce się

skryć.

Nazajutrz rano Michał zaczyna ciąć drzewo na zimę. Zaczyna tak wcześnie, jakby zima stała już na skraju lasu, a prowadzi piłę przez buczynę tak ostro, że cały las wypełniony jest odgłosem jego pracy.

Po przepiłowaniu z tuzina szczap bierze siekierę i rąbie wzdłuż, potem zaś układa drzewo pod południową ścianą domu. Jest to praca dająca radość, głośnie i pełna ruchu, zapach drzewa jest czysty i zdrowy, przesycony wonią soku, który lepi się do rąk.

Twarz Michała jednak nie zawsze jest tak radosna, jak jego praca.

Musi w nim być jeszcze coś więcej prócz tego, co wykonują dłonie.

Nie może nie zauważyć, że czasem na podwórku robi się cicho, tak cicho, że trzeba nasłuchiwać, czy coś nie dzieje się w świecie znajdującym się za lasem. Koło południa znowu się chowa, aby nie widzieć, kto mu przynosi jedzenie, potem zaś porzuca piłę i siekierę, wchodzi głęboko w las, aż do miejsca, gdzie znajduje się gniazdo jastrzębia gołębiarza, aby je zniszczyć, gdyż pani majorowa skarżyła się, że wyrządza jej szkodę w drobiu.

Łatwo wchodzi na stary świerk, gdy jednak jest przy gnieździe, nie ma już ochoty zrzucić w dół domu, jeszcze zamieszkanego. Drzewo

stoi na wzgórkach i Michał może z tego miejsca patrzeć daleko, ponad

wierzchołkami, zboczami i zagajnikami. Nad lasem stoi ciche słońce, na zachodzie natomiast wychodzą dalekie pola ponad linię drzew.

Dojrzewające zboże błyszczy, a nad nim przeciągają powoli wielkie, białe chmury. Michał zapomina o tym, po co się tu dostał i nieruchomieje, założywszy ramiona na gałąź. W drzewie jest zapach łąki, a gdy wstrzymuje oddech, zdaje mu się, że słyszy, jak żywica ścieka po szarym pniu. Wiatr kołysze lekko koronę. Wachlarze wielkich gałęzi poruszają się bezszelestnie, a pod jego stopami spadają gęsto na ziemię niewidzialne szpilki. On sam jest całkowicie ukryty w obcym świecie, niewidoczny nawet dla kołującego pod wierzchołkami gołębia. Takie drzewo lepsze jest od domu, stanowi piękną

ostoję dla wszystkich, którym nie jest dane nosić korony. Ponieważ człowiek, który się do niczego nie nadaje, może przynajmniej wdrapać się na drzewo i położyć dłoń na jego koronie.

Jednak najcierpliwszy nawet człowiek musi wreszcie zejść z drzewa, trudno bowiem siedzieć tak przez całą noc. Może poleżeć jeszcze parę godzin w mchu, posiedzieć z godzinę przy mrowisku, a drugą

wycinać witki brzoźowe na liczne miotły do zamiatania, musi jednak

wreszcie wrócić do domu, aby zjeść kawałek chleba i trochę jagód, aby schować piłę i siekierę pod dach, żeby nie spadła na niego rosa i

aby czekać na Jonasza, który zgodził się przynieść kosę do ścięcia rosnącej na podwórku trawy. Pani majorowa mogłaby przemoczyć sobie nogi, jeśli by przysłała jakiegoś wieczoru.

Jonasz zmęczony jest całodzienną pracą i nie przychodzi. Skosił trzy czwarte pola, a ponieważ służąca jest już stara i nadal nie może wrócić do siebie, więc szło im wolniej, niż myślał i nie zdążył, gdyż część snopków musiał wiązać sam.

Mimo to przyszedłby jednak, gdyż nigdy nie zapomina o tym, co powiedział, lecz nadeszła właśnie pani majorowa, znowu pieszo i w lekkiej sukience. Obejrzała jego pole, a potem posiedziała chwilę przy nim na ławce. Kiedy Jonasz opowiedział jej, jak to było u Michała, pytała o wszystko, chcąc wiedzieć nie tylko, co mówił, ale i jak mówił. Potem zaś musiała długo myśleć, zwłaszcza o jego ostatnim życzeniu.

Choć Jonasz trochę się sprzeciwia, bierze w końcu kosę i odchodzi.

Mówi przy tym wesoło, że jest na tyle rozsądna, aby nieść kosę na ramieniu, a poza tym może ma jakiś zamiar, którego nie chce wyjawić. A Jonasz byłby dobry, gdyby zmówił cichą modlitwę, taką, jaką

odmawia za ptaka śmierci, gdyż Pan Bóg najłatwiej wysłuchuje modlitwy płynącej z czystego serca.

Tam, gdzie droga wchodzi w las, pani majorowa wkłada kosę w

szeroki łąn pola, pokryty jeszcze zbożem. Bardzo powoli idzie dalej, od czasu do czasu przystaje, jakby musiała wiele przemyśleć, zanim dojdzie do szarego domu. Nuci przy tym smutną melodię, zatrzymując się i powtarzając, jakby wypadła z jej pamięci i musiała być powoli i ostrożnie odzyskiwana.

Jest wreszcie dom, przy parkanie stoi Michał, zdziwiony tak późną wizytą. Tak, rozmawiała jeszcze z Jonaszem i postanowiła przynieść

kosę, ale zostawiła ją na skraju lasu, bo nie chciała przyjść jak

śmierć. Jeśli ją odprowadzi, zabierze sobie kosę. Ależ pachnie tu pięknie, świeżym drzewem. Czyżby zaczął wyrąbywać las?

Chce zobaczyć wszystko, co zrobił, chwali go za pilność, jest weselsza i bardziej niespokojna niż zwykle, a Michał przypatrując się jej z ukosa czuje się coraz spokojniejszy. Chce jeszcze raz zobaczyć dom. Staje przy kominku ze świecą w uniesionej ręce i rozgląda się po szczupłym i ubogim pomieszczeniu.

- Nie gniewaj się, Michale - mówi nagle uśmiechając się niepewnie.

- Trzeba nam już iść...

Michał nie gniewa się, ale udziela mu się z wolna jej niepokój. Nie

jest do tego przyzwyczajony, aby pani majorowa była niespokojna.

Nie jest też dobrze, aby dzień tak właśnie się skończył, nową zagadką.

Księżyc już wzeszedł, ale stoi jeszcze tak nisko, że kłosa zboża znajdują się na jego czerwonej tarczy. Jest bardzo wielki nad horyzontem, podobny do obcego słońca. Oboje przystają i przypatrują się odświętnie wyglądającemu polu. Potem jednak Michał odkrywa szeregi ustawionych snopków za nie zżętym polem i oddycha ciężko, jakby go coś w piersi zabolalo.

Nie spuszczać z niego wzroku pani majorowa wyjmując ukrytą na piersi białą chustkę i powoli obwiązuje głowę, zgarniając pod nią włosy.

Przy prawym policzku pani majorowej Michał widzi tarczę księżyca z trzema kłosami zboża, pochylonymi w czerwonym świetle. Myśli przez moment o tym, że chwila ta powinna długo trwać, że księżyc znajdzie się nad chustką pani majorowej, podobny do czerwonej korony nad jej wysokim czołem.

Pani majorowa cofa się jednak i wyjmując ze zboża kosę. Ostrze błyszczy w świetle, gdy pani majorowa wkłada drzewce w rękę Michała.

- Bardzo cię proszę - mówi. - Niech mi wolno będzie ci pomóc.

Michał wyciągnął dłoń, ale nie rusza się.

- Pani majorowa nie wie - mówi ponuro - że ja już tego nie potrafię. Dwadzieścia lat tego nie robiłem. Poza tym zapomniała pani majorowa o tym, że przekazała moje pole w opiekę Jonaszowi.

- Dobry sługa - odpowiada pani majorowa - zawsze na swoim miejscu czeka na powrót pana.

A czy sądzisz, że przez tych dwadzieścia lat wiązałam snopki? Za to lato należy mi się chyba drobna zapłata, Michale.

- Jeśli się pani majorowa będzie śmiać - odpowiada on po chwili - nigdy mnie już więcej nie ujrzy.

Michał nie może o tym wiedzieć, że pani majorowej bardziej jest do płaczu niż do śmiechu, głos jej bowiem brzmi bardzo wesoło, gdy mówi do niego:

- Musisz się obejrzeć za siebie od czasu do czasu, czy nadążam. A jeśli będziesz się śmiał, to sam będziesz musiał powiązać swoje snopki.

Nie, także Michałowi nie jest teraz do śmiechu i gdy szykuje kosę do pierwszego cięcia, serce bije w nim tak głośno, jak przed zabiciem ptaka śmierci. Jeśli po pierwszym zamachu kosa utkwi w ziemi, rzuci ją i pójdzie w las, prosto przed siebie, gdzie nogi poniosą. I nigdy już nie wróci.



Szelest pierwszego cięcia jest jednak ciężki, pełny i prosty, daje szeroki pokos kładącego się na ziemię zboża, w świetle księżyca, w porządku i ciszy. To pierwsze cięcie wypełnia Michała szczęściem do tego stopnia, że zapomina o pani majorowej, która stoi za nim czekając z założonymi rękami, a której nie może on widzieć. Zapomina o wszystkim, co ma za sobą, o lesie i domu, i starym człowieku. Nie widzi niczego poza pobladyimi źdźbłami pod nogami, poza błyskiem ostrza i - nieco wyżej - czerwonym księżycem, który powoli wychodzi mu naprzeciw.

I przestaje już być ważne to, że nie każde cięcie udaje się, natomiast w połowie pola pani majorowa wola za nim, że zapomniał obejrzeć się, że zostawia ją zdaną na własne siły, jak służącą z siwymi włosami.

- Pani majorowa chyba udaje? - pyta surowo.

Nie, nie udaje, ale widzi teraz, że nie wszystko wie lepiej i że dobrze jest, iż nikt się jej nie przygląda.

Potem są już razem, kroczą po polu tam i z powrotem. Nic nie mówią, a jeśli nawet Michał odwraca się, pani majorowa podnosi tylko twarz i uśmiecha się do niego. Biała chustka dawno już zsunęła się na kark i jak ozdoba leży na jej ramionach. Gdy zaś Michał ostrzy kosę, a ona wiąże u jego stóp ostatni snopek, widzi kropelki potu na jej czole i górnej wardze. To znowu jest cudowne, nie sądził bowiem, że pani majorowa może się zgrzać tak jak inni ludzie. Jeszcze wolniej stawia więc nogi, zwłaszcza że ściana lasu jest coraz bliższa i kiedyś skończy się to pole.

Ale gdy nadchodzi koniec, nie jest tak smutno, jak sądził. Muszą jeszcze poustawiać snopki. A gdy już je ustawili, może Michał usiąść sobie w rowie granicznym przy pani majorowej i popatrzeć na pole.

Jest też starym zwyczajem, który dobrze sobie zapamiętał, że pani majorowa wstaje i podchodzi do najbliższego mendla tak, że widzi

tylko jej twarz i ramiona, aby wyciągnąć ze snopka kłos po kłosie.

Dobrze jest przypatrywać się jej dłoniom, wybielonym przez światło księżyca, który stoi teraz wysoko ponad polem.

Dobrze jest też, że pani majorowa nuci przy tym, powiedział jej przecież, że powinna częściej śpiewać. Smutna to melodia, rwąca się i powtarzająca, jakby wypadła pani majorowej z pamięci, jakby trzeba

ją było teraz powoli, ostrożnie odzyskiwać.

- Czy nie zechciałaby pani majorowa powiedzieć, o czym mówi ta piosenka? - pyta w końcu.

Pani majorowa unosi do góry bukiet z kłosów i ogląda. Obwiązuje go uważnie paroma długimi źdźbłami i cicho powtarza smutną piosenkę, Michał jednak może teraz zrozumieć każde słowo:

A gdy wrócił żołnierz z wojny, powoli, powoli, powoli...

A gdy wrócił żołnierz z wojny,  
powoli, powoli, powoli...

Żal mi cię było, biedny żołnierzu na drodze złej, w mundurze złym, powoli, powoli, powoli...

Bukiet jest już gotowy, a ona wkłada mu go w rękę.

- Powinieneś powiesić go na ścianie - mówi - tam, gdzie stary człowiek miał Biblię. A gdy zejdziemy z tego pola, uplotę jeszcze koronę.

- Sądzi więc pani majorowa, że wejdę do domu, w swym mundurze złym?

- Sądzę - mówi cicho pani majorowa - że żołnierz Michał jest już w domu...

- A reszta? A ta reszta, pani majorowo? - Michał wstaje, trzymając bukiet w obu rękach. - Nie wie pani majorowa o tym, że to pusty dom?

Pani majorowa ujmuje jego twarz w swoje dłonie.

- Sądzę - mówi powoli - że dom z matką nie jest pustym domem.

Kiwa mu głową i odchodzi polem. Idzie tak powoli, jak wówczas, gdy piła z nim z białej butelki, ale teraz jest jednak inaczej, ponieważ rzeczy, które chce widzieć, nie musi z wielkim wysiłkiem utrzymać w wąskim kręgu. Przeciwnie - rzeczy pozostają cicho na swoim miejscu, a krąg jest tak wielki, że nic nie może z niego wypaść - ani w oświetlone pola, ani śpiące wśród nich krzaki, ani tarcza księżycy, która to wszystko oświetla. Bardzo spokojny i wielki jest świat, przez który idzie, a na jego skraju nadal woła ptak, czuwający nad żniwami.

Może pani majorowa idzie wolniej, ponieważ bołą ją plecy po związaniu wielu snopków. A może dlatego, że wszystko jest takie ciche na niebie i ziemi, że nie wypadałoby zachowywać się głośno i pośpiesznie w tak cichym domu. A może również dlatego, że ciężko jest kobiecie, nawet gdy jest panią majorową, odchodzić stąd, gdzie wolno jest brać, tam, gdzie wolno jest tylko dawać, jak to przystoi matce.

I jeśli nawet plecy bołą, a nogi są ciężkie, mimo to znowu idzie wyprostowana, jak się już do tego przyzwyczaili jej ludzie. Przestała śpiewać, ponieważ przypomniała już sobie melodię, a dla pani, która nocą sama idzie przez swoje pola, lepiej jest, jeśli nie mąci ich snu.

W świetle księżycy bowiem opada rosa, a to, co dozwolone jest samotnemu ptakowi, nie jest dozwolone człowiekowi w taką noc.

Dopiero gdy może rozpoznać już topole nad podwórzem, stojące jak bezgłośne fontanny, z pniami w srebrze i czerni, zatrzymuje się przy

pastewniku i cicho gwizdże na swego konia. Stoi chwilę, jak przedtem Michał, zarzuciwszy ręce na szyję zwierzęcia. Nie kryje jednak czoła pod ciemną grzywą, lecz przykłada tylko policzek do końskiej szyi i oboje patrzą w ten sposób przed siebie, w stronę księżycy stojącego teraz nad lasami.

W końcu pani majorowa idzie po białych schodach tam, gdzie ciche światło leży na kamieniach. Kładzie dłoń na chłodnym metalu klamki i odwraca się raz jeszcze. Czarne i strome dachy stoją wokół wielkiego podwórca, na które spada światło. Na jego poboczu połyskuje pług, jakby był ze szkła. U jej stóp śpi wielkie królestwo, a pod dachami czworaków i stajni twarz spoczywa przy twarzy. Każdy wie, że otrzyma to, co mu się należy, gdy dzwonek rano zawoła, a nad szarym portalem pani otworzy okno.

Pani majorowa odwiązuje białą chustkę, którą ma jeszcze na ramionach i wyprostowana wchodzi do wielkiego, milczącego, pustego domu.

